

BIULETYN IPN

nr 1 (34)/2015

# pamięć **Pol**



**Stanisław Jaster  
„Hel” – zdrajca  
czy bohater?**

**Obrona Świtonia**

**Hakerzy z Solidarności**

**Cena 6 zł (5% VAT)**

ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521  
nakład 11 500 egz.

6438

Auschwitz



**Dodatek specjalny  
płyta DVD z filmami:  
*Jaster. Tajemnica Hela*  
i *The liberation of Auschwitz***





- 2** AKTUALNOŚCI IPN
- 4** KALENDARIUM
- 6** Z PIERWSZEJ STRONY

**FELIETON**

- 8** Krzysztof Gottesman, *Miasto i miasto*

**Z ARCHIWUM IPN**

- 10** Grzegorz Wołk, *Charakterystyka oprawcy*

**STOP-KLATKA**

- 12** Robert Szcześniak, *Ofiara i zdrajca*

**WYWIAD**

- 15** *Nie ma się czym chwalić* – rozmowa z Tomaszem Blattem, jednym z ostatnich żyjących uciekinierów z niemieckiego obozu zagłady w Sobiborze

**WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU**

- 20** Paweł Rzewuski, *Sfabrykowana rewolucja*
- 24** Maciej Korkuć, *Od zbrodni do mitologii*
- 28** Daria Czarnecka, *Z bohatera konfident*
- 33** Joanna Lubecka, *Kat, który kochał dzieci*
- 37** Joanna Wojdon, *Amerikanin z polską flagą*



Fot. PAP



Fot. Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau



Fot. AIPN



Fot. AIPN



Fot. AIPN



Fot. Piotr Życieński



Fot. PAP/CAF-EPA, Siergiej Czinkow



Fot. ze zbiorów Tomasz Zawistowski

- Z DZIEJÓW OPOZYCJI I OPORU SPOŁECZNEGO**
- 41** Przemysław Wójtowicz, *Hakerzy z Solidarności*
- 45** Jarosław Neja, *Obrona Świtonia*

**PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU**

- 49** Jerzy Eisler, *Ocalić miasto*

**Z BRONIĄ W RĘKĘ**

- 53** Michał Mackiewicz, *Automat Kałasznikowa, cz. 1*

**ORZEŁ BIAŁY**

- 56** Artur Kawończyk, Tomasz Zawistowski, *Orzeł Samuela Kretschmera*

**PRZEMINĘŁO Z PEERELEM**

- 60** Jerzy Kochanowski, *Talon*

**MIEJSCA Z HISTORIĄ**

- 62** Katarzyna Dzierzbicka, *Szpilman: dwa lata w ukryciu*

**EDUKACJA HISTORYCZNA**

- 66** Karolina Wichowska, Małgorzata Żuławnik, *Światło Wolności i ZOMO w kinie*
- 68** Karol Madaj, Łukasz Pogoda, *Rywalizacja aliantów*

**70 RECENZJE**

**73 BIBLIOTEKA IPN**

W styczniu 1945 roku, po ponad pięciu latach okupacji, Niemcy zostali wyparci z dwóch ważnych dla historii i kultury Polski miast: Krakowa i Warszawy. Czy było to wyzwolenie, czy tylko zajęcie dwóch punktów na mapie pochodu Armii Czerwonej na zachód – to temat na szerzą dyskusję. W niniejszym numerze wydarzenia tych kilku dni – miasta zostały zajęte niemal jednocześnie – przypomina Maciej Korcuć. Do tematu nawiązuje Jerzy Eisler, który w swoim stałym dziale prezentuje film stanowiący cegiełkę w budowie peerelowskiego mitu krasnoarmiejców-wyzwolicieli. Przetaczający się przez Polskę w styczniu front odkrywał także kolejne elementy nazistowskiego terroru – żołnierze wkraczający do opuszczonych przez załogi obozów koncentracyjnych mogli się naocznie przekonać, że raporty i pogłoski na temat niemieckiego przemysłu śmierci nie były ani trochę przesadzone. Wyzwolenie obozu koncentracyjnego i zagłady Auschwitz-Birkenau jest tematem wstrząsającego filmu dokumentalnego *The liberation of Auschwitz*, który dołączyliśmy do numeru. (Uwaga – zawiera sceny drastyczne!) Jeszcze zanim ustały działania wojenne, przed sądem stanęli pierwsi zbrodniarze, ale na procesy głównych osób kierujących zagładą czas przyszedł nieco później. W 1947 roku odbył się proces Rudolfa Hößa, komendanta KL Auschwitz-Birkenau. O sędzie nad „katem, który kochał dzieci”, pisze Joanna Lubecka.

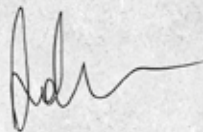
Z obozem koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau wiążą się też losy Stanisława Gustawa Jastera – jednego z uczestników słynnej ucieczki (z innym uciekinierem, Kazimierzem Piechowskim, rozmawialiśmy na ten temat w nr. 6/2012 – zapraszamy do naszego archiwum na [www.pamiec.pl](http://www.pamiec.pl)) i żołnierza oddziału specjalnego Armii Krajowej. W 1943 roku został oskarżony o zdradę i zlikwidowany. Czy jednak słusznie? Daria Czarnicka podważa zarzuty stawiane „Helowi” przez byłych kolegów z konspiracji. O skomplikowanej i tragicznej historii Stanisława Gustawa Jastera opowiada także drugi z filmów dołączonych do numeru.

W grudniu ubiegłego roku pożegnaliśmy Kazimierza Świtonia – działacza opozycyjnego, współtwórcę Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela na Śląsku, współzałożyciela Wolnych Związków Zawodowych. Opisany w artykule Jarosława Nei zaledwie wycinek bogatego życiorysu opozycjonisty jest doskonałą ilustracją tego, w jaki sposób władze PRL szykanowały swoich wrogów, w jaki sposób utrudniały im nie tylko działalność, lecz także codzienne życie.

Działacze opozycji nie pozostawali wobec prześladowców bierni i nawet w okresie delegalizacji wszelkiej niezależnej działalności związkowej potrafili dotrzeć z przekazem do społeczeństwa. Wykorzystali do tego najważniejsze narzędzie komunistycznej propagandy – telewizję. O „hakerach” z toruńskiej Solidarności, którzy włamali się na ekrany telewizorów, pisze Przemysław Wójtowicz.

Zapraszam do lektury!

Redaktor naczelny  
Andrzej Brzozowski



■ IPN zaprasza młodzież szkolną, drużyny i zastępy harcerskie, koła naukowe, grupy rekonstrukcyjne, koła kombatanatów oraz uczestników indywidualnych do udziału w **projekcie edukacyjnym „Kamienie Pamięci – Z modlitwą Ojczyźnie 1939–1989”**. Tegoroczna – szósta już – edycja ma na celu upamiętnienie duchownych (nie tylko katolickich), którzy w trudnych czasach II wojny światowej i dekadach powojennych poświęcili się idei niepodległej Polski i pozostali wierni uniwersalnym wartościom, w tym nadrzędnej – miłości do drugiego człowieka. Akcja ma przypomnieć o lokalnych bohaterach, których nazwisk próżno szukać w opracowaniach historycznych i podręcznikach. Zadaniem uczestników będzie m.in. wybór postaci, opracowanie jej portfolio i upowszechnienie wiedzy o niej. Zgłoszenia będą przyjmowane **do 30 stycznia**, a wymaganą dokumentację należy przesłać do końca marca. Finał projektu zaplanowano na maj 2015 roku.

Więcej informacji można znaleźć na stronie internetowej [www.pamiec.pl/kamienie\\_pamieci](http://www.pamiec.pl/kamienie_pamieci). Na ewentualne pytania odpowiedzą Ewa Rogalewska ([ewa.rogalewska@ipn.gov.pl](mailto:ewa.rogalewska@ipn.gov.pl), tel. 85 664 57 83) i Karol Usakiewicz ([karol.usakiewicz@ipn.gov.pl](mailto:karol.usakiewicz@ipn.gov.pl), tel. 85 664 57 87).

VI EDYCJA PROJEKTU  
**KAMIEŃ PAMIĘCI**  
Z modlitwą Ojczyźnie

pamięć.pl

Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej  
– Komisja Ścigania Zbrodni  
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa: dr hab. Adam Dziurok,  
dr hab. Robert Klementowski,  
dr Krzysztof Kaczmarski, dr Maciej Korcuć,  
dr Tomasz Łabuszewski,  
dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki,  
dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz,  
dr Waldemar Wilczewski,  
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),  
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Andrzej Czyżewski,  
dr Dawid Golik, Krzysztof Gottesman,  
dr Joanna Hytrek-Hryciuk,  
Agnieszka Jaczyńska, dr Konrad Rokicki,  
dr Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka,  
dr Magdalena Semczyszyn,  
Emilia Świętochowska,  
dr Daniel Wicenty

Redakcja: Andrzej Brzozowski  
(redaktor naczelny, tel. 22 581 87 98;  
e-mail: [andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl](mailto:andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl))

Maciej Foks, Filip Gańczak,  
Jakub Gołębiowski,  
Andrzej Sujka,  
Karolina Wichowska  
Sekretariat: Maria Wiśniewska  
tel. 22 581 88 19

Korekta: dr Magdalena Baj  
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,  
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska  
Skład i łamanie: Sylwia Szafrąńska  
Redakcja techniczna: Marcin Koc

Siedziba redakcji: ul. Postępu 18b,  
Warszawa

Adres do korespondencji:  
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa  
[www.ipn.gov.pl](http://www.ipn.gov.pl)

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne  
„Zapolex” sp. z o.o.  
ul. Gen. Sowińskiego 2/4, 87-100 Toruń

Redakcja nie zwraca materiałów  
niezamówionych i zastrzega sobie prawo  
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

■ **Elektroniczne kopie akt sowieckiej bezpieki**, w tym materiałów operacyjnych, trafiły w grudniu do IPN dzięki współpracy z Wydzielonym Archiwum Państwowym Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Wśród ponad 7,7 tys. pozyskanych kart są m.in. materiały sprawy rozpracowania agenturalnego o kryptonimie „Sejm”, dające wgląd w represje stosowane przez sowiecki aparat bezpieczeństwa wobec polskiego podziemia niepodległościowego. „Te dokumenty są absolutnym *novum*. Po raz pierwszy strona ukraińska przekazała nam materiały dotyczące agenturalnego rozpracowywania polskiego podziemia, głównie z Wołynia [...] z okresu 1944–1945” – powiedział PAP Marcin Majewski z Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN. Pozyskane akta, do niedawna opatrzone klauzulą „ściśle tajne”, zostaną opracowane i udostępnione badaczom jeszcze w tym roku. Planowana jest również ich publikacja w ramach wydawanej przez IPN serii „Polska i Ukraina w latach trzydziestych – czterdziestych XX wieku”.



Fot. HDA SBU

Instytut Pamięci Narodowej przekazał z kolei stronie ukraińskiej kopie materiałów wytworzonych przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów, Ukraińską Powstańczą Armię i organy bezpieczeństwa komunistycznej Polski.

■ Do 31 stycznia w Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia” im. Janusza Kurtyki w **Warszawie** (ul. Marszałkowska 21/25) prezentowana jest **wystawa „Pozostał po nich ślad”**, przygotowana przez Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau. Ukazuje ona losy więźniów z Bloku 11, tzw. Bloku Śmierci, którzy na jego ścianach, drzwiach, belkach stropowych, parapetach okiennych pozostawili rysunki i napisy. Treść wielu z nich jest ostatnim pożegnaniem ze światem.



■ Również do końca stycznia w Bibliotece Akademii Marynarki Wojennej w **Gdyni** (ul. Śmiłdowicza 69) można oglądać **wystawę „Ludzie morza. Stalinowski proces komandorów z Dowództwa polskiej Marynarki Wojennej”**.

Tytułowi bohaterowie to grupa polskich oficerów zasłużonych podczas obrony Wybrzeża w 1939 roku, powołanych do Marynarki Wojennej po zakończeniu wojny. Dzięki wiedzy i umiejętnościom zajęli najwyższe stanowiska dowódcze. Jednak na początku lat pięćdziesiątych, na fali procesów wojskowych, bezpodstawnie zarzucono im szpiegostwo. Trzej z nich – kmdr Stanisław Mieszkowski, kmdr por. Zbigniew Przybyszewski i kmdr Jerzy Staniewicz – zostali zabici strzałami w tył głowy i bezimiennie pogrzebani. Szczątki komandorów Mieszkowskiego i Przybyszewskiego odnaleziono w 2013 roku w kwaterze „Ł” Cmentarza Wojskowego na warszawskich Powązkach.



Fot. Muzeum Zamoyckich w Kozłowie

■ W najbliższym czasie w Centrum Kultury w **Lublinie** (ul. Peowiaków 12) planowane jest otwarcie **wystawy „„Rewolucja społeczna» czy »dzika przebudowa»? Przekształcenia własnościowe w Polsce w latach 1944–1956 ich społeczne skutki”**, przygotowanej przez tamtejsze Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN.

W pojemnym katalogu wrogów reżimu komunistycznego ważne miejsce zajmowali „kapitałiści”, „burżuje”, „obszarnicy”, „spekulanci”, „kułacy” i „prywaciarze”. Kolejnym etapom likwidacji własności prywatnej towarzyszyły akcje propagandowe oraz szeroko zakrojone działania represyjne. Na poszczególnych panelach lubelskiej ekspozycji zaprezentowano zmiany własnościowe zachodzące po 1944 roku w rolnictwie (reforma rolna, kolektywizacja), przemyśle (nacionalizacja, industrializacja), handlu i rzemiośle, a także problemy mienia poniemieckiego i opuszczonego, gruntów miejskich, majątku kościelnego („dobra martwej ręki”), wymiany pieniędzy, nacionalizacji lasów i zabytków kultury ziemiańskiej. Druga część wystawy koncentruje się na skutkach przekształceń własnościowych: likwidacji „warstw posiadających”, ewolucji stylu życia i mentalności mieszkańców Polski. Autorzy ekspozycji podjęli również próbę ukazania społecznego odbioru polityki władz komunistycznych w zakresie własności.

Informacji o dokładnym terminie otwarcia wystawy udziela Tomasz Osiński (tomasz.osinski@ipn.gov.pl, tel. 81 536 34 65).

## POSTAĆ MIESIĄCA

**16 stycznia 1980:** Zaginął Tadeusz Szczepański, działacz Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża.

Szczepański był uczniem Wieczorowego Technikum Samochodowego w Gdańsku. Jednocześnie pracował jako mechanik samochodowy w gdańskim przedsiębiorstwie „Elektromontaż”. W 1979 roku – za namową Lecha Wałęsy – zaangażował się w działalność WZZ Wybrzeża. Kolportował ulotki i prasę drugiego obiegu. Był współorganizatorem niezależnych obchodów rocznicy Grudnia '70 – dostarczył sprzęt nagłaśniający i złożył wieniec pod bramą drugą Stoczni Gdańskiej. Z powodu tej aktywności był szykanowany przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Znajomym zwierzał się, że podtapiano go w wannie. 16 stycznia 1980 roku pomyślnie zdał egzamin na prawo jazdy. Wczesnym wieczorem tego samego dnia widziano go po raz ostatni. 17 marca z uchodzącego do Motławy kanału Na Stępce wylowiono nagie i okaleczone zwłoki. Pogrzeb odbył się osiem dni później i zgromadził wielu działaczy opozycji.

W śledztwo w sprawie śmierci Szczepańskiego ingerowało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, forsując wersję o nieszczęśliwym wypadku, którego przyczyną miał być alkohol. Artykuł w tym duchu – inspirowany przez Komendę Wojewódzką MO w Gdańsku – opublikował „Dziennik Bałtycki”. Twierdzono w nim, że rany na ciele zostały spowodowane przez śruby statków pływających po Motławie. 16 stycznia 1980 roku rzeka była jednak pokryta grubym lodem, a statki nie kursowały. Część przyjaciół młodego opozycjonisty do dziś jest przekonana, że za jego śmierć odpowiada SB. W 1989 roku prokurator Leszek Lancorzyński analizował tę sprawę we współpracy z Sejmową Komisją Nadzwyczajną do Zbadania Działalności MSW pod przewodnictwem Jana Rokity. Śledztwo nie przyniosło jednak nowych ustaleń. Także śledztwo podjęte po latach przez gdańską prokuraturę IPN zakończyło się w 2010 roku umorzeniem. Rok wcześniej Tadeusz Szczepański został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

▶ Tadeusz Szczepański (1960–1980)

**4 stycznia 1940:** W Paryżu podpisano polsko-francuską umowę wojskową.

Po klęsce wrześniowej 1939 roku to właśnie w sprzymierzonej Francji urzędowały emigracyjne władze RP. Generał Władysław Sikorski, nowy premier i Naczelnny Wódz, zapowiadał walkę o odzyskanie niepodległości. Do tego konieczna była odbudowa Wojska Polskiego. Jeszcze w czasie walk wrześniowych podpisano umowę w sprawie sformowania we Francji polskiej dywizji. Dalsza rozbudowa polskiej armii na obczyźnie wymagała szczegółowych regulacji. Po długich rozmowach Sikorski i francuski premier Édouard Daladier osiągnęli kompromis. Wojsko Polskie miało podlegać władzom RP, jednak operacyjnie, w czasie działań bojowych – głównodowodzącemu armii francuskiej. Uzgodniono sprawy rekrutacji żołnierzy, zaopatrzenia, uzbrojenia, wyszkolenia i finansowania armii. Wydatki miał pokrywać skarb francuski, ale w formie pożyczki obciążającej stronę polską.

W ciągu kilku miesięcy zorganizowano armię liczącą ok. 80 tys. żołnierzy i oficerów, rekrutujących się głównie z francuskiej Polonii oraz spośród wojskowych, którzy przedostali się na Zachód z miejsc internowania i okupowanego kraju. Po 10 maja 1940 roku – tj. niemieckie napaści na Francję – jednostki polskie walczyły na różnych odcinkach frontu: w Lotaryngii (1. Dywizja Grenadierów), Alzacji (2. Dywizja Strzelców Pieszych) i Szampanii (10. Brygada Kawalerii Pancernej). Polscy lotnicy bronili zaś francuskiego nieba. Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich już wcześniej została skierowana do Norwegii i wyróżniła się w bitwie o Narwik. W obliczu zarysowującej się klęski Francji – w której upadek Sikorski długo nie wierzył – tylko część żołnierzy i oficerów (ok. 27 tys.) udało się ewakuować do Wielkiej Brytanii i Palestyny. Przystąpiono do ponownego odtwarzania Wojska Polskiego, które w kolejnych latach wzięło udział w dalszych walkach na wielu frontach II wojny światowej.



Fot. IPMS

**1 stycznia 1945:** Powstało Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego.

Komuniści, zdobywając po II wojnie światowej władzę w Polsce, byli świadomi nikłego poparcia ze strony społeczeństwa. Nie pozwolili więc na uczciwe wybory. Swoją pozycję zamierzali utrzymać dzięki potężnemu aparatowi bezpieczeństwa. MBP – tworzone na wzór sowiecki i pod sowieckim nadzorem – było kontynuacją Resortu Bezpieczeństwa Publicznego, powołanego w lipcu 1944 roku. Na czele ministerstwa stał Stanisław Radkiewicz (na zdj.) – komunistą z przedwojennym stażem, członek najwyższych władz Polskiej Partii Robotniczej, a później PZPR. „Ze względu na skład osobowy kierownictwa resortu i ścisłe podporządkowanie jego działań dyrektynom PPR, MBP pełniło faktycznie funkcję czegoś w rodzaju »partyjnej policji politycznej«” – pisze w książce *Pół wieku dziejów Polski 1939–1989* prof. An-



Fot. AIPN

drzej Paczkowski. Ministerstwo podejmowało działania m.in. przeciwko zbrojnému podziemiu niepodległościowemu, legalnie istniejącym partiom politycznym, Kościołowi katolickiemu i całym grupom społecznym. Powszechny terror – dotyczący z czasem nawet działaczy komunistycznych – miał wymusić na obywatelach całkowite posłuszeństwo wobec nowej władzy. Po śmierci Stalina i ucieczce na Zachód ppłk. Józefa Światły – wysokiego funkcjonariusza MBP, który na falach Radia Wolna Europa opowiedział o metodach działania bezpieki – skompromitowany resort został rozwiązany. W jego miejsce w grudniu 1954 roku powołano Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Komitet ds. Bezpieczeństwa Publicznego. Zrezygnowano z powszechnego terroru. Nadal jednak inwigilowano społeczeństwo i prześladowano niepokornych.

**17/18 stycznia 1945** W masakrze w więzieniu na Radogoszczu w Łodzi zginęło prawie 1,5 tys. osób.

W czasie II wojny światowej na terenie radogoskiej fabryki Samuela Abbego u zbiegu szosy zgierskiej i ul. Sowińskiego Niemcy ulokowali obóz przejściowy, który w lipcu 1940 roku przekształcili w Rozszerzone Więzienie Policyjne dla mężczyzn. Gromadzono tu osoby, które docelowo miały trafić do innych więzień lub do obozów koncentracyjnych. Byli to m.in. działacze ruchu oporu, uciekinierzy z robót przymusowych, ludzie zatrzymani w ulicznych łapankach czy trudniący się nielegalnym handlem żywnością. Przetrzymano tu także sowieckich jeńców wojennych. Więzienie na Radogoszczu nie miało służyć jako miejsce eksterminacji. Fatalne warunki sanitarne i sadyzm strażników zbierały jednak śmiertelne żniwo. Przyjmuje się, że codziennie umierał tam co najmniej jeden więzień. Z Radogoszcza pochodziła też część ofiar publicznej egzekucji odwetowej w Zgierzu z 20 marca 1942 roku. W nocy z 17 na 18 stycznia 1945 roku, tuż przed wkroczeniem do Łodzi Armii Czerwonej, niemiecka załoga urządziła masakrę więźniów. Gdy część z nich stawiała opór, Niemcy podpalili główny budynek. Do osób, które skakały z okien lub wydostały się na dach, strzelano. Wśród ofiar byli głównie Polacy, ale też ponad stu jeńców sowieckich. Rzeź przeżyło zaledwie około trzydziestu więźniów.

Po wojnie ukarano tylko kilku sprawców masakry. Był wśród nich Walter Pelzhausen, komendant więzienia. Zdołał wprawdzie zbiec do zachodnich Niemiec, ale schwytali go Brytyjczycy i wydali Polsce. Łódzki sąd skazał go na wielokrotną karę śmierci. Wyrok wykonano w marcu 1948 roku.

Dzisiaj w miejscu zbrodni na więźniach mieści się Oddział Martyrologii i Walki „Radogoszcz” – część Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi.



Fot. AIPN

**29 stycznia 1990**: Uczestnicy XI Zjazdu PZPR przyjęli uchwałę o zakończeniu działalności partii.

Istniejąca od 1948 roku Polska Zjednoczona Partia Robotnicza od początku – wraz z podporządkowanymi jej stronnictwami sojusznymi – zajmowała w systemie politycznym „ludowej” Polski pozycję monopolistyczną. W szczytowym okresie – na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych – liczyła ponad 3 mln członków. Pierwsze w PRL częściowo konkurencyjne wybory z czerwca 1989 roku zakończyły się klęską komunistów. Wobec postępujących przemian demokratycznych stanęli oni przed dylematem, jak uwiarygodnić w oczach społeczeństwa



Fot. PAP

partię, która realizowała stalinowski terror, a później odpowiadała m.in. za krwawe stłumienie protestów społecznych w 1956 i 1970 roku oraz represje stanu wojennego. Przeważała opinia, że konieczne jest utwo-

**19 stycznia 1945**: Generał Leopold Okulicki „Niedźwiadek” wydał rozkaz o rozwiązaniu Armii Krajowej.

Od tygodnia trwała ofensywa Armii Czerwonej, której żołnierze szybko wypierali wojska niemieckie z ziem polskich położonych na zachód od Wisły. Okulicki – przebywający w tym czasie w rejonie Częstochowy – ocenił, że oznacza to „zamianę jednej okupacji na drugą”. Wiedział zarazem, że otwarta walka z Sowietami jest skazana na klęskę. W porozumieniu z Delegatem Rządu RP na Kraj i na podstawie instrukcji emigracyjnego rządu w Londynie zdecydował więc o rozwiązaniu AK, której był komendantem głównym, i zwolnieniu jej żołnierzy z przysięgi. „Żołnierze Armii Krajowej! [...] Dalszą swą pracę i działalność prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości Państwa Polskiego i ochrony ludności polskiej przed zagładą. Starajcie się być przewodnikami Narodu i realizatorami niepodległości Państwa Polskiego. W tym działaniu każdy z Was musi być dla siebie dowódcą” – czytamy w rozkazie. W konspiracji miała pozostać kadrowa, skromna liczebnie organizacja „NIE” z Okulickim jako komendantem.

Rozwiązanie AK – mające uchronić jej żołnierzy przed zarzutami o przynależność do nielegalnej organizacji – nie wpłynęło jednak na skalę represji komunistycznych. Część lokalnych struktur AK nie podporządkowała się zresztą rozkazowi „Niedźwiadka” i pozostała w podziemiu. Zbrojny opór kontynuowało też m.in. Narodowe Zjednoczenie Wojskowe.



Fot. ze zbiorów ośrodku KARTA

wienie nowego ugrupowania. Blisko 1200 delegatów XI Zjazdu opowiedziało się więc za powołaniem Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej. Na czele tej partii stanęli Aleksander Kwaśniewski (przewodniczący Rady Naczelnej) i Leszek Miller (sekretarz generalny) – wcześniej czołowi działacze PZPR. Podjęto również decyzję o przekazaniu SdRP majątku Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Grupa delegatów, którzy uznali potrzebę całkowitego odciążenia się od dziedzictwa PZPR, utworzyła Unię Socjaldemokratyczną RP z Tadeuszem Fiszbachem na czele. Inaczej niż SdRP, ugrupowanie to nie odegrało jednak znaczącej roli politycznej. Wielu jego działaczy trafiło z czasem do Unii Pracy.





# Miasto i miasto

Krzysztof Gottesman

Zgadaliśmy się niedawno z przyjaciółmi o wspomnieniach warszawiaków, którzy podczas wojny zostali wywiezieni na Syberię. By zabić tragiczny czas, wieczorami wspominali w barakach swoje miasto. Potrafili z przejęciem i miłością, numer po numerze, wymienić wszystkie sklepy, redakcje, restauracje i kawiarnie znajdujące się przy Marszałkowskiej, Nowym Świecie, Krakowskim Przedmieściu, Moniuszki czy Mazowieckiej; trasy autobusów i tramwajów. Spróbowaliśmy tej zabawy. Pudło. Nic z tego nie wyszło.

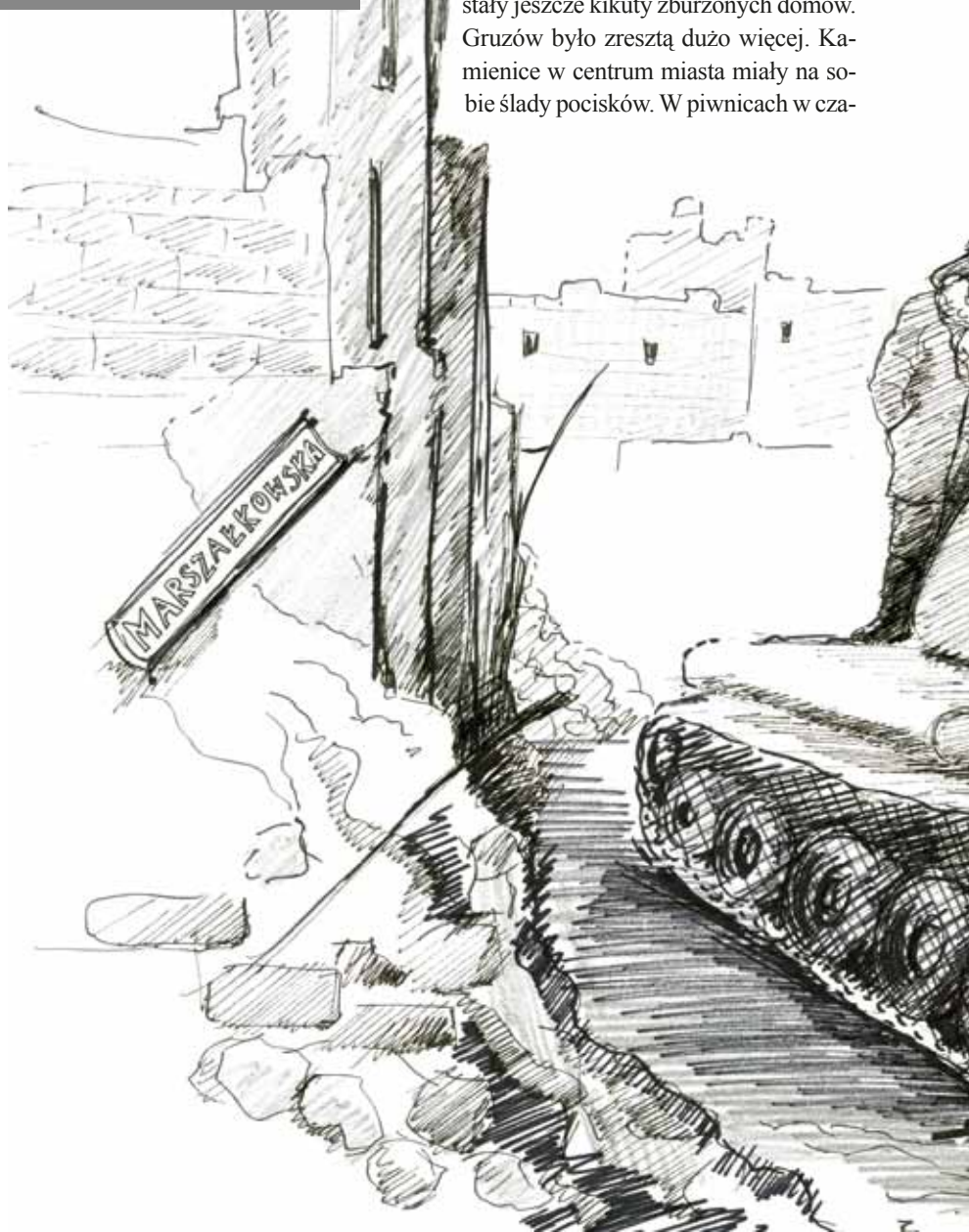
**T**o prawda, była to zupełnie inna sytuacja. W ciepłe i dostatku, przy urodzinowym stole trudno było nawet udawać, że jest się na zesłaniu, rozmawia o utraconym domu i mieście, ze świadomością, że się tego miasta już pewnie nigdy nie zobaczy. Chodziło jednak jeszcze o coś więcej. Większość z nas, ja również, nie znalazła w sobie tych emocji, związków łączących nas z Warszawą. Mieszkamy tu od urodzenia już kilkadziesiąt lat, przeżyliśmy wiele dobrego i złego, ale to miasto nie weszło nam w krew tak, jak tamtemu pokoleniu.

Oni na zawsze zapamiętali, że Herbaczyński był przy Wilczej, Simon i Stecki przy Krakowskim pod 38, Lardelli przy Wierzbowej, a Instytut Propagandy Sztuki oraz kawiarnia Sztuka i Moda – przy Królewskiej pod 13 i 11. „Prosto z Mostu” – przy Książęcej, a „Wiadomości Literackie” przy Złotej. Pozostały na zawsze w pamięci adresy teatrów, kin, kabaretów. Zapamiętali nawet, że Fryderyk Jarossy mieszkał przy Noakowskiego pod 20, a także to, że aby wezwać prywatne pogotowie ratunkowe, należało wykręcić pięć piątek. Czuli to miasto, wraz nim wzrastali, co przejawiało się również w stosunku do Warszawy – radosnym, pełnym zabawy. Z takim podejściem spotykam się do dzisiaj u przedwojennych

warszawiaków. I co ciekawe, jest ono wspólne ludziom o różnym statusie materialnym. Nawet ci żyjący przed wojną skromnie – lub bardzo skromnie – mają w sobie jak najlepsze wspomnienia.

Warszawa moich znajomych i przyjaciół, a także moja, to zupełnie inna bajka. Mamy swoje ulubione miejsca, adresy ważne we wspomnieniach, gmachy, które wywołują szybsze bicie serca, ale nie mamy tego miasta we krwi tak jak oni.

Moja Warszawa, migawki, które mam w pamięci, jest natomiast bardzo mocno zakorzeniona w historii, a także polityce. Pamiętam, że gdy pod koniec lat pięćdziesiątych, jako bardzo małe dziecko, jeździłem z mamą tramwajem po Alejach Jerozolimskich, to po stronie północnej stały jeszcze kikuty zburzonych domów. Gruzów było zresztą dużo więcej. Kamienice w centrum miasta miały na sobie ślady pocisków. W piwnicach w cza-



sie rozmaitych zabaw znajdowaliśmy z kolegami rzeczy ukrywających się tam w czasie powstania ludzi. Wojna aż do lat sześćdziesiątych była częścią naszej codzienności. I nie chodziło tylko o propagandę władz, potępiających knowania zachodniemieckich odwetowców, jak wtedy mówiono. Wojna naprawdę tkwiła w ludziach. I to była moja pierwsza lekcja historii, w ten sposób po raz pierwszy niejako poznawałem Niemców.

Mieszkałem wtedy przy ul. Narbutta, nieopodal więzienia przy Rakowieckiej. Chodziliśmy z kolegami z podwórka na najwyższe piętro sąsiedniej kamienicy i z okna klatki schodowej patrzyliśmy na ceglaste pawilony, zakratowane i zablindowane okna, klatkę spacerniaka, w której poruszali się jednakowo ubrani

więźniowie. Nie wiem, jak to się stało, czym było spowodowane, ale widzieliśmy w nich ludzi pokrzywdzonych przez władzę. Nie morderców, złodziei, kanciarzy. Uważaliśmy, że zła władza ich przesładuje. I dlatego, gdy pracowali na torowisku ulicy Puławskiej, rzucaliśmy im z tramwaju dziesiątki sportów – małe podłużne paczuszki najtańszych papierosów. To był koniec lat pięćdziesiątych, początek sześćdziesiątych. Można było wówczas spotkać ludzi, którzy wcale niedawno wyszli z więzień za przestępstwa polityczne, widać było też szczęśliwców, którym udało się wyjechać ze Związku Radzieckiego w ostatniej akcji repatriacyjnej. To był kolejny etap mojej edukacji warszawskiej i historycznej. Warszawa, Sowietci, komunizm.

Kolejne etapy przychodziły z wiekiem. I coraz silniej wiązały się z polityką. Jak wtedy, gdy jako uczniowie podstawówki stawaliśmy na warcie głównie w miejscach, gdzie alowcy dokonali zamachów na Niemców. Tradycja Armii Krajowej, Polskiego Państwa Podziemnego, nie mówiąc już o powojennym podziemiu, była obecna ofi-

cialnie tylko w bardzo, bardzo dalekim tle. Tak jak pamięć przedwojennej żydowskiej Warszawy i getta. Tym bardziej nas więc ciekawiła i wciągała. Na własną rękę szukaliśmy po mieście jej śladów – tablic w kościołach, nagrobków

na Powązkach Wojskowych. Wielkie wrażenie robiły daty śmierci z przelomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych i tylko symboliczne groby. Szukaliśmy napisów i szyldów na domach, gazet w bibliotekach.

Do obowiązkowego szkolnego rytuału należały także wówczas – w latach sześćdziesiątych – powitania ważnych osobistości przyjeżdżających do Warszawy. Breżniew, Gagarin, również de Gaulle, szach Iranu Reza Pahlawi i inni przejeżdżali przez miasto między szpalerami złożonymi także z kilku- i kilkunastoletnich dzieci, trzymających transparenty z napisami „Warszawa miasto pokoju wita”. Goście mniej oficjalni i chłodno widziani przez władze, jak np. Robert Kennedy, byli witani przez warszawiaków spontanicznie i serdecznie. O trasie przejazdu i punktach programu dowiadrywano się niezawodną pocztą pantoflową.

Były też bardziej bezpośrednie, i już na poważnie, warszawskie kontakty z dziejącą się na ulicach historią. Po raz pierwszy chyba w marcu 1968 roku. Ciekawość zaprowadziła mnie na Krakowskie Przedmieście pod uniwersytet. Kłęby dymu, biegający z pałkami cywile i milicjanci, chowający się po bramach ludzie, w połączeniu z wiadomościami z domu, zrobili na mnie, uczniu szóstej, a może siódmej klasy szkoły podstawowej, wstrząsające wrażenie.

17 stycznia obchodzimy w stolicy rocznicę wyjątkowego wydarzenia. Tego dnia w 1945 roku do Warszawy weszli Armia Czerwona i żołnierze Berlinga. Wyzwolili miasto – a właściwe resztki, które z niego zostały – od Niemców. I zaczęli siłą wprowadzać własne porządki.

Gdy wspominaliśmy warszawiaków wywiezionych na Syberię, mówiliśmy także o 17 stycznia. Zastanawialiśmy się, czy można tę datę porównywać z 11 listopada 1918 roku. Tu – myślę – tkwi tajemnica chłodu, który panuje między mną a moim miastem. ❄️

Krzysztof Gottesman – dziennikarz, publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN



Rys. A. Szafrański

**Podstawą awansów funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, a później Służby Bezpieczeństwa, były systematycznie sporządzane charakterystyki służbowe. Stanowią one do dziś cenne źródło wiedzy na temat karier ludzi służb komunistycznych.**

**P**osiada perspektywę ro-  
stu” – proszę spokojnie  
czytać dalej. Zdanie  
w cudzysłowie jest na-  
pisane poprawnie. W latach stali-  
nowskich pragnął je usłyszeć niemal  
każdy funkcjonariusz UB. Zwiększa-  
ło ono szanse na awans i potwierdza-  
ło dobrą opinię, którą cieszył się wśród  
przełożonych. Słowo „nie” w zasa-  
dzie przekreślało szanse na dalsze  
lata służby.

Zatrudnienie w takim miejscu jak  
służby specjalne wiązało się z liczny-  
mi utrudnieniami. Jednym z nich, za-  
pewne nie najgorszym, była cykliczna  
ocena efektów pracy każdego funk-  
cjonariusza. W zależności od pionu  
oceniano wyniki prowadzonych  
spraw, sukcesy w werbowaniu agen-  
tury czy przymioty charakteru przy-  
datne w służbach (np. dyskrecję, brak  
nałogów, opanowanie w sytuacjach  
kryzysowych). Z drugiej strony zwraca-  
no uwagę na elementy życia towa-  
rzyskiego, które przecież nie powinny  
interesować pracodawcy. Prześwie-  
lano przeszłość rodziny, sprawdzano,  
z kim dany funkcjonariusz utrzymuje  
stosunki towarzyskie. Na korzyść  
przemawiały znajomości „z resortu”,  
tzn. przyjaźnie z kolegami z pracy,  
spędzanie wolnego czasu w gronie  
rodzin „resortowych”. Z drugiej stro-  
ny „klerykalizm” – czyli bycie wie-  
rzącym, praktykującym katolikiem  
– był nie lada problemem, nawet jeśli  
dotyczył nie samego funkcjonariusza,  
lecz członków jego najbliższej

rodziny. Znane są przypadki wyrzu-  
cenia z pracy funkcjonariuszy SB za  
ochrzczenie dziecka lub ślub kościel-  
ny. W stalinizmie nie do wyobrażenia  
była nawet wizyta w świątyni. Chyba  
że funkcjonariusz był tam służbowo...

Jeżeli dodamy do tego, że „poziom  
ideowo-moralny” oraz stopień zna-  
jomości marksizmu były obowiązk-  
owymi i ważnymi składnikami takiej  
charakterystyki, widzimy, że funk-  
cjonariusze UB/SB byli w istocie jan-  
czarami nowego reżimu. To musieli  
być ludzie pewni, wierzący w system  
i gotowi wiele poświęcić, by go bronić  
przed „wrogiem”, a „wrogami” były:  
Kościół katolicki, przedwojenne elity  
(nawet te socjalistyczne!), osoby z za-  
granicznymi kontaktami (w domyśle:  
szpieczy!), a od lat siedemdziesiątych  
także opozycja demokratyczna.

Z dokumentów dowiadujemy się  
wiele o samych funkcjonariuszach.  
Oprócz odtworzenia ich drogi zawo-  
dowej, czyli kolejnych stopni oficer-  
skich i liczb oznaczających konkre-  
tne komórki organizacyjne UB/SB,  
pisano także o przymiotach charakte-  
ru oraz znajomości języków obcych.  
Dużo rzadziej możemy z dokumentów  
tego typu wyczytać, czym tak napraw-  
dę funkcjonariusz się zajmował. Przy  
odrobnie szczęścia przeczytamy, ilu  
agentów prowadził, nigdy natomiast  
nie będą podane ich pseudonimy ani  
tym bardziej nazwiska. Bardzo rzadko  
opisywano także miejsca lub sprawy,  
którymi zajmował się dany funkcyj-  
niusz, sprowadzając zapis do lakonicz-  
nych zdań typu: „Odnosi duże sukcesy  
na powierzonym odcinku”.

Prezentowany dokument zawiera  
charakterystykę jednego z najbrutal-  
niejszych oficerów śledczych w hi-  
storii Ministerstwa Bezpieczeństwa  
Publicznego. Józef Dusza karierę  
w resorcie rozpoczął już w roku 1945,  
jednak wiatru w żagle nabrał dopie-  
ro w latach 1950–1954, kiedy zajmo-  
wał stanowisko kierownicze w ści-  
śle tajnym Departamencie X MBP  
(wcześniej nazywanym grupą spe-  
cjalną i Biurem Specjalnym MBP).

Ten pion bezpieczeństwa powstał na osobi-  
ste polecenie prezydenta Bolesława  
Bieruta i miał jedno zadanie: walczyć  
z „odchyleniem prawicowo-nacjona-  
listycznym” w Polskiej Zjednoczonej  
Partii Robotniczej, co należało rozu-  
mieć jako zwalczanie Władysława  
Gomułki i jego stronników. Prze-  
słuchiwani przez Duszę komuniści  
byli bici i maltretowani nie mniej niż  
członkowie Armii Krajowej i podzie-  
mia antykomunistycznego. Różnica  
była jedynie taka, że kierownictwo  
Departamentu X MBP (Józef Różań-  
ski, Anatol Fejgin czy Józef Dusza)  
i kilku szeregowych śledczych zosta-  
ło po powrocie Gomułki do władzy  
skazanych za bestialskie metody wy-  
muszania zeznań.

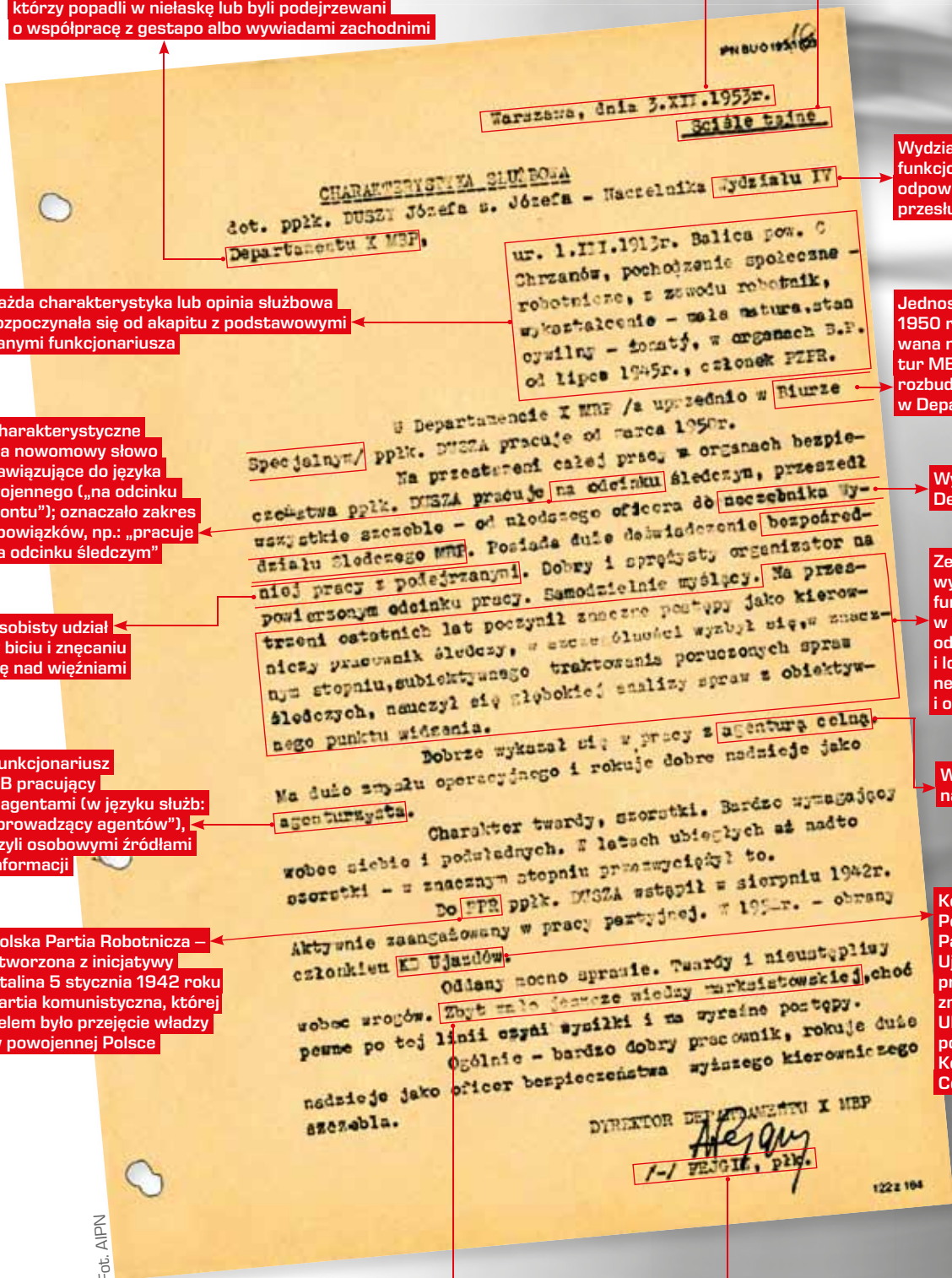
Dlatego też analiza charakterysty-  
ki służbowej Duszy jest tak ciekawa.  
Możemy z nią skonfrontować inne  
liczne dokumenty z archiwum IPN.  
Są to głównie akta procesowe i ze-  
znania świadków dowodzące prze-  
mocy stosowanej przez oficerów  
śledczych. Jeden tylko więzień, Ka-  
zimir Moczarski, wymienił 49 me-  
tod tortur, które na nim stosował  
Dusza. Wśród nich były m.in. przy-  
palanie, wrywanie włosów, miażd-  
żenie palców, pozbawianie snu czy  
wreszcie umieszczenie w jednej celi  
z katem warszawskiego getta – Jür-  
genem Stroopem. Po tym wszystkim  
w przedstawionej charakterystyce po-  
zostały jedynie nieliczne ślady, które  
zostały zaznaczone w komentarzach  
do dokumentu.

Prezentowana charakterystyka po-  
wstała dwa dni przed ucieczką na Za-  
chód jednego z przełożonych Duszy,  
płk. Józefa Światły. Gdy opowiedział  
on na falach Radia Wolna Europa o  
metodach stosowanych w Departame-  
encie X MBP, kariera Duszy i po-  
zostałych oficerów była skończona.  
Część z nich, co było w realiach PRL  
wyjątkiem, poniosła nawet konse-  
kwencje i spędziła kilka lat w wię-  
zieniach. 📌

Powstał w grudniu 1951 roku zamiast Biura Specjalnego MBP; zajmował się zwalczaniem „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego”, czyli represjonowaniem działaczy komunistycznych, którzy popadli w niełaskę lub byli podejrzewani o współpracę z gestapo albo wywiadami zachodnimi

Miejsce i data wytworzenia dokumentu

Najwyższa klauzula tajności



Każda charakterystyka lub opinia służbowa rozpoczynała się od akapitu z podstawowymi danymi funkcjonariusza

Charakterystyczne dla nowomowy słowo nawiązujące do języka wojennego („na odcinku frontu”); oznaczało zakres obowiązków, np.: „pracuje na odcinku śledczym”

Osobisty udział w biciu i znęcaniu się nad więźniami

Funkcjonariusz UB pracujący z agentami (w języku służb: „prowadzący agentów”), czyli osobowymi źródłami informacji

Polska Partia Robotnicza – utworzona z inicjatywy Stalina 5 stycznia 1942 roku partia komunistyczna, której celem było przejęcie władzy w powojennej Polsce

Warszawa, dnia 3.XII.1953r.  
Ścisłe tajne

CHARAKTERYSTYKA SŁUŻBOWA  
dot. ppłk. DUSZY Józefa s. Józefa - Naczelnika Wydziału IV Departamentu X MBP.

ur. 1.III.1913r. Balica pow. C Chrzanów, pochodzenie społeczne – robotnicze, z zawodu robotnik, wykształcenie – męls natura, stan cywilny – żonaty, w organach B.P. od lipca 1945r., członek PZPR.

W Departamencie X MBP /a uprzednio w Biurze Specjalnym/ ppłk. DUSZA pracuje od marca 1950r. Na przesłuchaniach całej pracy w organach bezpieczeństwa ppłk. DUSZA pracuje na odcinku śledczym, przeszedł wszystkie szczeble – od młodszego oficera do naczelnika Wydziału Śledczego MRP. Posiada duże doświadczenie bezpośredniej pracy z podejrzwanymi. Dobry i sprytny organizator na powierzonym odcinku pracy. Samodzielnie wysłuch. Na przesłuchaniach ostatnich lat poczynił znaczne postępy jako kierowniczy pracownik śledczy, w szczególności wysłuch. w znacznym stopniu, subiektywnego traktowania poruczonych spraw śledczych, nauczył się głębokiej analizy spraw z obiektywnego punktu widzenia.

Dobrze wykazał się w pracy z agenturą celną. Ma duże doświadczenie operacyjnego i rokuje dobre nadzienie jako agenturzysta.

Charakter twardy, szorstki. Bardzo wymagający wobec siebie i podwładnych. W latach ubiegłych aż nadto szorstki – w znacznym stopniu przezwyciężył to.

Do MRP ppłk. DUSZA wstąpił w sierpniu 1942r. Aktywnie zaangażowany w pracy partyjnej. W 1952r. – obrany członkiem KC Ujazdów.

Oddany mocno sprawie. Twardy i nieustępliw wobec wrogów. Zbyt mało (zwłaszcza wtedy marksistowskiej), choć pewnie po tej linii czynił wysiłki i na wyraźne postępy.

Ogólnie – bardzo dobry pracownik, rokuje duże nadzienie jako oficer bezpieczeństwa wyższego kierowniczego szczebla.

DYREKTOR DEPARTAMENTU X MBP  
Anatol Fejgin  
1-1 FEJGIN, ppłk.

Wydział śledczy – jego funkcjonariusze odpowiadali za brutalne przesłuchania więźniów

Jednostka powstała w marcu 1950 roku, ściśle zakonspirowana nawet wewnątrz struktur MBP; w grudniu 1951 roku rozbudowana i przekształcona w Departament X MBP

Wydział IV Departamentu X MBP

Ze względu na niski poziom wykształcenia funkcjonariuszy UB w charakterystykach roi się od błędów językowych i logicznych, np. „Jest nerwowo, ale stateczny i opanowany”

Więźniowie donoszący na współwięźniów

Komitet Dzielnicowy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Ujazdów – utworzony przy MBP w 1950 roku, zrzeszał funkcjonariuszy UB, członków partii; podlegał bezpośrednio Komitetowi Centralnemu PZPR

W okresie stalinowskim prócz kompetencji zawodowych ważne były szkolenia ideologiczne funkcjonariuszy; o awansie decydowało zazwyczaj zaangażowanie ideologiczne, a nie jakość pracy

Anatol Fejgin (1909–2002) – przedwojenny komunist, funkcjonariusz Informacji Wojskowej i Urzędu Bezpieczeństwa, dyrektor Biura Specjalnego MBP (1950–1951), Departamentu X MBP (1951–1954); po ucieczce Józefa Światły zwolniony z UB, skazany na 12 lat więzienia za nadużywanie władzy

Fot. AIPN



**P**oczątkowo mogło się wydawać, że wszystko idzie ku dobremu. Nowa władza organizowała lokalne instytucje, rozdawała chłopom pańską ziemię, zapowiadała rychłe demokratyczne wybory. Jednak za tą fasadą trwała rozprawa z podziemiem zbrojnym, które pozostało wiernie rządowi emigracyjnemu. Masowe aresztowania i skrytobójcze mordy stały się narzędziami w walce o władzę. Wielu dotychczasowych konspiratorów i partyzantów, którzy po wypędzeniu Niemców pragnęli wrócić do normalnego życia, w obawie przed aresztowaniem powracało do lasu, gdzie mogli się czuć w miarę bezpiecznie i stawiać opór nowemu okupantowi oraz tym rodakom, którzy mu pomagali.

Jednak z czasem ostępy leśne czy zabudowania zaprzyjżnionych gospodarzy przestawały być bezpieczną przystanią. Ludzie – zarówno niezrzeszeni, jak i ci, którzy musieli kontynuować walkę – byli zmęczeni ciągłym napięciem spowodowanym zagrożeniem życia. Lata okupacji odcisnęły na nich piętno – chcieli żyć normalnie w spokojnym kraju. Naprzeciw ich dążeniom wychodziła komunistyczna propaganda, nawołująca do donosów na ukrywających się „bandytów” spod znaku Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych, Batalionów Chłopskich. Z drugiej strony, ludzie uwięzieni w katowniach sowieckich i polskich komunistycznych organów bezpieczeństwa nie wytrzymywali przesłuchań lub – w obawie o swoje życie – decydowali się na współpra-

cę z UB. Tragizm tej sytuacji polegał na tym, że w wielu przypadkach do śmierci żołnierzy podziemia niepodległościowego doprowadzali, z tych czy innych powodów, ich dawni koledzy – towarzysze broni.

Wśród licznych zgromadzonych w IPN fotografii Żołnierzy Wyklętych nieczęsto zdarza się odnaleźć zdjęcie żołnierza podziemia – czy też oddziału niepodległościowego – wykonane



▶ Aleksander Młyński „Draǵal”

w profesjonalnym studiu fotograficznym. Na sąsiedniej stronie prezentujemy taki właśnie przypadek. Jeszcze ciekawsze od samego zdjęcia są losy dwóch osób, których wizerunki utrwalił nieznany fotograf. Po prawej stronie siedzi Aleksander Młyński „Draǵal” – postrach bezpieki i komunistów na Kielecczyźnie. Nad nim pierwszy z prawej stoi Marian Bukala „Zbych” – towarzysz broni, a następnie agent Urzędu Bezpieczeństwa o pseudonimie „15”.

Aleksander Młyński działalność konspiracyjną rozpoczął w 1946 roku. Głównym powodem tej decyzji był incydent z pierwszej połowy tegoż roku, mający miejsce podczas zabawy we wsi Gozdawa koło Siennej – rodzinnej miejscowości Młyńskiego. W czasie sprzeczki Młyński rozbroił pijanego komendanta Milicji Obywatelskiej z Rzeczniowa. Pech chciał, że wkrótce ów funkcjonariusz został zabity w wyniku bandyckiego

napadu. O czyn ten oskarżono Młyńskiego, mimo że odebrane milicjantowi pistolety oddał kilka godzin później sołtysowi. Zagrożony aresztowaniem przez UB, zaczął się ukrywać. Nawiązał kontakt z Antonim Owczarkiem „Zygadłą”, a następnie zasilił jego oddział, przyjął pseudonim „Draǵal” i został dowódcą drużyny. W oddziale „Zygadły” działał do listopada 1946 roku, dokonując w tym czasie udanego zamachu na sowieckiego doradcę, komendanta Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Kozienicach, kpt. Wasyla Leśnikowa. W listopadzie Antoni Owczarek

ujawnił swój oddział i wkrótce został aresztowany przez UB w Radomiu. W obawie o swoje życie „Draǵal” pozostał w konspiracji i wkrótce potem, jako dowódca patrolu, wszedł w skład oddziału ppor. Tadeusza Zielińskiego „Igły”.

W lutym 1947 roku Młyński ujawnił się, ale – zagrożony aresztowaniem – ponownie przeszedł do podziemia, odnawiając kontakt z „Iglą”. Po kilku miesiącach współpracy z nim, na przełomie 1947 i 1948 roku, ▶



Fot. AIJPN

► Członkowie oddziału „Drażała” – od lewej: Tadeusz Marszał „Daszko”, Zbigniew Ejnenberg „Powstańczyk”, Antoni Szeliga „Wicher”, Jan Grzegorzczak „Jastrząb”, Aleksander Młyński „Drażała”

patrol „Drażała” podjął samodzielną działalność. Wśród żołnierzy tego oddziału był Marian Bukala „Zbych”, którego Młyński poznał podczas walki pod komendą „Zygadły”. W trakcie jednej z potyczek rannego Bukalę wyniósł z pola walki właśnie „Drażała”. „Zbych” w 1948 roku opuścił oddział i udał się na Ziemię Odzyskane.

W latach 1948–1950 oddział Aleksandra Młyńskiego dał się bardzo mocno we znaki UB i władzy komunistycznej. Radomska i kielecka bezpieka miały się różnych sposobów, aby oddział zlikwidować. Nie pomagały rozległa sieć agencjonalna ani liczne obławy. „Drażała”, dzięki doświadczeniu, pomocy okolicznej ludności i przy odrobinię szczęścia, potrafił uciec z każdej zasadzki, a potem jeszcze zaatakować.

► Funkcjonariusze UB nie tylko zamordowali „Drażała” i jego żołnierzy, lecz także sprofanowali i sfotografowali zwłoki

W końcu działania bezpieki poskutkowały. 23 lipca 1950 roku w Kostrzynie nad Odrą UB aresztował Mariana Bukalę. Ten złożył obszerne wyjaśnienia, a następnie, w zamian za obietnicę wolności, zgodził się wziąć udział w akcji likwidacji swojego byłego dowódcy. Bezpieka stworzyła oddział pozorowany, w którego skład weszło:

trzech doświadczonych funkcjonariuszy UB oraz „Zbych”. 20 sierpnia 1950 roku oddział rozpoczął działalność. Grupa dokonała kilku napadów, dążąc jednocześnie do nawiązania kontaktu z „Drażałem”. Do feralnego spotkania doszło 25 sierpnia w Kolonii Wawrzyszów pod Wolanowem, niedaleko obejścia rodziny Dźbików. Po obiedzie funkcjonariusze UB oraz zdrajca zastrzelili „Drażała” i towarzyszących mu podkomendnych:

Zbigniewa Ejnenberga „Powstańczyka” oraz Zygmunta Chmielewskiego „Lwa”. Następnie ciało Młyńskiego przewieziono do Wolanowa, stamtąd do Kielc, a później do Warszawy. Za zlikwidowanie „Drażała” posypały się nagrody finansowe oraz awanse. Marian Bakula natomiast za swoje zasługi... został ukarany. UB nie zamierzał dotrzymać słowa i „Zbych” trafił do więzienia z dożywotnim wyrokiem pozbawienia wolności. Zza krat wyszedł dopiero w 1962 roku, po kilku listach do najwyższych władz partyjnych, w których przypominał o swoich zasługach w likwidacji „bandyty” – „Drażała”.

Robert Szcześniak – pracownik Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN



Fot. AIJPN

# Nie ma się czym chwalić

**Z Tomaszem Blattem, jednym z ostatnich żyjących uciekinierów z niemieckiego obozu zagłady w Sobiborze, rozmawiają Maciej Foks i Tomasz Sudol**

**W 1958 roku spotkał się Pan w Hamburgu z byłym esesmanem Kurtem Engelsem, w czasie wojny katem getta w Izbicy. Gdy stanął przed sądem, zeznawał Pan w jego procesie.**

Wiedziałem, że Engels miał kawiarnię. Kiedy dostałem wezwanie do sądu, chciałem przed złożeniem zeznań zobaczyć, czy to ten sam człowiek. Nikt mi nie chciał dać adresu. Wreszcie przekazała mi go po cichu sekretarka w sądzie. Engels wcale się nie chował: kawiarnia miała szyld „Café Engels”. Zamawiając kawę, zapytałem kelnerkę, czy wie, gdzie jest pan Engels. Podeszła do mnie żona Engelsa. „To pan przyjechał może jako świadek? Czy to prawda, że Kurt zrobił to? Czy to prawda, że zrobił tamto?” – pytała. Potwierdziłem. „Mhm, dobrze” – odeszła. Przez dziesięć dni sędzia spisywał moje zeznania. „Jutro będzie tutaj osiem osób, musi pan go rozpoznać. Od tego wszystko zależy” – usłyszałem od sędziego. „Poznam bandytę, nawet gdyby zmienił się sto razy” – odpowiedziałem. Engelsa poznałem po złotym zębie. I od nowa, przez jakieś dziesięć dni, musiałem zeznawać. Mniej więcej piątego dnia sekretarka zapytała, czy może wpuścić żonę Engelsa. Zgodziłem się. Pamiętam, jak kobieta spojrzała na męża, rzuciła mu w twarz obrączkę i wyszła. Wyjechałem, w domu czekał na mnie telegram, że Kurt Engels popełnił samobójstwo.

**Engels był wyjątkowo zniechęconym funkcjonariuszem gestapo. Do Izbicy przyjechał w 1941 roku...**

... i z miejsca dał o sobie znać. Zanim ruszył Żydów, wziął się za polską inteligencję. Aresztowano właściciela piwiarni, który niby powiesił się w więzieniu, ale prawdopodobnie wykończył go Engels. Engels wyjeżdżał gdzie ciężarówką i przywiózł Polaków z Ostrzyc i Mchów. Ci więźniowie trafiali na Majdanek. Skąd to wiem? Do obozu na Majdanek trafiła narzeczona szofera Engelsa, Heńka Królikowskiego. Wymógł on na Engelsem, by ją zwolnili. Nazwisko zbrodniarza stało się głośne w Izbicy i okolicach. Od rana wariował na ulicy. Kiedy widział kogoś z daleka, czy to Żyd, czy Polak – strzelał.

**Parę lat temu ponownie przyjechał Pan do Niemiec na proces innego zbrodniarza wojennego – Iwana Demianiuka.**

Zadeklarowałem, że mogę opowiedzieć o miejscu pracy jednostki, w której służył, i tym, co słyszałem – ale jego nie pamiętam. Kto wtedy znał nazwiska Ukraińców? Ledwo kojarzyli-

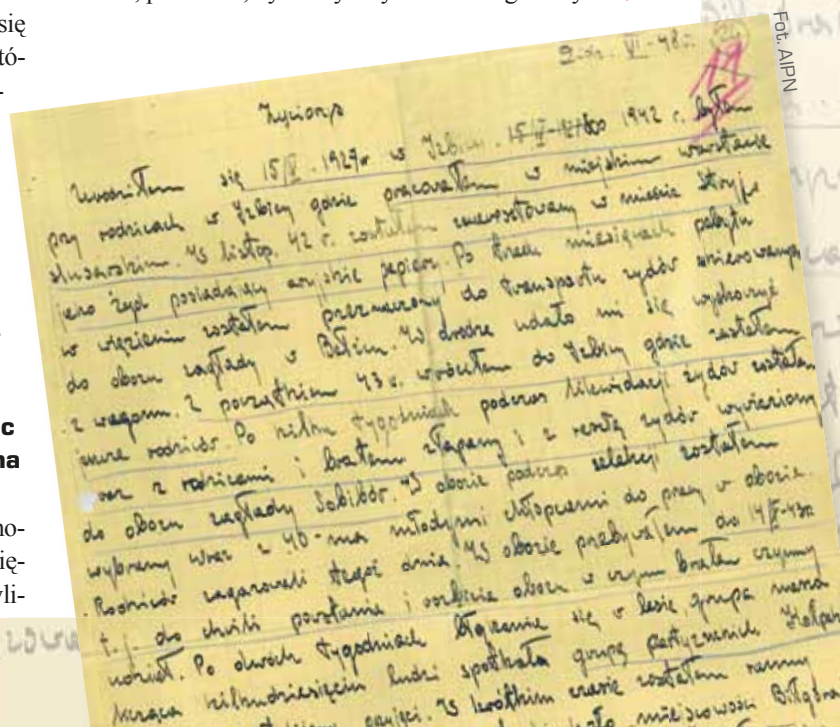


Fot. Maciej Foks

**Tomasz Blatt** (ur. 1927) dorastał w rodzinie żydowskiej w Izbicy na Lubelszczyźnie. W czasie niemieckiej okupacji pracował jako ślusarz, posługując się „aryjskimi” dokumentami na nazwisko Bolesław Stankiewicz. Trafił do obozu zagłady w Sobiborze, skąd uciekł w październiku 1943 roku – w trakcie powstania więźniów, w którym brał udział.

Przeżył wojnę jako jedyny z najbliższej rodziny. Wstąpił do Polskiej Partii Robotniczej. Służył krótko w ludowym Wojsku Polskim, był uczestnikiem kursu w Oficerskiej Szkole Politycznej w Łodzi. Od lata 1948 roku pracował jako młodszy referent w placówce puckiej Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Wejherowie. Jesienią 1949 roku został dyscyplinarnie zwolniony ze służby. W 1957 roku wyjechał do Izraela, a rok później – do USA. Uzyskał obywatelstwo amerykańskie, prowadził salon kosmetyczny w Kalifornii. Wydał książki tłumaczone na kilka języków: *Z popiołów Sobiboru*, *Sobibór – zapomniane powstanie*. Jego wspomnienia wykorzystano przy produkcji głośnego filmu *Ucieczka z Sobiboru* (1987). W 2013 roku został odznaczony przez prezydenta Bronisława Komorowskiego Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi RP.

śmy nazwiska Niemców. Z Ukraińcami właściwie nie mieliśmy kontaktu. Dodałem, że w zasadzie każdy, kto pracował w tej jednostce, jest zbrodniarzem – oni pilnowali więźniów, by nie uciekli, pilnowali, by ofiary szły do komór gazowych. ➤



Fot. ALPN



Fot. Maciej Fokas

► Uroczystości 70. rocznicy powstania w Sobiborze – Tomasz Blatt (pośrodku) z Filipem Białowiczem (z lewej) i Julesem Schelvisem – holenderskim Żydem przeniesionym z Sobiboru do Dorohucz i Auschwitz

### O mordowaniu ludzi gazem dowiedział się Pan po przybyciu do obozu zagłady czy wcześniej?

Już w 1940 roku krążyły pogłoski o tym, że Niemcy gazują. W naszym domu w Izbicy zakwaterowano uchodźców z Koła. Kierownik stołówki dostał list od syna; mówił, że gazują ludzi w Chełmnie. Moi rodzice nie uwierzyli, śmiali się z tego. Później już wiedzieliśmy. W połowie roku 1942 wszyscy wiedzieli, że pociąg przyjeżdża, wagony są otwarte, jutro lub dziś jeszcze będzie łapanka. W październiku 1942 roku chciałem uciec na Węgry. Miałem wyrobione polskie papiery, tzw. aryjskie. Jechałem razem z panem o nazwisku Gajosz. Dojechaliśmy do Bełżca, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy. Zauważyłem, że ludzie zamykają okna, palą papierosy. Co jest? „To Bełżec, to Bełżec” – usłyszałem. Przez okno widziałem płomień, jak pożar. Nie wiedziałem, co się pali, bo płoty były zamaskowane młodą jedliną. Papierosy palono po to, żeby nie czuć smrodu ciała.

### Jak Pan trafił do obozu w Sobiborze?

28 kwietnia 1943 roku o czwartej rano w Izbicy obudził nas wystrzał z karabinu. Wskoczyłem z łóżka, spojrzałem przez okno na strychu, cały budynek był otoczony. Wszystkich złapali, zabrali na rynek ok. 14.00. Musieliśmy trzymać ręce podniesione do góry. Zauważyłem dwie kryte plandeką ciężarówki, przed nimi stał osobowy samochód wojskowy. Zawieziono nas do Sobiboru.

Obóz składał się z czterech działów, tzw. obozów. W pierwszym była wyłącznie siła robocza. Tam mieszkaliśmy, spali-

śmy i jedliśmy. W obozie drugim ludzie się rozbierali, sortowano rzeczy, były tam magazyny i piekarnia. Nasza praca sięgała aż do obozu trzeciego, przy którym było lądowisko. W zeznaniach tych, którzy uciekli, nie widzę, by o nim wspomnieli. Też się dziwiłem, że jest tu taki obiekt. Naskwicował je dopiero aresztowany Kurt Bolender, który pracował jako esesman w obozie trzecim. Samolotem raz w miesiącu zabierano walizkę kosztowności. Praca fizyczna w Sobiborze była lepsza niż w obozach koncentracyjnych. Sortowanie odzieży po zabitych nie wymaga tyle siły, z tym że to był nasz koniec. W obozie koncentracyjnym, jak Auschwitz czy Dachau, była możliwość przeniesienia do fabryki. Jeżeli byłeś młody i silny, miałeś szansę przeżyć. I ok. 30 tys. osób przeżyło, z tego co wiem. Obóz śmierci w Sobiborze oznaczał koniec. Nawet gdyby Niemcy skapitulowali, z pewnością by nas wykończyli.

### Czy sortowanie odzieży to jedyna praca, którą Pan wykonywał?

Pracowałem też w *Waldkommando*, poza drutami, wychodziliśmy do lasu; następnie – w dwudziestoosobowej grupie rozbierającej pożydowskie domy we Włodawie. W końcu wylądowałem jako *Feuermann*. Moim zadaniem było palenie dokumentów po zamordowanych. Zostawiałem rozpalony piec na noc. Rano czyściłem ruszty. Znajdowałem złote obrączki, dwudziestodolarówki. Pracowałem tam do ucieczki.



Fot. Maciej Fokas

### Kogo Pan zapamiętał z załogi obozowej?

Pamiętam nazwisko Ukrainca, Klatta, mówiono, że był dobry, że nie bił. Podczas powstania był jednym z pierwszych, których zabito. Do obozu w Sobiborze było przypisanych ok. 30–35 Niemców. W mojej książce *Z popiołów Sobiboru* jest ich więcej, dużo więcej, korzystałem z listy zeznań

różnych Niemców. Wziąłem pod uwagę tych, którzy przyszli na dzień lub dwa. Było dwóch braci Wolfów, jednego podczas ucieczki zwałem do mojego miejsca pracy i tam został zabity. Bolender po latach popełnił samobójstwo w więzieniu. Karl Frenzel był komendantem obozu pierwszego. Najgorszy był zastępca komendanta Gustav Wagner. Kiedyś podczas palenia dokumentów znalazłem encyklopedię niemiecką, a w niej zdjęcie pasa cnoty. Zacząłem czytać. Mój pomocnik, którego nazywałem „ślepy Karolkiem”, miał stać przy drzwiach i patrzeć, czy nie nadchodzi Niemiec. Niczego nie zauważył, za to ja spostrzegłem przesuwający się na zewnątrz cień. Wrzuciłem książkę do pieca. Wpadł Wagner. *Hast du geschlafen?* – zapytał. Zorientowałem się, że właściwie nic nie widział. „Nie” – odpowiedziałem. „Spałeś?” – kontynuował Wagner. Zaprzeczyłem ponownie. Wiedziałem, że karą będzie kula w łeb. Zaczął mnie

gonić wokół pieca, który stał pośrodku, bić mnie pogrzebaczem. Kazał mi wyjść na zewnątrz. Stała tam beczka wody. Nie musiał niczego mówić. Zdjąłem spodnie i położyłem się na niej. Musiałem liczyć uderzenia. Kiedy doliczyłem do 25, pozwolił mi wstać i odejść.

**W 1983 roku przeprowadził Pan wywiad z Karlem Frenzlem. Nie czuje Pan wyrzutów sumienia, że się z nim spotkał po wyjściu z obozu?**

W 1983 roku byłem na jego procesie w RFN. Chciałem mu zadać kilka pytań. Poprosiłem o to przyjaciela, Güntera. Zabroniłem, by dawał Frenzlowi pieniądze. Poszedł. Pięć minut później zadzwonił telefon. „Tom, on chce z tobą porozmawiać” – powiedział Günter. Nie chciałem wierzyć. Myślę sobie: „Co tu robić? Jeżeli pójdę, koledzy mogą wytykać mnie palcem: »Jak mogłeś! Bo wybrał cię do pracy? Nie zrobił tego, żebyś żył, tylko żebyś mu buty czyścił. Zabiłby cię jak każdego innego, nawet by nie pamiętał, co zrobił«” – takie mogliby mieć do mnie pretensje. W końcu pomyślałem: „Niech mnie wytyka palcem, kto chce. Umrę, ale coś zostanie. To będzie relacja uczestnika historii, a nie że jeden pan drugiemu panu powie-dział”. Umówiłem się z nim w hotelowym lobby. Siedział przy butelce piwa. Kiedy mnie zobaczył, z miejsca wstał i trzasnął butami. Chciał mi nawet, zdaje się, rękę podać, oczywiście nie podałem. Zaczęliśmy rozmawiać. Niektórzy mnie pytają, czy się bałem. Nie, nie bałem się, ale dużo zdrowia mnie to kosztowało. Nie żałuję, że to zrobiłem.

**Frenzel w rozmowie z Panem przyznał się do udziału w zabiciu wielu osób. Jak Pan na to zareagował?**

Musiałem wyłączyć wszelkie uczucia, pisać jako dziennikarz. Z Frenzlem rozmawiałem szczegółowo o planie obozu (konsultowałem go także z esesmanem Erichem Bauerem).

**Z żoną Frenzla spotkała się Pana żona. Co usłyszała?**

Żona Frenzla powiedziała, że mąż nie lubi, kiedy kanarek, którego mają w domu, jest zamknięty w klatce. Według niej mąż chciałby przeprosić za swoje zbrodnie, ale wie, że nie może tego zrobić, że nikt mu nie przebaczy.

**Był Pan świadkiem zbrodni popełnionych przez Frenzla?**

Leona Blatta – nie był moim krewnym – znaleziono w lesie po ucieczce *Waldkommando*. Pamiętam, że Frenzel kazał, by



Fot. Maciej Foks

► Tomasz Blatt i Jules Schelvis

więzień zabił go pejcem. Widziałem, jak konał. Najgorszym typem, jaki można sobie wyobrazić, był Wagner. Gdyby był obecny w czasie powstania, nie udałoby się, był za inteligentny. Robotnicy musieli zbierać do koca buty po pomordowanych i przenosić w inne miejsce. Wtedy się szmuglowało. Przy sortowaniu znajdowano konserwy, rzucano je między buty. Wagner kazał więźniowi rozłożyć koc, znalazł pudełko. Kazał mu odejść jakieś dziesięć kroków i wejść do dołu. Wyrzucił cały magazynek z parabellum. Dziwiłem się, jak długo człowiek może ustać. Myślę, że więzień stał tak długo, by Niemcy go dobili, inaczej wrzuciliby go półżywego do ognia.

**Kiedy usłyszał Pan po raz pierwszy, że jest planowana ucieczka?**

Zawsze się mówiło o ucieczce, ale nic konkretnego. Gdyby nie rosyjski Żyd Sasza Peczerski, nie siedziałbym przy tym stole. Dowiedziałem się tydzień przed.

Najpierw trafiłem do bramy. Świsł kul, padają koledzy. Zawróciłem do obozu. Miałem duże szczęście. Potem znalazłem się przy furcie między drutami, to był korytarz, gdzie chodzili wartownicy. Miałem już dwa druciane zasieki za

►



Z gmachu Urzędu B. P. nie wynosić.  
Przed wypełnieniem przeczytać ankietę od początku do końca.  
Odpowiedzi muszą być prawdziwe i dokładne.  
Nie wolno zostawiać bez odpowiedzi żadnego pytania.



## ANKIETA SPECJALNA

Pytania	Odpowiedzi
1. Nazwisko i imię oraz imiona rodziców (kobiety zamężne podają także nazwisko panieńskie).	a) prawdziwe Horse Blatt z Żona b) w/g dokumentów (pełne wszystkie) Stankiewicz Bolesław J. Żona
2. Pseudonim (Podać kiedykolwiek jakimś w organizacji)	
3. Płeć	
4. Data urodzenia	
5. Miejsce (Podać powiat)	
6. Narodowość	
7. Wykształcenie	
8. Obywatelstwo (Jeżeli obywatelstwo polskie)	
9. Wykształcenie (Podać klasę, otrzymaną i g.)	

sobą. Przedemną jedną drutę, miny i niby wolność. Miałem przejść przez dziurę w płocie. Ludzie wdrapywali się na ogrodzenie z drutów kolczastych, jak po drabinie. W pewnym momencie, kiedy byłem już w połowie poza płotem, ogrodzenie zważyło się pod ciężarem ludzi, przyciskając mnie. Myślałem, że to koniec. Byłem zdrowy, niepostrzelony, a znalazłem się w matni drutów kolczastych. Kiedy większość ludzi przebiegła nade mną, wyslizgnąłem się, zostawiając za sobą płaszcz. Biegłem, dwa razy upadłem. Myślałem, że jestem ranny, ale nie byłem. Do tej pory się zastanawiam, za co prezydent RP przyznał mi medal. Za powstanie? Szybko uciekałem, jak tylko mogłem, za to się medali nie daje.

Dotarłem do lasu. Biegłem, aż Sasza zebrał nas razem. W pierwszym rzucie było nas ponad pięćdziesięcioro. Większość podążała za nim, ja również. Potem doszła druga grupa, dwudziestoosobowa. Sasza wziął wszystkich z bronią, odebrał się od naszej grupy pod pretekstem, że idzie dowiedzieć się, gdzie jesteśmy, i kupić jedzenie. Obiecał, że wróci, ale nie wrócił. Po wojnie byłem u niego w domu, w Rostowie. Mówił, że uciekł z Sobiboru i poszedł do wojska. Nikt z nas nie będzie go oskarżał, że zrobił coś złego.

**Przecież zostawił Was prawie bez broni, bez przywództwa, czekaliście na niego. Nie sądzi Pan, że Was zdradził?**

Zostawił nam jeden karabin. W trakcie spotkania w Rostowie powiedziałem mu, że mógł stworzyć oddział partyzancki. Nie

► Rekomendacja Tomasza Blatta do służby w bezpieczeństwie

M.P. 24/VI. 1948

**ZASWIADOCZENIE.**

Mniejszym zaswiadczałem iż Ob. Stankiewicza Bolesława w/ Blatt Henryk Tom znam z okresu pobytu w obozie załadu Sobibór n/b. W obozie zachowywał się bez zarzutu. Brał czynny udział w akcji powstania w 1943 r., która umożliwiła wszystkim więźniom ucieczkę do lasu. Jest przekonany demokratycznych, zasługuje na otrzymanie pracy w Organach Bezpieczeństwa.

St. Ofic. Informacji  
S - Szef Biura K.B.S.  
1-10-48 1 s 1 por.

dalibyśmy się złapać drugi raz. Odpowiedział, że jako żołnierz podlegał innej odpowiedzialności karnej. „Gdybym powiedział prawdę, że odchodzimy, toby nas pozostali uciekinierzy nie puścili. Wszyscy byśmy zginęli” – dodał. Nie była to jednoznaczna odpowiedź, ale go usprawiedliwiam. Bo widziałem, co się działo. Czekaliśmy całą noc. Zbliżał się ranek, a oni nie wracali. Zaczęły się tworzyć grupki według koleżeństwa, pochodzenia z jednego miasta. I każdy uciekał. Ja też wziąłem do siebie dwóch kolegów. W jaki sposób się uratowałem? Los, szczęście, instynkt, przypadek.

**Po ucieczce pomogło Panu wielu Polaków.**

Bez ich pomocy bym nie przeżył. Byli Polacy, którzy dawali mi jeść codziennie. Jedliśmy z jednej miski, ziemniaki okraszone, nieskoszerne jedzenie. Spotkałem dusze dobre i złe. Pamiętam biedną chałupkę na wzgórzu, w której była młoda kobieta. Zapytałem, czy może nam sprzedać jedzenie. Dała i nie chciała zapłaty. „Pan Jezus powiedział, żeby głodnych nakarmić, a spragnionych napoić” – powiedziała. Za to, co chcieliśmy jej dać, mogła sobie dużo lepszą chałupkę wybudować. Nie chciała.

**Jak Pan zapamiętał wejście Sowietów?**

Zobaczyłem jeźdźca w czarnej pelerynie zmierzającego w moim kierunku. Potem zauważyłem umundurowanego człowieka na rowerze. Kiedy przejeżdżał, zobaczyłem czerwoną gwiazdę. *Germańców niet?* – zapytał. „Nie ma” – odpowiedziałem. Odwrócił się i pojechał z powrotem. I to było całe wyzwolenie. „Psiakrew – pomyślałem – oto godzina, o której sądziłem, że będę wyzwolicielem całował. A to odbyło się tak po prostu”. I wtedy uświadomiłem sobie, że jestem sam. Poszedłem do Izbicy. Doszedłem do miasteczka, w którym znałem każdy kamień, i nagle poczułem się obcy. Nie mogłem nawet wejść do swojego mieszkania.

**Pańska znana fotografia widnieje w aktach funkcjonariusza Urzędu Bezpieczeństwa. Zgłosił się Pan do pracy w UB?**

Nie można powiedzieć, że się zgłosiłem, ale faktycznie tam pracowałem. Nie znałem się wtedy na polityce. Wzięli mnie na spytki, że mogę zostać skazany za rozbój, chyba że będę współpracował. Myślałem, że ta praca ułatwi mi znalezienie Bojarskiego.

**Kto to był Bojarski?**

Po mojej ucieczce z obozu ukrywał mnie i dwóch kolegów. Kiedy uznał, że to dla niego niebezpieczne, postanowił nas zabić. Mnie się udało uciec, ale do jednego kolegi strzelił skutecznie.

**Czym się Pan zajmował?**

Co tydzień kierownik dawał mi stertę papierów, zezwolenia na zabawy. Miałem je podpisać. To było w roku 1948. Podałem, że chcę się uczyć. Wysłali mnie do Gdańska.

W 1949 roku wyrzucono mnie z UB. Powodem była niesubordynacja.

### **W Pana biografii raczej próżno szukać wątku pracy w UB...**

Po pierwsze, nie ma się czym chwalić. Jest jeszcze inna sprawa. Miałem przyjaciela, Polaka, nie pamiętam, jak się nazywał. Był złodziejem. Pewnego dnia ukradł mi legitymację, dowód osobisty i zniknął. Podejrzewam, że gdzieś nabroił. Czasami myślę mnie z nim. Potem słyszałem o UB, że mordowało, że katowało ludzi.

### **Nie wiedział Pan o tym, kiedy tam pracował?**

Nie. O biciu nie wiedziałem.

### **Przyjeżdżał Pan do PRL w latach sześćdziesiątych. Czy zdawał Pan sobie sprawę z tego, że obserwowała Pana Służba Bezpieczeństwa?**

Chodzili za mną, nawet zdjęcia im robiłem. Zanim obserwujący ruszył migawką, zrobiłem mu dziesięć zdjęć. Nie byłem związany z żadną służbą. Pojechałem także do Gdańska. Kiedy trzymałem wysoko aparat, robiąc zdjęcia w okolicach kościoła, do którego chodził Lech Wałęsa, zatrzymała mnie milicja. Zaprzeczyłem, że fotografowałem. Nie wiedzieli, co ze mną zrobić, bo miałem zaproszenie do Polski i nie byłem szpiegiem. Przyjeżdżałem do Polski kilka razy, bo miałem już wtedy pieniądze, przedtem byłem biedny. Kiedy mnie zwolnili z bezpieczeństwa, przeżywałem ciężki okres, głodowałem nawet do znalezienia następnej pracy.

### **Pana wspomnienia wykorzystano przy produkcji filmu *Ucieczka z Sobiboru* (1987).**

Powiedziałem, że muszę być przy kręceniu. Na planie zobaczyłem, jak z pociągu wysiada zwarta grupa jeńców. Maszerują w wojskowych pasach. Powiedziałem reżyserowi, że jeńcy nie noszą wojskowych pasów i trzeba to poprawić. „Nie możemy – usłyszałem – bo to będzie nas kosztowało 30 tys. dolarów”. Druga rzecz: aktor grający przywódcę powstania miał jasne włosy. Sasza Peczerski miał ciemne.

**W filmie jest scena, w której chłopiec, więzień, idzie *Himmelstraße* i wchodzi do obozu trzeciego, w którym pod pozorem dezynsekcji gazowano ludzi. Następnie wraca i opowiada, co widział. To dość nieprawdopodobne...**



Fot. AIPN

► Podczas pobytów w Polsce w latach sześćdziesiątych Tomasz Blatt był obserwowany przez bezpiekę

Wymyślone. Tak było, tylko że nikt tego nie widział. Ludzie, będąc w komorze gazowej, nie wiedzieli, że zginą. Kiedy ścinałem włosy kobietom, zanim poszły do komory gazowej, prosiły, żeby nie za krótko – osoby z transportów z zachodu nie wiedziały. Polscy Żydzi zdawali sobie sprawę z tego, że za chwilę zostaną zagazowani, i mówili inaczej. Pytali, dlaczego tutaj pracujemy. Mówili, że i na nas przyjdzie czas. Nazywali nas fryzjerami.

### **Filip Białowicz, inny uciekinier z Sobiboru, twierdzi, że znaczący udział w buncie miał Leon Feldhendler. Jak Pan ocenia jego rolę?**

Był wtajemniczony w powstanie, ale nic szczególnego nie zrobił. Prawdziwym dowódcą był Sasza Peczerski. Nie chciałem, by wyglądało na to, że tylko Żydzi rosyjscy wywołali powstanie. Chciałem w filmie uwidocznić udział polskich Żydów

i tak w scenariuszu doczepiłem Feldhendlera. On walczył, ale w czasie powstania nie odegrał większej roli. Wiem to na pewno, bo widziałem. Miał nóż. Może spotkał jakiegoś Niemca, którego zabił. Prócz trzech albo czterech ludzi w Sobiborze nikt go nie znał. Filip Białowicz opisuje, że podczas ucieczki, dwóch więźniów wskoczyło na stół i wygłosiło przemowę. Był tylko jeden: Peczerski. Nie mówię, że Białowicz kłamie, ale nie ma już pamięci. W rzeczywistości Feldhendler nie był znaną osobistością. ■



Fot. AIPN



# Sfabrykowana rewolucja

Paweł Rzewuski

W komunistycznej propagandzie krakowskie zamieszki z 6 listopada 1923 roku starano się przedstawić jako powstanie, a nawet rewolucję. Chodziło o ukazanie Polski jako kraju, który od dawna dążył do wejścia w orbitę państw komunistycznych. W ten sposób usprawiedliwiano przed- i powojenne działania sowieckie wobec Polski.

Pierwsze lata po zakończeniu I wojny światowej były niezwykle niespokojne. Nad Europą krążyło widmo komunizmu. Między rokiem 1918 a 1919 w Niemczech, Austrii, Finlandii oraz na Węgrzech doszło do zrywów rewolucyjnych, jednak bez trwałego skutku. Wódz bolszewików, Włodzimierz Lenin, dążył do tego, aby ogień rewolucji ogarnął całą Europę. Wykorzystywano więc każdą nadarzącą się okazję, by w kolejnych krajach wprowadzić komunizm na drodze przewrotu. Niekiedy próby te były dokonywane wręcz wbrew miejscowym komunistom.

Ważnym punktem na mapie rewolucyjnego podboju świata była Polska.

Gdyby w kraju leżącym w bezpośrednim sąsiedztwie powstającej „ojczyzny światowego proletariatu” wybuchła rewolucja i sytuacja rozwinęła się w obiecujący sposób, mogłoby to posłużyć za pretekst do wkroczenia Armii Czerwonej. Nic też dziwnego, że w Moskwie ze szczególną uwagą obserwowano wydarzenia, które miały miejsce na terenie mozołnie odbudowującej się Rzeczypospolitej – szczególnie wydarzenia z listopada 1923 roku.

## Inflacja, drożyzna, strajk

Sytuacja gospodarcza II Rzeczypospolitej była tragiczna – w piątym roku niepodległości w Polsce szalała hiperinflacja i marka polska była walutą słabą, o nikłej mocy nabywczej. Do listopada

1923 roku kurs dolara wzrósł z 52 tys. do 2 mln marek polskich. W wyniku kolejnego przesilenia politycznego podpisano tzw. pakt lanckoroński, czyli porozumienie między partią ludową a chrześcijańską prawicą (ChZJN). W rezultacie powstał rząd Chjeno-Piasta, potocznie nazywany Chjeną. Dwóm blokom udało się stworzyć stabilny rząd, lecz nie zapobiegło to pogłębianiu się kryzysu gospodarczego. Próbowano stosować zwyczajowe w takich sytuacjach środki *ad hoc*, czyli podnosić podatki oraz ciąć wydatki. W szczególnie trudnej sytuacji znalazła się stolica Małopolski – wyższe niż w pozostałych częściach kraju były ceny nie tylko podstawowych produktów, lecz przede wszystkim opału. Jesień roku 1923 upłynęła w Krakowie pod znakiem strajków. Przez cały październik w mieście działali spekulanci, którzy w znacznym stopniu przyczyniali się do wysokich cen węgla. Miejskie władze zupełnie nie mogły sobie poradzić z aprowizacją, a nabycie nie tylko



„ILUSTROWANY KURIER CODZIENNY” — Nr. 260. Piątek, 9 listopada 1923 r.

## Kraków w ogniu zaburzeń.

### Z dni ubiegłych.

(m) Strajk powszechny, który wybuchł w Krakowie w poniedziałek godz. 9 rano zmienił charakter, a stał się strajkiem. Przeszły kursować ulicami nikt nie jeździł, służyły jedynie strażnicy, zapuszczając żelazne sznurki i strasząc z placu Szczepańskiego. Wśród okrzyków zabrawali walcze realności.

Zycie powraca na normalne tory, dwudniowe pobawienie nas dobrodziejstw wynalazków cywilizacji — nauczyło cenić nieszczęście, co posiadamy.

Pierwszy dzień...

binom żołnierzy został ciężko ranny. Wśród okrzyków zabrawali walcze realności.



Kiernikiem i premierem Wincentym Witosem. W krótkiej, acz burzliwej rozmowie zażądał on wycofania wojsk z Krakowa. Władze nie zgodziły się na wyjście wojsk, ale zaproponowały zawieszenie walk, aby „dać możliwość posłom socjalistycznym uspokojenia tłumów”. Do przystania na tymczasowy rozejm skłoniła rząd groźba rozprzestrzenienia się rozruchów na całe miasto.

Tymczasem sytuacja coraz bardziej wymykała się spod kontroli i nie wiadomo, jak rozwinęłyby się dalej, gdyby nie trzeźwa reakcja władz PPS, które od samego początku zamieszek próbowały pertraktować ze stroną rządową. Przede wszystkim chciano uspokoić coraz bardziej rozjuszonych robotników, którzy zyskiwali coraz większe poparcie mieszkańców Krakowa i krzyczeli w stronę policjantów kryjących się w domu przy ul. Garbarskiej: „Zabić ich, powywieszać!”. Na domiar złego w Domu Robotniczym pojawili się nieznani wcześniej w środowisku robotniczym ludzie związani z Polską Organizacją Wojskową i ze Związkiem Strzeleckim, którzy przynieśli własną broń, a część protestujących snuła już nawet plany zaatakowania budynków państwowych.

Władze PPS nie miały zamiaru dopuścić do kontynuowania walk. W pierwszych godzinach wzięto do niewoli dwustu żołnierzy i 180 policjantów przetrzymywanych w Domu Robotniczym, ale dotychczasowy rozwój wydarzeń wydawał się niepomysłny. Zdawano sobie sprawę z tego, że najpóźniej za dwa dni do Krakowa zostaną ściągnięte posiłki, które skutecznie rozprawią się z robotnikami. Rewolucja byłaby sprzeczna z przyjętą przez PPS koncepcją prowadzenia polityki.

By rozbroić robotników, socjaliści wymyślili pewien fortel – poseł PPS Mieczysław Mastek zaprosił zbuntowanych na herbatę, chleb i wódkę, a kiedy ci relaksowali się przy posiłku, straż porządkowa PPS zabrała im broń. Tym samym udało się bezboleśnie spacyfi-



kować protestujących. Oczywiście cały czas niektórzy z nich przejawiali chęć do dalszej walki. Jeszcze ok. 16.00 część bojowców o bardziej lewicowych poglądach snuła plany szturm na szczelnie chroniony urząd wojewódzki. Budynku bronili świetnie wyposażeni i karni żołnierze z pułku podhalańskiego, którzy na pewno nie zawahaliby się użyć broni.

Jeszcze do następnego dnia, czyli do 7 listopada, w mieście trwały pojedyncze walki, nie przybierały one jednak większych rozmiarów. W wyniku wydarzeń krakowskich łącznie zginęło piętnastu robotników, trzy przypadkowe osoby oraz czterestu żołnierzy. Zabito 37 koni, straty materialne opiewały zaś na sumę ponad 9,5 mld marek polskich (pensja miesięczna wykwalifikowanego robotnika wynosiła wtedy 544 tys. marek polskich).

Wielką niewiadomą wydarzeń krakowskich był udział zarówno Kostka-Biernackiego, jak i później ludzi związanych z Polską Organizacją Wojskową. Ich zaangażowanie w przebieg walk oraz dobre uzbrojenie rodziło wśród niektórych podejrzenia. Część osób, w tym poseł Mastek, podejrzewała nawet, że miała to być próba przed późniejszym zamachem majowym. Zgodnie z taką interpretacją środowisko związane z Józefem Piłsudskim próbowało sprawdzić, jak władza poradzi sobie z walką w mieście.

## „Rodzime pijawki obsiadły nas garstką”

Zgodnie z wykładnią historiografii komunistycznej, 6 listopada 1923 roku w Krakowie wybuchło powstanie, w którym proletariat stanął przeciwko burżuazyjnym oprawcom. Komunistyczna Partia Robotnicza Polski dążyła do utworzenia „jednolitego frontu proletariatu, opierając się na rewolucyjnym dziele komunistów bułgarskich”. Faktycznie, we wrześniu 1923 roku pod naciskami Moskwy wybuchło powstanie komunistów bułgarskich i choć zostało krwawo stłumione, odegrało odpowiednią rolę propagandową. Dość łatwo w tej sytuacji można było przekonać odbiorców, że „powstanie krakowskie” było dobrze zorganizowaną akcją, kolejnym – po bułgarskim – ogniem łańcucha rewolucji, która miała ogarnąć Europę.

6 listopada 1923 roku „robotnicy krakowscy własną krwią serdeczną wypisali groźne na burżuazji obszarników i ich sługusów; Mane, Tekel,-Fares” – pisał działający na terenie sowieckiej Białorusi polski komunistą Tomasz Dąbał. Oczywiście robotnicy mieli zostać sprowokowani przez agresywne działania policji, która otworzyła ogień. Po za-



Fot. INAC

**Dotychczas ustalono, że ogółem zabitych zostało 31 osób  
W tem 14 cywilnych i 17 wojskowych.**

(S) Według spisu sporządzonego przez Zakład medycyny sądowej cywilnej i wojskowej, ustalono dotychczas, że śmierć w walkach ponie-

stali wśród cywilnych: Lachowicz Ignacy, Malinowski Aleksander, Baitko Tomasz, Bigoszyński Antoni, Kocot Stanisław, Kozłowski Ignacy

wod dom pod G two. d w k

piersi wyrwał się okrzyk: „nareszcie!”

większym spokoju.

## Krwawy wtorek na ulicach Krakowa. Zbrojne starcia w okolicy Kasy Chorych.

(cz) We wtorek rankiem, plac przed Domem ro-

OTWORZYLI OGIEŃ NA POLICJĘ I ŻOŁ-

usunąć v  
zostali or  
rabinów.  
W cza  
schroniła  
ul. Szece  
chu Syn  
równocze  
W pół g  
pod odwa  
Na uli  
KA  
oraz sam  
który op  
W chw  
pl. Szece  
lecące b  
windnaja  
łów w s  
Zgon  
W chw  
ne wypa  
Garbarsk  
cya. —  
Karmelic  
wadzony  
pełnym i  
szami na  
W mo  
skład z l  
na konia  
Kula prz  
Znany  
wyzwał  
się kule,  
G  
Okolo  
straty. I  
mów nov  
hejowiak  
wanu ul  
nego kille  
Równie  
kiedy od  
W wy  
k i e n  
- v o

# Manifestacyjny pogrzeb 11 zwłok oficerów i szeregowych.

(5) Pogrzeb 11-tu zwłok oficerów i szeregowych | utrzymanie spokoju wszelkich warstw społeczeństwa

garnizonu  
 ków ostat  
 nowego si  
 (Data pog  
 W tym  
 leści sero  
 tyczna po  
 chy, odda  
 dzielnym  
 Z kade  
 wała, p  
 dowód sz  
 rzo wiad

## Liku

(5) W  
 wieczorny  
 tłumy w  
 powrócił

## W

Na lin  
 nem wto  
 gólnem.  
 kowych  
 strzeń, p  
 wojskiem  
 Opóźni  
 magań, j  
 około go  
 i tu, min  
 na chwil  
 trzymał  
 Prac  
 deseru  
 cępców

ciekłych, trwających kilka godzin walkach „powstańcy” wzięli do niewoli setki jeńców i zarekwirowali 5 tysięcy karabinów. Wśród tekstów o „powstaniu krakowskim” chyba najciekawszym i jednocześnie utrzymanym w najostrzejszym tonie jest broszura *Powstanie Krakowskie*, autorstwa wspomnianego już Dąbala. Zgodnie z jej treścią na krakowskim bruku walczyła nieistniejąca tak naprawdę Czerwona Gwardia, czyli zbrojne oddziały komunistów. W tekście można było również przeczytać niepopartą dokumentami tezę, że wszyscy żołnierze, którzy zginęli, byli pochodzenia ukraińskiego. Dla czytelnika przesłanie miało być jasne – burżuazyjna Polska wykorzystuje mniejszości narodowe do tłumienia rewolucji robotniczej.

Jednocześnie, jak głosiły te same broszurki, wydarzenia te nie były inspirowane przez działaczy KPRP. Polscy komuniści chcieli, aby wydarzenia krakowskie były postrzegane jako oddolne działanie energii ludu polskiego, który spontanicznie przeciwstawił się rzeko-

mo opresyjnej polityce władz polskich. W narracji KPRP, a potem Polskiej Partii Robotniczej, klęska wydarzeń krakowskich była wynikiem dwóch czynników: po pierwsze, chociaż Komunistyczna Partia Robotnicza Polski była pełna zapału, to jej struktura w Krakowie nie była dostatecznie silna, by w wystarczająco skuteczny sposób pokierować „powstaniem”. Oczywiście zgodnie z komunistyczną wykładnią – zarówno przedwojenną, jak i powojenną – KPRP była w stolicy Małopolski słaba nie z powodu braku społecznego poparcia, lecz ze względu na liczne opresje ze strony władz oraz spisek zawiązany przez PPS współdziałającą z rządem. Dąbał pisał: „Robotnicy – komuniści demaskowali ohydny zdradę przywódców PPS, ostrzegali przed podawaniem nazwisk na listy robotników posiadających broń, które sporządzała »straż porządkowa« PPS”. Środowisko krakowskich socjalistów odegrało w retoryce komunistycznej rolę nowej Targowicy, która sprzymierzyła się z „represyjno-burżuazyjną władzą imperialistycznej

Polski”. Warto w tym miejscu przypomnieć mało dziś znany utwór komunistycznego poety Brunona Jasiońskiego – *Marsz powstańców Krakowskich*:

„Do boju o Polskę z imieniem jej mrać/  
 Szły masy ludowe hartowne/  
 Ze znoju naszego obszarnik i ksiądz/  
 Z tej Polski nam wzniesli katownie/  
 Rodzime pijawki obsiadły nas garstką/  
 Dym złudzeń już z oczu nam opadł/  
 Na bruku krakowskim pod krwią robociarską/  
 Zakwitnął nasz Polski Listopad”.

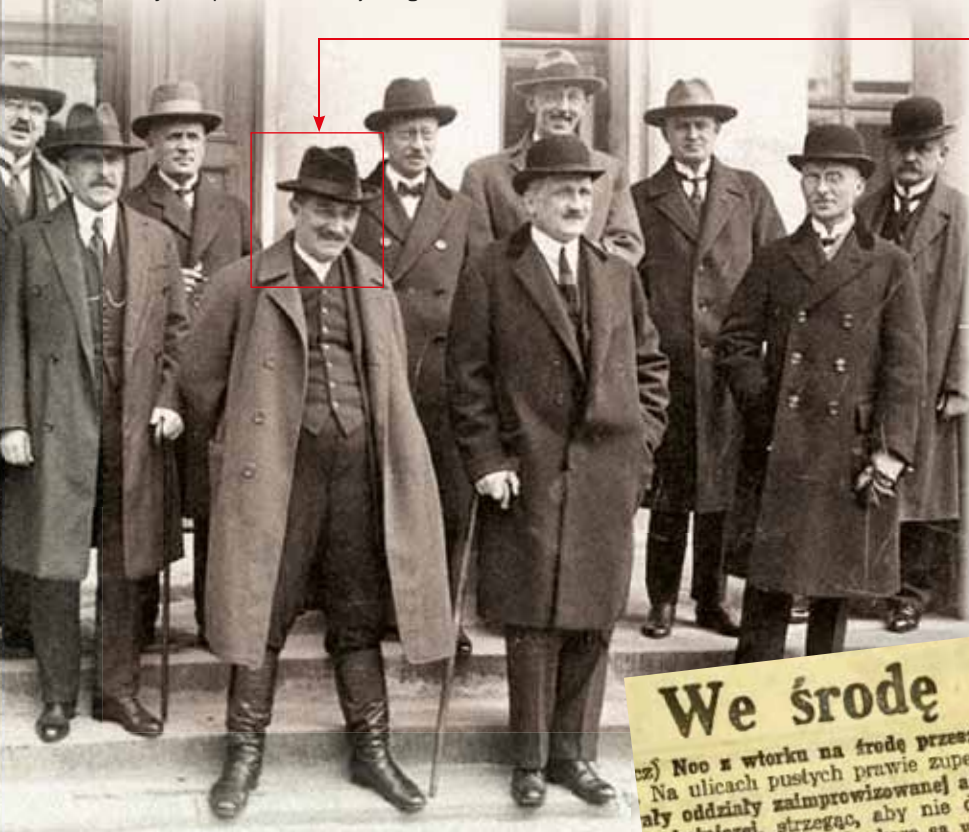
O „powstaniu” krakowskim nie zominano również w materiałach pomocniczych do szkolenia partyjnego. W publikacji Henryka Raorta *Walki rewolucyjne w Polsce w latach 1918–1923* postawiono tezę, że w pierwszych latach po I wojnie światowej przez Polskę przetoczyła się fala rewolucji, a „powstanie krakowskie” było jej punktem kulminacyjnym.

Wydarzenia krakowskie przyniosły bardzo ważne konsekwencje polityczne. Opiniotwórcza prasa gloryfikowała działania władzy, ale ich odbiór społeczny był negatywny. Tragedia krakowska odbiła się na i tak niskich notowaniach sojuszu ChZJN-Piast. Opinia publiczna była przekonana, że to rząd Witosza odpowiada za rozlew krwi. W rezultacie gabinet upadł. Do tego usunięto znenawidzonego wojewodę krakowskiego Kazimierza Gałęckiego, którego zastąpił Karol Olpiński, oraz dowódcę V Okręgu Korpusu Wojska Polskiego, gen. Józefa Czikła, oskarżanego o niekompetencję (zastąpił go gen. Lucjan Żeligowski).

Przykład zamieszek krakowskich bardzo dobrze obrazuje, w jaki sposób historię przedstawiała strona komunistyczna. Z braku rzeczywistych wystąpień rewolucyjnych postanowiono je sfabrykować, by móc się na nie powoływać podczas umacniania swojej władzy.

Paweł Rzewuski – absolwent filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, student Instytutu Historii UW, redaktor portalu Histmag.org

► Zamieszki krakowskie doprowadziły do upadku rządu Wincentego Witosza; po ponad dwóch latach Witosz ponownie stanął na czele gabinetu (jego członkowie widoczni na zdjęciu), ten jednak został obalony po zaledwie czterech dniach w wyniku przewrotu majowego



**We środę zapanował spokój.**  
 z) Noo z wtorku na środę przeszła spokoj-  
 Na ulicach pustych prawie zupełnie patro-  
 naly oddziały załmprowizowanej ad hec mili-  
 robotniczej, strzegąc, aby nie dopuścić do  
 tak skore są w takich ra-  
 gatów P. P. S. posłów Marika i Bobrowskie  
 z nowomianowanym wojewodą wicemib. Olpi-  
 skim i nowym kom. DOE. Kraków gen. Żeligo-  
 skim, poczem koło godz. 2 poseł Marek ze st-  
 ni pomnika Mickiewicza zawiadomił zgromad-  
 nych robotników o uchwale rządu, a p. Bobr-

# Od zbrodni do mitologii

Maciej Korcuć

**Przez kilkadziesiąt lat komunizmu w propagandzie PRL obowiązywała teza, że Sowieci chcieli pomóc Warszawie w dniach powstańczych walk 1944 roku, ale nie zdołali z przyczyn obiektywnych. Szybkie zdobycie Krakowa w styczniu 1945 roku miało zaś być dowodem na sowieckie poświęcenie, podbudowane umiłowaniem naszej kultury i zabytków. Ani jedno, ani drugie nie miało wiele wspólnego z prawdą.**

**P**olacy, przygnębieni klęską Powstania, nie mieli złudzeń co do postawy Sowietów. „Zakamarki zbrodni – jaką jest pozostawienie Warszawy własnym siłom, bez udzielenia jej należytej pomocy – historia kiedyś wyświekli i napiętnuje” – pisał już 3 października 1944 roku konspiracyjny „Dziennik Polski”.

## Miasto widmo

Historia wyświekliła już wiele. Wiemy, że Sowieci nie tylko wstrzymali zaplanowane działania ofensywne, lecz także podjęli czynną akcję przeciw Powstaniu – również o charakterze militarnym i policyjnym. Skutecznie utrudniali anglosaską pomoc dla walczących Polaków. Tak samo jak Niemcy – po swojej stro-

nie frontu likwidowali oddziały Armii Krajowej, próbujące przedostać się do walczącej stolicy. „Chcąc wykorzystać okazję do zniszczenia najważniejszego polskiego ośrodka niepodległościowego rękami Niemców, Stalin zrezygnował z możliwości stworzenia dla swych wojsk dogodnych warunków w drodze na Berlin” – pisał rosyjski historyk Mikołaj Iwanow, bez ogródek nazywając działania Stalina „zbrodnią wobec Powstania Warszawskiego”.

Jesienią 1944 roku Niemcy korzystali z bezruchu na linii frontu. Po makabrycznych zbrodniach na ludności cywilnej popełnianych w okresie walk powstańczych zajęli się realizacją rozkazu systemowego wyniszczenia polskiej stolicy. Palono ulicę po ulicy, dom po

domu. Niemiecki żołnierz Joe J. Heydecker znalazł się w Warszawie w listopadzie 1944 roku. „Ale to milczące miasto ruin, Warszawę, ze wszystkimi szczegółami mam jeszcze dzisiaj przed oczami – pisał potem. – Miasto, przez które idę z kolegą [...] jest upiorne. [...] Faktycznie trudno trzymać się myśli, że jesteśmy w prawdziwym milionowym mieście, które całe, naprawdę całe leży w gruzach, że te resztki murów dookoła nie są surrealistyczną filmową scenografią. [...] Groby są wszędzie. Po bokach ulic, gdzie kiedyś były chodniki, wznoszą się pagórki, pagórek przy pagórku. Są ich setki, setki. [...] Większość grobów jest bezimienna. Tylko ziemia, potłuczona kamienna płyta, gruz”.

Dopiero po kilku miesiącach, 12 stycznia 1945 roku, Sowieci rozpoczęli w Polsce ofensywę militarną. Korzystali z miażdżącej przewagi nad Niemcami, którą mieli już latem 1944 roku. 17 stycznia zajęli również to, co pozostało po Warszawie.

Komunistyczna propaganda nie uznawała granic cynizmu. Liczyła się skuteczność. Wejście do wypalonego, wyludnionego miasta i tak ogłoszono „wyzwoleniem stolicy Polski”. Dzień ten z miejsca celebrowano jak wielkie

► Żołnierze sowieccy po wyparciu Niemców; Kraków, 18 stycznia 1945 roku



święto. Potem, przez ponad czterdzieści lat, 17 stycznia organizowano rocznicowe obchody, szkolne akademie i okolicznościowe spotkania. Składano wieńce pod obłudnymi, wystawionymi również w Warszawie, „pomnikami wdzięczności” Armii Czerwonej.

### Defilada wśród ruin

Propagandową ikoną styczniowych dni w Warszawie miała być urządzona przez Sowieców defilada wojskowa. Fotografia defilujących „berlingowców” była niemal obowiązkowym elementem rocznicowych publikacji w PRL. Żołnierze marszerowali przed trybuną, na której stanęli ludzie wyznaczeni przez Stalina do firmowania jego polityki w zajmowanym kraju: Bolesław Bierut, Michał Żymierski, Edward Osóbka-Morawski i inni dygnitarze komunistycznego Rządu Tymczasowego. Zastępca ludowego komisarza NKWD,

Iwan Sierow, w raporcie przesłanym do swojego zwierzchnika Ławrientija Berii 19 stycznia 1945 roku, przedstawiał niemal cukierkową atmosferę poparcia dla władz i wdzięczności Sowiecom: „[...] ludność wyszła na ulice z flagami i zebrała się wokół budynku Rady Narodowej. Został zorganizowany wiec, na którym wystąpił BIERUT, MORAWSKI i generał [Siergiej] SZATIŁOW [naczelnik misji wojskowej Związku Sowieckiego w Polsce]. Ludność bardzo szczerze witała i pozdrawiała BIERUTA i MORAWSKIEGO, na wspomnienie przez tow. SZATIŁOWA o Armii Czerwonej przerwała wystąpienie okrzykami wiwatów na cześć towarzysza Stalina”.

W zupełnie innej tonacji opisywał ten sam dzień oficer AK i warszawski powstaniec, Jan Krok-Paszkowski, który wraz z kolegą 19 stycznia 1945 roku przybył do miasta z podwarszawskiego Wołomina. Pierwsi uzbrojeni żołnierze sowieccy, których spotkali, otoczyli ich półkolem. „Kazali stanąć przy murze, rozpięli kożuchy i dokładnie obmacali. *Orużja u nich niet* [ros. broni nie mają] [...]. Zjawił się jakiś młody człowiek w polowej rogatywce na głowie z naszymi kaprala. [...]»No to na defiladę wam pójść [...]. Dzisiaj nasza pierwsza armia wkracza do stolicy« – wspominał Krok-Paszkowski. Na oczyszczonym z gruzów placu ustawiono trybunę opasaną biało-czerwonym materiałem. „Z samochodów opancerzonych wyskoczyło kilkunastu żołnierzy. Lufy ich pistoletów maszynowych skierowały się w kierunku tłumu. Otoczyli samo-

chód osobowy, z którego wyszło kilka osób w ciemnych, cywilnych płaszczach i futrzanych czapkach na głowie. Cywile weszli na trybunę, orkiestra zaczęła grać *Warszawiankę*, od strony Wisły ruszyła defilada”. Trudno było się pozbyć gorzkich refleksji. „Patrzyłem na to widowisko z uczuciem zdumienia, wściekłości i żalu. Oto wkracza do Warszawy zwycięska armia – o pół roku za późno – pisał Krok-Paszkowski. – Defiluje przed ludźmi, których nikt nie zna i którzy stoją z ponurymi twarzami na tle gruzów i w otoczeniu sowieckiej eskorty. Żołnierze w polskich mundurach i sowieckich hełmach i polowych rogatywkach z orzelkami o dziwnym kształcie nieśli przewieszane przez piersi sowieckie pepesze i sowieckie erkaemy, tupiąc po chłopsku nogami, machając na sowiecką modłę rękami w bok do brzucha. [...] Chciałem wracać do domu, zacząłem powoli wycofywać się z tłumu, który stał zbity w gromadę w milczeniu, ale poczułem na ramieniu ciężką łapę. Stał obok mnie uśmiechnięty enkawudzista”.

Propagandę łączono z terrorem. Już 24 stycznia 1945 roku Beria raportował Stalinowi o skierowaniu do Warszawy pułku i batalionów NKWD „w celu zaprowadzenia należytego porządku”. Dodawał też: „Działają grupy operacyjne złożone z pracowników [komunistycznego] Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego Polski oraz czekistów [tj. funkcjonariuszy NKWD – M.K.], celem wykrycia i aresztowania kierownictwa Komendy Głównej AK, NSZ i innych podziemnych partii ▶

politycznych”. Niektórzy do dzisiaj nazywają to wyzwoleniem.

### Bomby na Kraków

Kiedy do ruin Warszawy sprowadzano kolejne jednostki podległe Sowietaom, na odcinku I. Frontu Ukraińskiego trwały walki o niezniszczony wcześniej Kraków. Główne uderzenie tego frontu wyszło z przyczółka sandomierskiego. Zasadniczym kierunkiem był Wrocław. Na Kraków miała uderzać od wschodu 60. Armia, stanowiąca prawe skrzydło frontu.

W okolicach miejsc istotnych pod względem wojskowym i ważnych obiektów Niemcy wybudowali 240 żelazobetonowych zapór przeciwczołgowych i 50 betonowych schronów. Budowali też prowizoryczne betonowe bunkry z otworami dla broni przeciwpancernej. Bynajmniej nie mieli planów wysadzania miasta. W pasie sandomierskim obrona niemiecka została przełamana 15 stycznia. Nacierające wzdłuż północnego brzegu Wisły siły w ciągu kilku dni znalazły się na północ od Krakowa. 16 stycznia zostały zajęte – leżące pod Krakowem – Miechów i Słomniki, a 17 stycznia – Skała.

Dzięki sprzyjającej pogodzie 2. Armia Lotnicza 16 stycznia rozpoczęła bombardowanie miasta. Z założenia były to działania o dużym natężeniu. W sumie zrzucono 1,8 tys. ton bomb. Wsparcie atakujących jednostek zapewniała artyleria. 18 stycznia rozpoczęło się natarcie prowadzone od północnej strony miasta. Tego dnia samoloty sowieckie bombardowały m.in. śródmieście Krakowa, dworzec towarowy i drogi prowadzące do mostów na Wiśle. Sowieci stosunkowo szybko zdołali opanować centrum miasta, gdyż Niemcy prowadzili tu ograniczone działania osłonowe. Nie mając sił dla zabezpieczenia jednocześnie i Krakowa, i Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego, uznali priorytetowy charakter tego drugiego. Dowodzący po stronie niemieckiej gen. Friedrich Schulz został zwolniony z obowiązku obrony miasta. Rozpoczął wycofywanie podległych mu jednostek w kierunku Śląska,

Fot. Piotr Meczik/FORUM



► Defilada podległych Sowietaom jednostek Berlinga, Warszawa, 19 stycznia 1945 roku

nie pozwalając na zamknięcie głównych sił w kotle. Dlatego, mimo wcześniejszych przygotowań, Niemcy nie podjęli obrony i wycofali się za Wisłę. Po przejściu ostatnich oddziałów saperzy wysadzili mosty, co i tak niewiele im dało. Skuta lodem rzeka nie stanowiła bowiem przeszkody dla sowieckiej piechoty.

„W południe obszedłem już kawał miasta – notował 19 stycznia w swoim dzienniku krakowianin Edward Kubalski. – W jakimś smutnym stanie Rynek i okolice. Wiele domów zbombardowanych i poniszczonych (ul. Bracka, lej pod domem, Pierackiego etc., etc.). Handle, zwłaszcza niemieckie, porabowane, gruzy i kupy szkła”. Największe zniszczenia były w południowej części miasta, gdzie Niemcy bronili się dłużej. Wszystko to było jednak nieporównywalne do warszawskiego „morza ruin”.

### Wymuszanie wdzięczności

Zdobycie Krakowa zamierzano nagłośnić w propagandzie. Na początku działano standardowo. W pierwszych tygodniach komunistyczne komórki propagandowe, nastawione na jak najskuteczniejszą promocję wszystkiego, co wiąże się z Sowietaami i nową władzą, nie wpadły jeszcze na pomysł opowieści o zaminowanym mieście i sowieckim wojsku, które zmienia plany tak, aby śmiałym manewrem odciąć Niemcom możliwość uruchomienia ładunków wybuchowych. Zasluga Armii Czerwonej miały być po prostu likwidacja niemiec-

kiego terroru i „uwolnienie miasta” spod okupacji.

Również na początku marca 1945 roku, kiedy zarządzono budowę „Pomnika Wdzięczności dla żołnierza radzieckiego” w Krakowie, nikt jeszcze nie epatował tezą o uratowaniu miasta przed całkowitym wysadzeniem w powietrze przez Niemców. Wymagano od mieszkańców wdzięczności, choć już wtedy atmosfera nie sprzyjała budowie takiego pomnika.

Tak być nie musiało. Dopóki bowiem trwała władza Niemców, powszechne wśród mieszkańców obawy przed „bolshewizmem” ustępowały wobec nienawiści do germańskiej „rasy panów”. Do ostatnich dni ostry, wręcz bezmyślny terror Niemców powodował, że oczekiwano nadejścia Rosjan z dużą niecierpliwością. „Łapanki i rewizje na ulicach nie doznały przerwy, tak że w mieście widziało się tylko dzieci, osoby starsze – i Niemców. Rozstrzeliwania zakładników według list wywieszanych na słupach wykonywano nadal, z upartą systematycznością niemiecką. Bandytyzm przybrał niespotykane dotąd rozmiary [...] – pisał podziemny wojewoda krakowski, Okręgowy Delegat Rządu, Jan Jakóbiec. – Członkowie niemieckiej siły zbrojnej z powodu niedostatecznego zaopatrzenia dopuszczali się rabunków środków żywności, bydła i odzieży. Do tego dołączyły się grupy dywersantów i bandy kryminalistów, podszywających się niejednokrotnie pod organizacje podziemne, i także rabowały, kradły oraz terroryzowały lud-

ność. Toteż powszechne było życzenie: niech nawet sam Lucyfer z piekła przyjdzie, byle tylko Niemcy poszli”. I zaraz dodawał: „Z drugiej strony przeciekały do nas niewesołe wieści z tamtej strony frontu [...]. Jeżeli obiektywnie porównamy stosunki z tej i z tamtej strony frontu, to właściwie nie zauważymy wielkiej różnicy. A jednak koszmar hitlerowski dał się społeczeństwu tak straszliwie we znaki, że często mówiono: niech nawet będzie gorzej, byle było inaczej”.

Było więc tak, jak raportował 24 stycznia 1945 roku były już Komendant Główny AK gen. Leopold Okulicki: społeczeństwo ogarnęła „radość z pozbycia się Niemców połączona z powszechną nieomal nieufnością wobec sow[ietów]”. Wprawdzie od razu na porządku dziennym były kradzieże (Polaków szokowało, że dokonywali ich nie tylko prości żołnierze, lecz także oficerowie) oraz napady i grabieże, ale wciąż jeszcze próbowano traktować Sowietów przyjaźnie. „Tylko ludzie przewidujący mówili: Będziemy teraz mieli okupację sowiecką zamiast hitlerowskiej i rzucali pytanie: Kto nas wyzwoli od naszych oswoobodzicieli?” – ze smutną ironią notował Jakóbiec.

### Zbudować mit

W poufnych raportach problem zauważali także przedstawiciele władzy komunistycznej. „Nastawienie ludności do żołnierzy sowieckich, z początku bez zastrzeżeń życzliwe, a nawet przyjazne, zaczęło stale się pogarszać – pisał w sprawozdaniu dla zwierzchników mianowany przez komunistów wojewoda krakowski Adam Ostrowski, skądinąd przewodniczący komitetu budowy »Pomnika Wdzięczności dla żołnierza radzieckiego«. – Powodem tego są wszędzie nadmierne rekwizycje i świadczenia nakładane na ludność, albo w większej jeszcze mierze wybryki żołnierzy

Armii Czerwonej. Sprawozdania starostów powiatowych zawierają całe litanie wykroczeń przeciwko życiu i mieniu obywateli, napady, rabunki, zgwałcenia kobiet, nawet nieletnich dziewczynek, zabójstwa mężczyzn stojących w ich obronie, są na porządku dziennym. [...] Rozgoryczenie, lęk i uczucie niepewności ogarnęło ludność do tego stopnia, że musi się uważać tę sprawę za jedną z najtrudniejszych do załatwienia”.

Jednak potrzeby propagandowe nowej władzy wzrastały. „Każdy mieszkaniec Krakowa musi uczestniczyć w budowie pomnika. Musi złożyć choćby najmniejszy datek na ten cel. Wszyscy mieszkańcy staną się współtwórcami i opiekunami pomnika. W ten sposób spłacimy choćby częściowo dług wdzięczności bohaterskim żołnierzom Armii Radzieckiej” – pisano w lokalnej gazecie.

Przez kolejne lata komunizmu rosło zapotrzebowanie na legendę. „Ocalenie Krakowa” miało być w PRL swoistym dowodem także na „czyste sumienie” Sowietów w sprawie Warszawy. Z opowieści o specjalnym sowieckim manewrze, zrealizowanym rzekomo po to, aby ratować polskie dziedzictwo kultury, uczyniono dogmat. W tym duchu – wbrew elementarnym faktom – tworzono mit, jakoby Sowietci w trosce o zabytki zakazali używania lotnictwa i artylerii. W taką rolę wpasował się także marsz. Iwan Koniew, dowódca 1. Frontu Ukraińskiego. „Dla nas bowiem Kraków był nie tylko wojennym obiektem wroga. Szuka-

liśmy drogi, aby zwrócić Polakom ich drugą stolicę, to piękne zabytkowe miasto, w stanie możliwie nienaruszonym” – opowiadał w 1965 roku.

Do wyspanych z palca opowieści o zaminowaniu Wawelu i najważniejszych zabytków dodano legendę o rzekomym niemieckim „kابل centralnym”, który miał uruchomić eksplozję. Bohaterem, który uratował miasto, miał być sowiecki dywersant Jewgienij Bieriezniaik, który – według dawniej obowiązującej wersji – przeciął ów kabel, udaremniając plany wysadzenia miasta. I choć w 2003 roku sam Bieriezniaik przyznał polskim dziennikarzom, że to propagandowe wymysły, na wschód od naszych granic wciąż ta wersja jest traktowana poważnie.

Mimo upadku Związku Radzieckiego dzisiejsza propaganda Federacji Rosyjskiej szeroką garścią czerpie ze wzorców sowieckiej mitologii – zarówno w kontekście dramatu Warszawy, jak i opowieści o ratowaniu Krakowa. Dość powiedzieć, że w 2007 roku prezydent Władimir Putin odznaczył „za uratowanie Krakowa” innego sowieckiego dywersanta z czasów wojny, byłego oficera NKWD i KGB, Alieksieja Botiana. Otrzymał on za to najwyższe rosyjskie odznaczenie – tytuł „bohatera Rosji”, choć działał na Sudecczyźnie i z Krakowem nie miał kompletnie nic wspólnego.

Dla propagandy nie ma rzeczy niemożliwych. 🇷🇺

dr Maciej Korkuć – historyk, naczelnik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Krakowie



# Z bohatera konfident

Daria Czarnecka

Stanisława Gustawa Jastera „Hela”, żołnierza AK, obwołano zdrajcą mimo braku dowodów. Do dziś nie wiadomo, z czyjej ręki zginął.

**5** czerwca 1943 roku duże siły gestapo i policji obstawiły kościół pw. św. Aleksandra na pl. Trzech Krzyży w Warszawie. Nie była to zwykła łapanka. W tym czasie w kościele trwał ślub por. Mieczysława Uniejewskiego „Marynarza”, żołnierza oddziału „Osa”-„Kosa 30”, a akcja Niemców wyraźnie była zaplanowana.

„Osa”-„Kosa 30” była specjalną jednostką Armii Krajowej, przeznaczoną do likwidacji niemieckich dygnitarzy i konfidentów oraz akcji dywersyjnych i sabotażowych. Podlegała bezpośrednio Komendantowi Głównemu AK, a jej dowódcą był podpułkownik Józef Szajewski „Philips”. Miała na koncie wiele udanych akcji, dlatego każda informacja na temat oddziału, nie mówiąc już o schwytaniu jego żołnierza, była dla gestapo ogromnym sukcesem.

Uniejewski, łamiąc wszelkie zasady konspiracji, zaprosił na ślub kole-



Fot. Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau



gów z oddziału. Wszystkich zgarnęli Niemcy. Spośród aresztowanych prawie stu osób (te, które nie były związane z konspiracją, później zwolniono), ponad dwadzieścia należało do „Osy”- „Kosy 30”. Wkrótce nastąpiły dalsze aresztowania, w tym szefa sztabu jednostki, por. Mieczysława Kudelskiego „Wiktora”, oraz Stanisława Gustawa Jastera „Hela”.

Tak spektakularne rozbicie oddziału musiało postawić przed wywiadem podziemia wiele pytań. Dopiero jednak po 25 latach od tych wydarzeń pojawiły się relacje o niechlubnej roli, którą miał w nich odegrać wspomniany „Hel”. Wydana w 1968 roku książka Aleksandra Kunickiego „Rayskiego” *Cichy front. Ze wspomnień oficera wywiadu dywersyjnego oddziałów Kedywu KG AK*, w której po raz pierwszy napisano o rzekomej zdradzie „Hela”, wywołała niespotykaną lawinę protestów, wyrazów poparcia dla oskarżonego bohatera, a także wzajemnego przerzucania się odpowiedzialnością za losy oddziału.

### Kunicki: sfigowana ucieczka

*Cichy front* „Rayskiego” okazał się wcale nie aż taki cichy. Rozdział zatytułowany „Zdrajca”, kończący się słynnymi już słowami: „Zdrajca i konfident Gestapo Stanisław Jaster pseudonim »Hel« wyrokiem sądu Armii Krajowej został skazany na śmierć. Wyrok wykonano”, odbił się szerokim echem wśród byłych żołnierzy AK, a także wśród byłych więźniów KL Auschwitz. Trudno było bowiem pogodzić się z myślą, że młody bojowiec, pochodzący z patriotycznej rodziny, uczestnik brawurowej ucieczki z KL Auschwitz (jego rodzice zginęli później w tymże obozie) i likwidator konfidentów, był po prostu „kretem” gestapo, który wydał swoich towarzyszy broni. Smaczku całej sprawie dodawało to, że autor *Cichego frontu* był szefem wywiadu „Osy”- „Kosy 30”, a 3 czerwca 1957 roku – w odpowiedzi na zapytanie Józefa Saskiego „Katody”, innego słynnego żołnierza AK – napisał, że podczas swojej pracy w podziemiu niczego złego o Jasterze nie słyszał.

Kunicki w swojej książce podaje dzieść rzekomych dowodów na rzecz tezy o „podwójnej naturze” żołnierza „Osy”- „Kosy 30”, Stanisława Gustawa Jastera „Hela”.

Przede wszystkim „Hel” był jakoby bardzo ciekawski. Interesowali go przede wszystkim ludzie z dowództwa oddziału, a także sam szef wywiadu „Rayski”. Jaster zwracał uwagę nie tylko na oddział macierzysty, lecz także na inne formacje podziemne. Brał m.in. udział w akcji pod Celestynowem, którą przeprowadził późniejszy batalion „Zośka”. Miał go na nią zabrać, nieświadomy prawdziwej roli „Hela”, jego przyjaciel, Jan Rodowicz „Anoda”.

Jaster nie pojawił się na ślubie Uniejewskiego – mimo że był zaproszony. Później tłumaczył, że zasnął. Niemcy prawdopodobnie nie do końca wiedzieli, kogo schwytały. W rozpoznaniu konspiratorów pomagał im według relacji świadków konfident. Jak twierdzi Kunicki, był to Jaster – ukryty za framugą okienną wskazywał gestapowcom przechodzących podwórkiem więziennym na Pawiaku żołnierzy „Kosy”, aresztowanych w kościele św. Aleksandra.

Pułapki uniknął też „Wiktor”. Został zatrzymany przez gestapo dopiero 12 lipca, podczas spotkania z Jasterem. Na rozmowę z przełożonym nalegał właśnie „Hel” – obydwu z ulicy zgarnęli do mercedesa gestapowcy. Wkrótce jednak „Hel”, lekko ranny w nogę, zgłosił się do oddziału, twierdząc, że udało mu się

ucieć. Wedle „Rayskiego” to on miał zastawić pułapkę na szefa sztabu „Kosy”, por. Mieczysława Kudelskiego „Wiktora”, po tym jak zorientował się, że nie ma go wśród aresztowanych.

Aby móc bez podejrzeń powrócić do oddziału, Jaster rzekomo sfingował swoją ucieczkę i udał się do punktu kontaktowego. Tam, bardzo pewny siebie, z dumą pokazywał przestrelone udo, mówiąc, że uciekł z samochodu gestapo podczas przewożenia jego i „Wiktora” z ul. Nowogrodzkiej w al. Szuca. Jest to trasa bardzo krótka, a w dodatku przy drzwiach samochodu znajdowali się uzbrojeni gestapowcy. Dlatego też Kunicki powątpiewał w prawdziwość relacji „Hela”. Oględziny lekarskie rany wypadły dla Jastera wręcz katastrofalnie. Lekarz stwierdził, że to niegroźny, bardzo płytki przestzał mięśni. Poza tym ranę spowodował strzał z małej odległości (na jej obrzeżu widoczne były ślady prochu), pociskiem kalibru 7 mm. Świadek aresztowania, kpt. Ryszard Jamontt-Krzywicki „Szymon”, podał zaś, że gestapowcy byli uzbrojeni w pistolety maszynowe kalibru 9 mm. Mogłoby to sugerować, że Jaster postrzelił się sam (dał się postrzelić?), aby niegroźnym zranieniem uwiarygodnić swą opowieść. W tym momencie „Hel” zaczął się płatać. Oprócz tego kontrwywiad AK uzyskał wiadomość, że ktoś widział Jastera, jak wychodził z siedziby gestapo i nawet nie kulał. Ostatecznie „Hel” – jak pisze Kunicki – lekko „przyciśnięty” przyznał się do wszystkiego. Rzekomo ▶

▶ Książeczka wojskowa Mieczysława Kudelskiego, szefa sztabu „Osy”- „Kosy 30”

Fot. Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau

1. Wzrost	168	Rysopis:	Nos	czarna
Włosy	blond	Usta	średnie	
Browy	czarne	Broda	czarna	
Oczy	niebieskie	Twarz	czysta	
Specjalne znaki				
2. Imiona	Mieczysław Kudelski			
Nazwisko	Kudelski			
3. Imiona rodziców	Sewdor, Helena			
4. Urodzony dnia	28.11.1899			
w. w.	Warszawa			
gmina	Warszawa			
powiat	Warszawa			
5. Język macierzysty	polski			
Narodowość	polska			
Wyznanie	rym. kat.			
6. Wykształcenie cywilne:	6 lat gimn.			
w chwili wydania książ.				
Późniejsze zmiany				
7. Zawód cywilny:	Urzednik samon.			
w chwili wydania książ.				
Późniejsze zmiany				



▶ Stanisław Gustaw Jaster z „Breloczkiem” – Hanną Kleszyńską (później: Ring), kuzynką swojej narzeczonej...

Fot. ze zbiorów Bożeny Sławińskiej

podał nawet, że jego sensacyjna ucieczka z KL Auschwitz 20 czerwca 1942 roku została sfingowana przez *Politische Abteilung* (czyli obozowe gestapo), o czym nie wiedzieli trzej inni uciekinierzy: Kazimierz Piechowski, Józef Lempart i Eugeniusz Bendera. Jaster był zdrajcą – konkluduje Kunicki. Wyrok Wojskowego Sądu Specjalnego został wykonany.

### Strzembosz: Kunicki nierzetelny

Pierwszy rozbieżności i niespójności w argumentacji Kunickiego wyszczególnił Tomasz Strzembosz, który na łamach „Rocznika Warszawskiego” w 1971 roku podał w wątpliwość nie tylko rzetelność rozdziału „Zdrajca”, lecz także reszty wspomnień „Rayskiego”. Zarzucił Kunickiemu, że w swojej książce – która ma być przecież zapisem jego własnych przeżyć – opiera się na relacjach osób trzecich, różnego rodzaju publikacjach, a nie na tym, co sam widział lub w czym uczestniczył.

W obronie Stanisława Gustawa Jastera stawali również jego koledzy z KL Auschwitz. Wielu z nich słało do Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu listy protestacyjne, dając wyraz swojemu oburzeniu na – ich zdaniem – insynuacje Aleksandra Kunickiego. Polemizowano także na łamach prasy, m.in. w czasopiśmie „Za Wolność i Lud” (cykl artykułów Jerzego Ambroziewicza *Zdrajca czy bohater?*) czy „Polityka” (artykuł zwolenników tezy o zdradzie Jastera, Piotra Stachewicza i Stefana Smarzyńskiego, *Żołnierz czy konfident?*). Wiele głosów w dyskusji było bardzo cennych. Można tutaj wspomnieć chociażby list pisarza i byłego więźnia Pawiaka, Leona Wanata, wystosowany do redakcji „Polityki”. Oburzony autor – naoczny świadek zdarzeń – protestował przeciwko przekłamaniom, których dopuszczali się przeciwnicy „Hela”, powołując się na relację Wanata zamieszczoną we wspomnieniach *Za murami Pawiaka*. W liście przytoczył jeszcze raz fragment swojej publikacji dotyczący wyglądu konfidenta. Po raz kolejny zwracał uwagę na to, że ów konfident nie został przywieziony

z zewnątrz i nie ukrywał się za drzwiami ze szkła weneckiego, tylko obserwował zza okiennej framugi aresztowanych znajdujących się na więziennym dziedzińcu. Konfident miał być zresztą średniego wzrostu, szczupły, o śniadej cerze i ciemnych włosach. Nijak więc nie pasował do sylwetki dwumetrowego, postawnego, tlenionego blondyna, którym był Jaster.

### Telegramy i listy gończe

Jednym z argumentów przeciwko Jasterowi było rzekome sfingowanie przez *Politische Abteilung* jego ucieczki z KL Auschwitz. Przeciwno temu świadczą telegramy zawiadamiające o ucieczce czterech więźniów 20 czerwca 1942 roku samochodem Steyr 220, w mundurach SS i z bronią. Oprócz tego w księdze dowództwa warty odnotowano, że podczas apelu stwierdzono brak czterech więźniów, 1. i 2. kompania miały zaś podjąć pościg, który jednak zakończył się fiaskiem.

Zawiadomienia o ucieczce Piechowskiego, Jastera, Bendery i Lemparta rozesłano nie tylko do placówki gestapo w Łodzi. W *Mitteilungsblatt* nr 25 z 25 czerwca 1942 roku, wydanym przez gestapo w Linzu, znajdujemy informację o poszukiwaniu m.in. Bendery i Jastera. Cała czwórka uciekinierów figuruje w zbiorowym liście gończym wystawionym w Generalnym Gubernatorstwie, sam zaś Stanisław Gustaw Jaster – także w księdze gończej, wydanej przez niemiecką policję kryminalną w Berlinie. Gdyby cała akcja została przygotowana przez Niemców, tego rodzaju działania nie byłyby przecież potrzebne.

Do tego nieprawdopodobne jest, aby w ramach represji za sfingowaną ucieczkę zamordowano rodziców Stanisława Gustawa Jastera. O śmierci ojca i matki świadczyły do tej pory wyłącznie akty zgonów wystawione przez Standesamt (Urząd Stanu Cywilnego) Auschwitz, które istotnie mogły być sfingowane. Jednak w ostatnim czasie wśród dokumentów zgromadzonych przez Marię Pokoniewską z domu Jaster (ciotkę Stanisława Gustawa Jastera) odnaleziono odpis

telegramu zawiadamiającego o śmierci Stanisława Jastera seniora.

Jerzy Junosza-Kowalewski, były więzień KL Auschwitz i członek oddziału AK zajmującego się rozpracowywaniem konfidentów, zaświadczył, że gdyby ucieczka istotnie została zaplanowana przez *Politische Abteilung*, rodzina Jastera została by otoczona przez Niemców opieką, a nie zesłana do obozów koncentracyjnych.

Podczas toczącego się przed sądem w Hamburgu procesu Ludwiga Hahna – komendanta policji bezpieczeństwa w dystrykcie krakowskim, a później warszawskim – świadkowie zeznali, że wysłanie więźnia do obozu nie oznaczało końca sprawy. Właściwie tylko placówka kierująca danego więźnia do obozu koncentracyjnego mogła wydać polecenie jego zwolnienia. Każde zwolnienie lub egzekucję władze obozowe musiały konsultować z placówką kierującą. W przypadku Stanisława Gustawa Jastera i jego towarzyszy brak jest jakiegokolwiek korespondencji między KL Auschwitz a placówką gestapo w Warszawie w sprawie możliwości wypuszczenia na wolność Jastera w sfigowanej ucieczce. O takim wypuszczeniu musiały zostać poinformowane również wszystkie placówki gestapo w Generalnym Gubernatorstwie. Nie można było bowiem ryzykować złapania konfidenta przez jakiś patrol.

### Świadkowie ślubu, świadkowie aresztowania

Żeby odtworzyć przebieg wydarzeń podczas aresztowania w kościele św. Aleksandra oraz selekcji na Pawiaku, warto zajrzeć do raportu z 9 czerwca 1943 roku, przesłanego wraz z pismem przewodnim z 23 czerwca 1943 roku do Friedricha-Wilhelma Krügera, wyższego dowódcy SS i policji w Generalnym Gubernatorstwie. Raport ten przynosi odpowiedzi na nierozwiązane do tej pory pytania. Czytamy w nim, że Niemcy dostali informację o mającym się odbyć ślubie, na którym mieli być obecni wykonawcy zamachów na Krügera w Krakowie i berliński dworzec. W wyniku akcji aresztowano 89 osób, które niezwłocznie przewieziono na Pawiak. Tam, po natychmiastowym przeglądzie więźniów, zwolniono 33 osoby. Wśród zwolnionych byli ci, co do których było oczywiste, że z ruchem oporu nie mieli nic wspólnego, głównie starcy i matki z małymi dziećmi. Zatrzymano początkowo 56 osób.

Doskonałym uzupełnieniem fragmentu raportu dotyczącego aresztowania osób obecnych na ślubie, jest relacja złożona

przez byłego więźnia Pawiaka i KL Auschwitz II-Birkenau, Wacława Długoborskiego. Przebywał on w jednej celi z aresztowanymi w kościele św. Aleksandra chłopcami z chóru kościelnego.

Według ich słów – podawał Długoborski – gestapo aresztowało wszystkich obecnych powyżej dziesiątego

roku życia. Ci chłopcy, tak jak

wszyscy inni na miejscu,

wiedzieli, że w kościele

ma być ważna

osoba z podzie-

mia. Relacja ▶

▶ ... i z samą narzeczoną, Anną Danutą Leśniewską (później: Sławińską)



ta nie tylko potwierdza zapis z raportu niemieckiego, lecz także wskazuje na złamanie reguł obowiązujących w konspiracji.

Zasadnicze pytanie odnośnie do przebiegu selekcji na Pawiaku brzmiało: kogo wskazał konfident i kto nim był? Raport z 9 czerwca 1943 roku nie podaje tożsamości konfidenta, jednak wyjaśnia, że wskazał on Krystynę Milli, Aleksandrę Sokal i Mieczysława Uniejewskiego jako pana młodego.

W dalszej części raportu pojawia się informacja o znalezionym przy Krystynie Milli notesie, który doprowadził gestapo do Tadeusza Battka, jednego z wykonaw-

„Zdrajca” książki Aleksandra Kunickiego. Została też potwierdzona we wspomnieniach Ryszarda Jamontta-Krzywickiego „Szymona”, które przytacza Emil Kumor „Krzyś”, adiutant kolejnych dowódców AK.

Jednak dokładna analiza relacji Krzywickiego ujawnia pewne nieścisłości. Po pierwsze, jak wynika z planu Warszawy, skręcając z Alej Jerozolimskich w ul. Kruczą, „Szymon” nie mógł widzieć samochodu gestapo jadącego ul. Nowogrodzką. Po drugie – nie mógł zameldować o aresztowaniu Kudelskiego „Wiktora” gen. Stefanowi Roweckiemu „Grotowi”,

Jerzego Junoszę-Kowalewskiego. Każde doniesienie o zdradzie sprawdzano na wielu poziomach. Likwidacja prewencyjna była możliwa tylko wtedy, gdy dalsza działalność konfidenta groziła kolejnymi groźnymi konsekwencjami. Jednak nawet wówczas WSS przeprowadzał normalny przewód sądowy, więc gdyby taką procedurę zastosowano wobec Stanisława Gustawa Jastera, można byłoby odnaleźć wydany na niego wyrok.

Zastanawiające jest również to, że Stanisław Gustaw Jaster figuruje w raporcie gestapo dotyczącym rozbicia organizacji AK „Wachlarz”. Jest to fragment, który do

tej pory był mylnie tłumaczony jako potwierdzający winę Stanisława Gustawa Jastera. Nikt też do tej pory nie podał, z jakiego niemieckiego dokumentu ten raport pochodzi. Ponieważ jest to wewnętrzny raport niemiecki, wątpliwe jest, by podano w nim nieprawdziwe informacje.

Również odnaleziony ostatnio zbiorowy list gończy nr 84 z 30 września 1943 roku placówki gestapo w Poznaniu rzuca nowe światło na całą sprawę. Znajduje się w niej stwierdzenie, że został aresztowany Sta-

nisław Gustaw Jaster, który figurował na *Sonderfahndungsblatt* (specjalnej liście ściganych) z 22 czerwca 1942 roku.

Nie wiemy, jakie były losy „Hela” po 12 lipca 1943 roku. Jednak w świetle zgromadzonej dokumentacji nie można poprzeć wersji Kunickiego o zdradzie. Nie ma na nią ani jednego niepodważalnego argumentu. Czy Jastera zastrzelili koledzy z AK? Być może. Czy zginął z rąk Niemców? Być może. Czy był zdrajcą? Nie ma na to dowodów. Co zrobił Kunicki ze Stanisławem Gustawem w 1968 roku? Zamordował pamięć o nim. Bez niepodważalnych dowodów. ❗

**Daria Czarnecka** – socjolog i historyk, pracownik Archiwum Państwowego w Katowicach, wolontariuszka w Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu, autorka książki *Sprawa Stanisława Gustawa Jastera ps. „Hela” w historiografii. Kreacja obrazu zdrajcy i obrona* (2014)



Fot. Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau

► Zdjęcia obozowe Stanisława Gustawa Jastera

ców zamachu na Krügera. Podjęto grę wywiadowczą: Battka zaszantażowano ojcem w oflagu. Z kolei drugi wykonawca zamachu, Stanisław Lewiński, był fanatycznym antykomunistą (chciał nawet zaciągnąć się w 1941 do Wehrmachtu, żeby bić Sowietów), więc wmówiono mu, że jego dowódca, który dał mu zlecenie na Krügera, jest sowieckim agentem. Lewiński się załamał. W rezultacie obaj przedstawili Niemcom wszelkie powiązania konspiracyjne.

Aresztowanie Stanisława Gustawa Jastera oraz szefa sztabu oddziału „Osy” – „Kosy 30”, Mieczysława Kudelskiego, 12 lipca 1943 roku na ul. Nowogrodzkiej w Warszawie jest decydujące dla wykreowania w historiografii obrazu „Hela” jako zdrajcy. Jego ucieczka z samochodu gestapo na pl. Zbawiciela stała się koronnym argumentem w rozdziale

ponieważ ten 30 czerwca 1943 roku został aresztowany przez Niemców i niebawem wywieziony do KL Sachsenhausen.

Pomijając powyższe nieścisłości, wątpliwości budzi też rzekome przeprowadzenie przez kontrwywiad AK sprawdzenia Stanisława Gustawa Jastera oraz wydanie na niego wyroku śmierci przez Wojskowy Sąd Specjalny. Do dziś nie znaleziono bowiem akt WSS dotyczących Jastera „Hela”, i – jak pisze w *Przyczynku do historii Wojskowych Sądów Specjalnych* Waław Sieroszewski – nie rozstrzygnięto, czy padł on ofiarą samosądu, tragicznej pomyłki, czy też został po prostu zabity przez gestapo.

Opisany przez Kunickiego proces sprawdzania osoby podejrzanej o współpracę z Niemcami przez kontrwywiad AK nie znalazł również potwierdzenia w opisie takiej procedury podanym przez

# Kat, który kochał dzieci

Joanna Lubecka

więźniowie byli świadkami oskarżenia. W swoich zeznaniach określali tymczasem Liebehenschela m.in. w ten sposób: „Był lubiany przez więźniów. SS-owcy nienawidzili go. Cieszył się dobrą opinią jako sprawiedliwy i łagodny człowiek”.

Świetna mowa obrończa nie wpłynęła jednak na wyrok. Wobec ogromu zbrodni popełnionych w Auschwitz rządy Arthura Liebehenschela były „mniejszym złem”, ale nadal złem. „Złem doskonałym” były rządy Rudolfa Hößa.

## Dom rodzinny: dostatek i rygor

Rodzina Rudolfa Hößa pochodziła z bogatego chłopstwa z regionu Schwarzwald. Tradycja służby wojskowej była w niej obecna od kilku pokoleń. Ojciec Rudolfa po zakończeniu służby w Niemieckiej Afryce Wschodniej zajął się handlem, dzięki czemu pięćosobowej rodzinie żyło się całkiem dostatnio. Można uznać, że Rudolf Höß miał szczęśliwe dzieciństwo, choć był typem samotnika – wolał przebywać w towarzystwie zwierząt niż ludzi. We wspomnieniach napisał: „Jakkolwiek oboje rodzice byli dla mnie bardzo dobrzy, nie umiałem nigdy znaleźć do nich drogi we wszystkich wielkich i małych troskach, które nękają młode serce. Wszystko załatwiałem sam z sobą”.

Po ukończeniu gimnazjum humanistycznego w Mannheim w 1916 roku młody Höß wstąpił jako ochotnik do szwadronu dragonów badeńskich i został odkomenderowany do walk na wschod-

nich rubieżach imperium tureckiego (czyli na froncie irackim). Za udział w walkach został dwukrotnie nagrodzony Krzyżem Żelaznym.

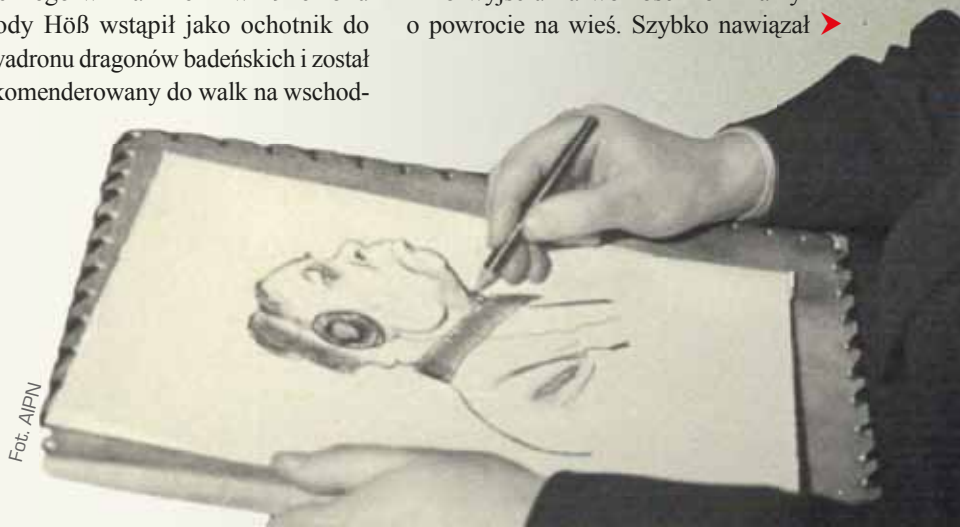
W 1919 roku zaciągnął się do Korpusu Ochotniczego (Freikorps) por. Gerharda Roßbacha, który został powołany, by osłaniać odwrót oddziałów niemieckich z krajów bałtyckich. Walki te, jak wspominał Höß, „znamionowała dzikość i zaciętość, z jaką nie spotkałem się ani przedtem, podczas wojny światowej, ani potem, podczas innych walk korpusów ochotniczych”.

W 1923 roku Rudolf Höß został oskarżony o udział w zamordowaniu Waltera Kadowa w wyniku sądu kapturowego przeprowadzonego we Freikorpsie na współtowarzyszu, którego oskarżono o zdradę. Hößa skazano na 10 lat więzienia, ale w wyniku amnestii wyszedł po czterech. We wspomnieniach sporo miejsca poświęcił pobytowi w więzieniu: opisał kategorie więźniów, obyczaje więzienne, bezdusność strażników, a nawet kapelanów. Był dobrym obserwatorem. O sobie pisał: „Będąc od młodości przyzwyczajony przez wychowanie do bezwzględnej posłuszeństwa, pedantycznego porządku i czystości, nie miałem pod tym względem szczególnych trudności w przystosowaniu się do twardego, więziennego życia”.

Po wyjściu na wolność Höß marzył o powrocie na wieś. Szybko nawiązał

Mimo że w Auschwitz było trzech komendantów, to SS-Obersturmbannführer Rudolf Höß stał się symbolem tej fabryki śmierci.

**H**öß był symbolem Auschwitz do tego stopnia, że jeden z adwokatów Arthura Liebehenschela, kolejnego komendanta, postanowił skonstruować mowę obrończą wokół ukazania kontrastu między nimi. Liebehenschel był komendantem Auschwitz jedynie pół roku. Sądzonego w procesie załogi Auschwitz, odbywającym się od 24 listopada do 22 grudnia 1947 roku w Krakowie. Mecenas Mieczysław Kossek mówił: „Wtedy, w listopadzie 1943 roku, do obozu przyszedł nowy komendant [Liebehenschel] – ale to określenie jest niewystarczające. Wtedy przyszedł człowiek – po prostu człowiek. [...] Z chwilą jego przybycia [...] zmieniły się radykalnie stosunki w obozie. On zniósł krematorium [...], zniósł karę śmierci, zniósł wysyłanie na gaz. [...] On zniósł kapo – więźniów, przestępców, którzy byli plagą całego obozu. On to wreszcie uwolnił i uwolnił ludzi skazanych na śmierć na bloku 11”. Główne argumenty w obronie Liebehenschela stanowiły zeznania świadków, byłych więźniów Auschwitz. Było to dość wyjątkowe, zazwyczaj bowiem



Fot. AIPN

kontakt ze Związkiem Artamanów, o których napisał: „Była to wspólnota młodych chłopców i dziewcząt wyłoniona z ruchów młodzieżowych wszystkich nacjonalistycznych kierunków partyjnych, wspólnota ludzi, którzy chcieli przede wszystkim powrócić z niezdrowego, pełnego rozkładu i powierzchownego życia miasta do zdrowego, twardego, lecz naturalnego sposobu życia na wsi. Gardzili oni alkoholem i nikotyną, jak zresztą wszystkim, co nie służy zdrowemu rozwojowi ducha i ciała. Poza tym, wyznając zasadę całkowitego powrotu do ziemi, z której wyszli ich przodkowie, chcieli powrócić do źródła życia niemieckiego narodu –

były sprecyzowane i zbieżne z tymi, które prezentowała partia Adolfa Hitlera.

Życie na wsi wspominał jako najszczęśliwszy okres, który w 1934 roku przerwało wezwanie Heinricha Himmlera do wstąpienia do SS (od sierpnia 1933 roku Höß miał status kandydata). Późniejszego Reichsführera Höß poznał jeszcze w czasie działalności we Freikorpsach, prawdopodobnie w roku 1921 na spotkaniu u gen. Ericha Ludendorffa. Mimo wielkiej fascynacji Himmlerem, Höß niechętnie porzucał wiejskie życie i pracę na roli. Pisał o tym: „Po długich, pełnych wątpliwości rozważaniach, zdecydowałem się przejść do czynnej służby

gania. Każdy esesman, bez względu na swoje dotychczasowe życie, musi się całkowicie poświęcić sprawie. Każdy rozkaz musi być dla niego święty i nawet najcięższy i najtrudniejszy musi być bez wahania wykonany”. Höß wspominał, że światopogląd nazistowski w SS traktowano w sposób quasi-religijny. Za wzór stawiano często świadków Jehowy, których za odmowę służby wojskowej skazywano na śmierć. Höß, który w Auschwitz wielokrotnie widział ich egzekucje, pisał o nich z podziwem: „Tak wyobrażałem sobie pierwszych chrześcijańskich męczenników oczekujących na arenie na rozszarpanie ich przez dzikie zwierzęta. Szli oni na śmierć z jasnym obliczem, skierowanymi ku górze oczyma, złożonymi do modlitwy i podniesionymi rękoma. Wszyscy, którzy oglądali tę śmierć, byli wzruszeni, poruszony był nawet pluton egzekucyjny”.

„Czy komendant największego hitlerowskiego obozu zagłady mógł być człowiekiem normalnym psychicznie?” – takie pytanie postawił wybitny polski psychiatra i kryminolog, prof. Stanisław Batawia. Zanim jednak Höß trafił do Polski, był przesłuchiwany w Niemczech przez amerykańskiego psychologa Gustave’a Gilberta, który badał wszystkich oskarżonych w procesie norymberskim. Pierwsze wrażenie dr Gilbert zawarł w jednym zdaniu: „W tym apatycznym, niskim mężczyźnie nie było nic, co pozwalałoby przypuszczać, że ma się do czynienia z największym mordercą, jaki kiedykolwiek żył na świecie”. Höß nie nabrał zaufania do dr. Gilberta – w Norymberdze było na to zbyt mało czasu. Wyjaśniał jednak chętnie niektóre mechanizmy funkcjonowania systemu, mówił np.: „[Himmler] żądał często rzeczy niemożliwych, jakich w normalnych okolicznościach nie sposób było wykonać. Z chwilą jednak, gdy rozkaz został wydany, przystępowano z całą energią do jego wykonania [...]. Na przykład obliczyłem, że dla budowy tamy na Wiśle w Oświęcimiu potrzeba trzech lat; on tymczasem dał nam na to rok, a my dotrzyaliśmy tego terminu”. Ostateczna diagnoza Gilberta dotycząca Rudol-



Fot. AIPN

► Gospodarzem procesu Hößa chciały być trzy miasta – ostatecznie rozprawy odbyły się w Warszawie

do zdrowego, chłopskiego osadnictwa”. Wśród Artamanów znalazł żonę, Hedwig, z którą miał pięcioro dzieci. Po wyjściu z więzienia Höß odmówił reaktywacji swojego członkostwa w NSDAP, które w trakcie pobytu w więzieniu było zawieszane. Gdy w 1936 roku ponownie złożył wniosek o przyjęcie, tłumaczył się, że jako jeden z oficjalnych przywódców Związku Artamanów nie mógł równocześnie należeć do partii. W tych latach widoczna jest niechęć Hößa do NSDAP i działalności partyjnej, co odzwierciedlało również jego odsunięcie się od dawnych kolegów partyjnych, choć jego poglądy polityczne

w SS”. Wstąpił, ponieważ SS wydawał mu się lepszą propozycją niż „przeciętność partii”.

Wkrótce Höß został członkiem specjalnych oddziałów Totenkopf (trupiej główki), stworzonych przez Theodora Eickego jako załogi obozów koncentracyjnych.

### Bardziej robot niż człowiek

Höß tak wspominał Eickego: „Więźniowie [obozów] byli dla niego na zawsze wrogami państwa, których należy dobrze pilnować, surowo się z nimi obchodzić, a w razie oporu niszczyć. [Uważał, że] twarde prawa wojny mają swoje wyma-



► Rozprawy przed Najwyższym Trybunałem Narodowym odbywały się jeszcze według przedwojennych wzorów – przed składem sędziowskim stoi krucyfik

fa Hößa: „zimny, nieobecny duchem schizoid, bezkrytycznie akceptuje ideologię, mechanicznie postępuje po linii najmniejszego oporu w psychopatycznej społeczności”. Gilbert zanotował, że Höß nie czuł osobistej winy, uważał się za ofiarę systemu, któremu, jak sam przyznał, fanatycznie wierzył, a przez który został zdradzony. W Polsce, gdzie miał być sądzony, został osadzony w krakowskim więzieniu przy ul. Montelupich. Tam właśnie badał go Stanisław Batawia.

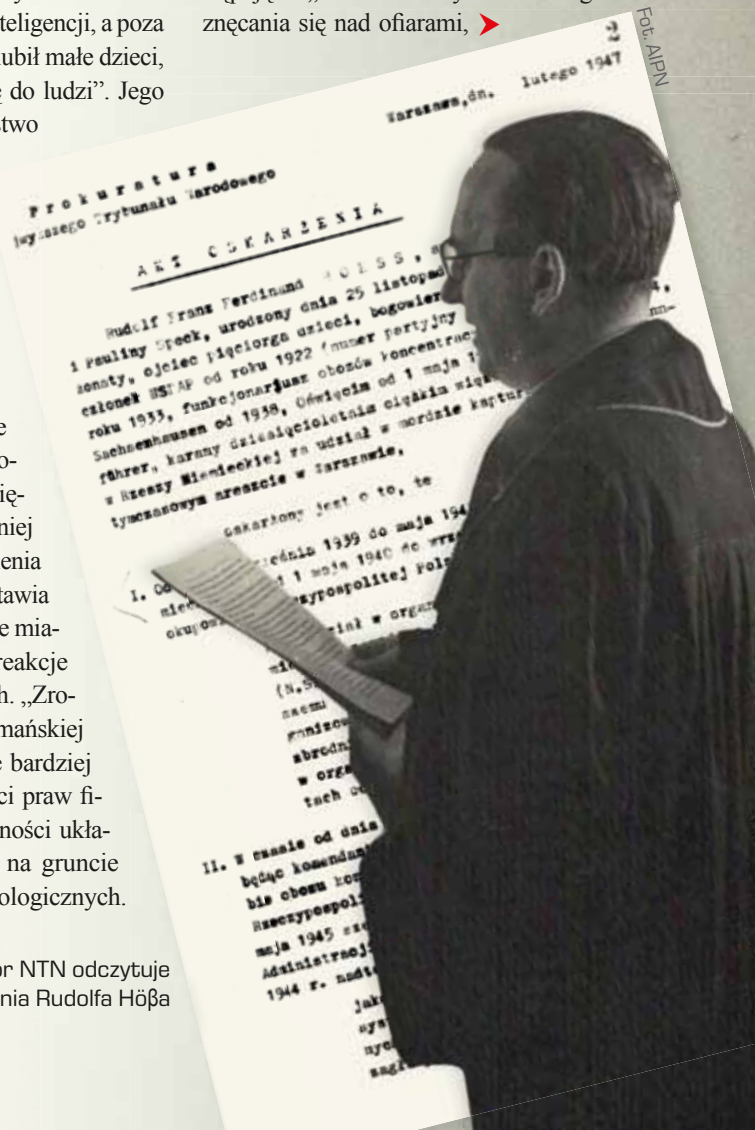
Polski profesor miał więcej czasu niż dr Gilbert – odbył z komendantem Auschwitz wiele rozmów (niektóre trwały nawet pięć godzin) i przeprowadził testy psychologiczne. Zeznania Hößa Batawia ocenił ostatecznie jako zgodne w zasadniczych kwestiach z prawdą. Podkreślił też, że niemiecki zbrodniarz stopniowo się przed nim otworzył. Na początku Höß tylko odpowiadał na pytania, z czasem sam zaczął mówić: „Był nieśmiały, wrażliwy, wszystko to nie harmonizowało z typową postacią komendanta hitlerowskiego obozu koncentracyjnego, jaką wyobraźnia nasza kojarzy sobie ze słowem Oświęcim”. Z relacji Batawii wyłania się obraz człowieka bez namietności, bez własnych ambicji, spokojnego i rzeczowego, wręcz pedantycznego. Höß wielokrotnie poprawiał swoje zeznania i relacje świadków, dodając szczegóły, nawet jeśli pogrążały go jeszcze bardziej. Na pytanie Gilberta o funkcjonowanie komór gazowych, szczególnie ich „wydajności”, Höß odpowiedział: „Nie, nie liczy pan poprawnie. Samo zabijanie zabierało mniej czasu. Można było pozbyć się dwóch tysięcy lu-

dzi w ciągu pół godziny, ale palenie zwłok zabierało cały pozostały czas. Zabijanie było proste; nie potrzeba było nawet strażników, aby skierować ich do komór; po prostu wchodziłi, spodziewając się, że idą pod prysnic, ale zamiast wody puszczałiśmy gaz. Cała sprawa posuwała się bardzo szybko”.

Według Batawii, Höß był człowiekiem o zupełnie przeciętnej inteligencji, a poza tym „kochał zwierzęta, lubił małe dzieci, łatwo przywiązywał się do ludzi”. Jego bezwzględne posłuszeństwo rozkazom polski profesor przypisywał apodyktycznemu ojcu, który w małym dziecku stłumił indywidualizm, wzmocnił nieśmiałość i zachowania introwertyczne, wpoił absolutne posłuszeństwo wobec rodziców, nauczycieli, księży. Cechy te zostały później wzmocnione przez szkolenia dla esesmanów, które Batawia nazywa „tresurą”, a które miały wyrobić pożądane reakcje na rozkazy przełożonych. „Zrozumienie psychiki esesmańskiej możliwe jest właściwie bardziej na podstawie znajomości praw fizjologii wyższych czynności układu nerwowego aniżeli na gruncie rozważań czysto psychologicznych.

► Prokurator NTN odczytuje akt oskarżenia Rudolfa Hößa

Oslabiano w nich samodzielne krytyczne myślenie, zdolność hamowania tendencji agresywnych za pośrednictwem poczuc etycznych” – oceniał Batawia. Ideologia narodowosocjalistyczna przyczyniała się do degradacji osobowości. A jednak Höß źle znosił kierowanie obozem koncentracyjnym, tyle że bał się przyznać do tej słabości. Profesorowi powiedział: „Rozumiem, na czym polegało to zło”. Ostateczną diagnozę Batawia sformułował następująco: „Sam niezdolny do osobistego znęcania się nad ofiarami, ►



niechętny nawet do brania udziału w polowaniach na zające z nagonką, stał się zbrodniarzem, który kierował masową zagładą dzieci i kobiet [...], bezgranicznie oddany sprawie, tylko słuchał i działał zgodnie z rozkazami, bardziej typ robota aniżeli żywego człowieka”.

Przyczyn przemiany spokojnego i niegroźnego Rudolfa Hößa w mordercę, mającego na sumieniu setki tysięcy ofiar, Batawii upatrywał w wydarzeniach historycznych i określonym środowisku społecznym, z którym był związany los pacjenta: „Z czasem odbywała się metamorfoza tej społecznie niegdyś nieszkodliwej jednostki w określony typ mentalności faszystowskiej. [...] Najpierw prekursorzy hitleryzmu, a potem ideologia narodowo-socjalistyczna przekształciły młodocianego Rudolfa Hössa, obdarzonego żywymi poczuciami etycznymi, w przestępcę niespotykanej miary, który wiernie służąc fałszywej i zbrodniczej ideologii, utonął w otchłani przestępstw hitlerowskich”.

Profesor Batawia stwierdził, że jego pacjent „nie nienawdził prawdziwie ani Żydów, ani komunistów, ani przestępców politycznych, ani nawet pospolitych przestępców. Wierzył głęboko i bezkrytycznie w słuszność ideologii narodowoso-

cialistycznej, która nakazywała zwalczać wrogów z całą bezwzględnością [...]. Ta wiara, to głębokie przeświadczenie były dostatecznie silne, aby kierować jego postępowaniem bez uczucia nienawiści”. Pod tym względem Höß był wyjątkiem, który nie uległ indoktrynacji szkoły Theodora Eickego. Na pytania prof. Batawii, czy nie przyszło mu na myśl, żeby zrezygnować z funkcji komendanta, odpowiadał, że dostał do wykonania rozkaz i nie mógł go nie wykonać, a poza tym, jak dodał, „odmowa taka w niczym nie wpłynęłaby na przebieg całej akcji, bo moje miejsce zajęłby kto inny i zagłada zostałaby przeprowadzona i tak, zgodnie z uprzednio dokładnie opracowanym planem”. Batawia podkreślił jednak, że Hößa różniła od innych zbrodniarzy wojennych zasadnicza i wyjątkowa rzecz: mimo uznania bezwzględnej konieczności wykonywania rozkazów, uważał, że samo ich wykonywanie nie zwalnia go od odpowiedzialności, choć, jak już wyżej wspomniano, nie czuł się osobiście winny zbrodni.

### Dzieci kochał, całował, pieścił

W trakcie sprawowania funkcji komendanta Auschwitz (od wiosny 1940 do jesieni 1943 roku) Höß mieszkał wraz

z rodziną na terenie obozu, kilkaset metrów od rampy, na której odbywały się selekcje, osobiście przez niego nadzorowane. Danuta Rzempiel, więźniarka Auschwitz, która w 1941 roku w wieku 16 lat została służącą w dwupiętrowej willi Hößów, komendanta wspominała jako dobrego ojca i męża: „Dzieci kochał. W ich pokoju lubił kłaść się z nimi na kanapie. Całował je, pieścił i pięknie do nich przemawiał”. On sam opisywał ten czas jako bardzo trudny dla siebie: „Prawda, że mojej rodzinie było w Oświęcimiu dobrze – napisał w swojej autobiografii – każde życzenie mojej żony i dzieci było spełniane. Dzieci mogły swobodnie szaleć do woli. Żona moja żyła wśród kwiatów jak w raj”. W innym jednak miejscu zaznaczył: „Nie mogłem wytrzymać w serdecznej atmosferze rodzinnej; stojąc nocą na dworze przy transportach, przy komorach gazowych, przy płomieniach, często myślałem o mojej żonie i dzieciach [...]. Gdy widziało się kobiety z dziećmi idące do komór gazowych, mimo woli myślało się o własnej rodzinie. Od chwili rozpoczęcia akcji masowej zagłady nigdy nie zaznałem szczęścia”.

### Poprosił o kawę

Hößa miał osądzić Najwyższy Trybunał Narodowy. O zorganizowanie procesu rywalizowały trzy miasta: Katowice – z racji tego, że Oświęcim należał do okręgu ówczesnego Sądu Apelacyjnego w Katowicach; Kraków – ze względu na to, że śledztwo było prowadzone przez Okręgową Komisję Badania Zbrodni Niemieckich w Krakowie, a więc znajdował się tam cały materiał śledczy; oraz Warszawa – z racji prestiżowych. Ostatecznie proces odbył się od 11 do 29 marca 1947 roku w stolicy, w siedzibie Związku Nauczycielstwa Polskiego. Jedno z jej pomieszczeń już wcześniej służyło jako sala sądowa w procesie Ludwiga Fischera, było więc przynajmniej w części przystosowane do procesu na skalę międzynarodową. Sala ta mogła pomieścić około pięciuset osób i miała już zainstalowany sprzęt umożliwiający tłumaczenie simultaniczne

► Specjalnie dla Hößa zbudowano nową szubienicę – nie chciano, by egzekucja odbyła się na tej, na której wieszano ofiary skazanego



na cztery języki: niemiecki, francuski, angielski, i rosyjski. Publiczności wydawano karty wstępu (chętnych było znacznie więcej niż miejsc na sali), które uprawniały do brania udziału tylko w jednym posiedzeniu.

Z dokumentów wynika, że z Hößem w więzieniu obchodzono się dobrze (sam zresztą o tym napisał w liście pożegnalnym). W dokumentacji więziennej zachowało się pismo prokuratora NTN dr. Tadeusza Cypriana z prośbą o dobre traktowanie byłego komendanta Auschwitz i trzech innych zbrodniarzy niemieckich, „aby kondycja wymienionych więźniów, zarówno fizyczna, jak i moralna była jak najlepsza podczas rozprawy [...] [jeśli to konieczne] dostarczenie stołu, krzesła, papieru, ołówka; dostarczanie im czystej bielizny, umożliwienie chodzenia na spacer”.

W trakcie procesu Höß miał dwóch obrońców z urzędu. Tadeusz Ostaszewski nazwał w mowie obrończej formację SS „szkołą morderców”, a komendanta Auschwitz „produktem tej szkoły”. Drugi z adwokatów, Franciszek Umbreit, starał się udowodnić, że zarzut osobistego okrucieństwa wobec więźniów był niesłuszny. Dowiedzenie tego nie mogło mieć jednak wpływu na wyrok. Rudolf Höß został skazany na karę śmierci. Mimo to podziękował swoim obrońcom, po czym oświadczył, że nie będzie składał wniosku o ułaskawienie, bo zdaje sobie sprawę z tego, że ułaskawiony zostać nie może. Na prośbę byłych więźniów KL Auschwitz wyrok wykonano w obozie 16 kwietnia 1947 roku. Specjalnie wybudowano szubienicę przed budynkiem dawnej komendatury obozu, gdyż nie chciano skorzystać z tej, na której wieszano więźniów, zachowanej obok bloku 11. Ostatnim życzeniem skazańca były filiżanka kawy i obecność katolickiego księdza w czasie egzekucji. Niezależnie od postawy Hößa w więzieniu, jego religijnego nawrócenia, wzięcia na siebie winy, to właśnie on pozostał symbolem Auschwitz – największej w historii fabryki śmierci. ❀

dr Joanna Lubecka – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Krakowie

Fot. Czesław Czapiński/FOTONOVA

## Amerikanin z polską flagą

Joanna Wojdon

**W 1968 roku Kongres Polonii Amerykańskiej przypominał kolosa na glinianych nogach: wciąż dumnie wypowiadał się w imieniu milionów Amerykanów polskiego pochodzenia i skupiał największe organizacje polonijne. Jednak jego praktyczna działalność była niemal niedostrzegalna. Zmienił to nowy prezes – Alojzy Mazewski.**

Istniejący od 1944 roku Kongres Polonii Amerykańskiej pod koniec lat sześćdziesiątych wciąż dumnie wypowiadał się w imieniu Amerykanów polskiego pochodzenia i potępiał reżim komunistyczny w Polsce. Jednak jego aktywność była bliska zeru – budżet KPA ledwie wystarczał na utrzymanie dwóch biur: w Chicago i Waszyngtonie. O postępującym marazmie dobitnie świadczy choćby to, że „Dziennik Związkowy”, organ prasowy Związku Narodowego Polskiego, zamieścił identyczny tekst o działaniach i osiągnięciach Kongresu z okazji jego dziesięcio-, jak i szesnastolecia. Strony tytułowe tych wydań różniły się jedynie datą i numerem rocznicy. Nie było żadnych nowych informacji.

W tej sytuacji, we wrześniu 1968 roku, na czele Kongresu stanął Alojzy Mazewski – pięćdziesięciodwuletni prawnik z Chicago. Rok wcześniej

został prezesem Związku Narodowego Polskiego – największej polonijnej organizacji bratniej pomocy, istniejącej od 1880 roku. Zdetronizował Karola Rozmarka, lidera ZNP od 1939 roku. Swoją kandydaturę Mazewski promował pod hasłami odbudowy majątku Związku Narodowego Polskiego i jego rozwoju jako konkurencyjnej na rynku firmy ubezpieczeniowej. Dotychczasowemu zarządowi przekonująco postawił zarzuty niegospodarności (w szczególności udzielania pożyczek hipotecznych bez należytego pokrycia).

Mazewski szansę ożywienia KPA widział w przeniesieniu ciężaru zainteresowań ze spraw Polski (której sytuacja wydawała się dość stabilna i bez większych nadziei na poprawę) na problemy wewnętrzne Polonii: walkę z antypolskimi dowcipami i eliminowaniem języka polskiego ze szkół czy parafii oraz przeciwdziałanie dyskryminacji ➤



Polonii podczas nominacji na urzędy.

Paradoksalnie, to sprawy polskie – wybór Polaka na papieża i powstanie Solidarności – przyczyniły się do rewitalizacji Kongresu Polonii i do wzrostu prestiżu polskiej grupy etnicznej w USA. Więcej Amerykanów zaczęło się przyznawać do polskich korzeni, a pomoc ojczyźnie przodków zwiększyła ich ofiarność także na inne cele KPA. Zarówno media jak i administracja waszyngtońska zainteresowały się Polską, a Mazewski stał się dla nich jednym z głównych rzeczników polskiego społeczeństwa. Okazał się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu i potrafił tę koniunkturę dobrze wykorzystać.

### Polak bez kompleksów

Alojzy Mazewski był Amerykaninem, urodzonym w USA, w North Chicago w stanie Illinois w 1916 roku. Jego ojciec, Feliks, wyemigrował na początku XX wieku z Wólki Piasecznej k. Łomży. Matka, Harriet, z domu Konieczny, urodziła się już w Stanach. Należał zatem Alojzy (czy Aloysius, bo takiego imienia używał w dokumentach amerykańskich) po ojcu do drugiego, a po matce – do trzeciego pokolenia imigrantów.

Niedługo po przyjściu syna na świat rodzice przeprowadzili się do Chicago. Ojciec został tam właścicielem sklepu spożywczego i wędliniarni na terenie parafii Matki Boskiej Anielskiej, w północno-zachodniej części miasta.

Wśród Polonii w okresie międzywojennym wciąż dość powszechne było po-przestawanie na edukacji elementarnej

i wczesne podejmowanie pracy zarobkowej. Powoli jednak zaczęto doceniać wykształcenie, co z czasem poskutkowało awansem społecznym i ekonomicznym polskiej grupy etnicznej w społeczeństwie amerykańskim. Mazewski podążył tym nowym tropem. Już w szkole średniej zaczęły się ujawniać jego talenty organizacyjne i dążenie do rozwijania polskiego dziedzictwa w USA. Nie miał kompleksów na tle swojego pochodzenia etnicznego. Dzięki niemu w szkole wprowadzono w 1932 roku lekcje kultury i języka polskiego. Redagował tam również pismo uczniowskie „Echo Młodzieży”. Był bardzo zaangażowany w działalność Związku Narodowego Polskiego – największej polonijnej organizacji bratniej pomocy. W 1947 roku, w wieku 31 lat, został wybrany do dyrekcji ZNP.

Jeszcze przed II wojną światową Mazewski ukończył studia prawnicze na chicagowskim uniwersytecie DePaul, a następnie otworzył prywatną praktykę adwokacką. Musiał ją przerwać z powodu powołania do służby wojskowej – brał udział w walkach na terenie Niemiec, do rezerwy przeszedł w stopniu majora.

Mazewski związał się z Partią Republikańską. Z jej ramienia kilkakrotnie w latach pięćdziesiątych kandydował na różne lokalne urzędy. Nie odnosił sukcesów, ale nawiązał kontakty z amerykańskimi działaczami republikańskimi – co procentowało później w działalności polonijnej.

Republikanie doceniali go przede wszystkim jako przywódcę polonijnego. Pierwszą zaszczytną funkcją było stanowisko delegata Stanów Zjednoczonych

do ONZ w 1970 roku – gdzie m.in. brał udział w pertraktacjach na temat Korei. Był społecznym członkiem delegacji na Konferencję Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie w Genewie w 1973 roku i na konferencję rewizyjną KBWE w Madrycie siedem lat później. Wszedł w skład U.S. Holocaust Memorial Council i kilku innych ciał doradczych w Waszyngtonie i Chicago. Był członkiem oficjalnej amerykańskiej delegacji na inaugurację pontyfikatu papieża Jana Pawła II w Rzymie w 1978 roku i na pogrzeb prymasa Stefana Wyszyńskiego w Warszawie w 1981 roku. Wówczas po raz pierwszy i jedyny w życiu odwiedził Polskę.

Dwadzieścia lat po objęciu przez Mazewskiego przywództwa Kongresu Polonii Amerykańskiej osiągnął szczyt swojej potęgi: władze państwowe publicznie wyrażały dla niego uznanie i konsultowały z nim niektóre decyzje. Działacze znacząco pomagali materialnie rodakom nad Wisłą, wspierając ich też moralnie i politycznie. Przed Mazewskim otwierały się niemal wszystkie drzwi, prowadził rozmowy i korespondencję z przedstawicielami najwyższych władz, był zapraszany na uroczystości do Białego Domu. To on otrzymał pióro, którym prezydent Ronald Reagan podpisywał specjalną proklamację z okazji czterdziestolecia Powstania Warszawskiego – a która była skutkiem zabiegów zarówno KPA, jak i polonijnych organizacji kombatanckich.

### Na linii z Białym Domem

Podnosiły się głosy krytyki, że były to funkcje czysto reprezentacyjne, niemające bezpośredniego przełożenia na konkretne korzyści dla polskiej grupy etnicznej czy dla sprawy polskiej, a Mazewski spędzał czas głównie na przyjęciach. Edward Tomasiak, działacz KPA z Wisconsin – żeby użyć sformułowania z odręcznych notatek Edwarda Różańskiego, chicagowskiego działacza KPA i ZNP – „rąbał Mazewskiego” na posiedzeniu dyrekcji Kongresu w 1976 roku, mówiąc m.in.: „Musimy zawsze pamiętać, że historia nie będzie nas oceniała na podstawie mów wygłoszonych na bankietach, lecz na podstawie tego,

Organizacje bratniej pomocy (ang. *fraternals*) łączyły funkcje ubezpieczeniowe – początkowo oferując świadczenia na wypadek śmierci imigrantów z Polski, potem oferta się poszerzała – z działalnością społeczną, kulturalną i polityczną wśród polskiej grupy etnicznej w USA. Gdy powstawały pod koniec XIX wieku, o ich powodzeniu decydowały przede wszystkim ta działalność, oblicze ideowe (np. ZNP był bardziej skupiony na wspieraniu walki o niepodległość Polski, a Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie na rozwoju polskich parafii etnicznych w USA) czy odwoływanie się do potrzeb konkretnych grup społecznych (np. Sokolstwo – młodzieży, a Związek Polek – kobiet). Z czasem te różnice zanikały (młodzież z Sokolstwa się postarzała, kobiety zyskały znaczące wpływy także w innych organizacjach, ZPRK przyłączało się do walki o sprawę polską), a same firmy się komercjalizowały. Członków przyciągano nie tyle programem społecznym czy politycznym albo atrakcyjnymi formami działalności, ile ofertą produktów ubezpieczeniowych.

► Alojzy Antoni Mazewski,  
zdjęcie z 1983 roku



Fot. Czesław Czaplński/FOTONOVA

cośmy aktualnie dokonali?”. Warto tu jednak zwrócić uwagę na dwie kwestie. Po pierwsze, jednym z głównych hamulców dla ambitniejszych (i skuteczniejszych) przedsięwzięć Kongresu Polonii były permanentne problemy finansowe, z którymi borykała się organizacja. I nawet mir, jakim cieszył się Mazewski, nie potrafił wykrzesać ofiarności Polonii na rzecz KPA. Udało się ją zmobilizować dopiero na początku lat osiemdziesiątych do szerokiej akcji charytatywnej na rzecz Polaków mieszkających w Starym Kraju. Ówczesne zbiórki funduszy przyniosły łącznie ponad pięć milionów dolarów, jednak z wyraźnym przeznaczeniem na odzież, leki czy żywność wysyłane do Polski i dystrybuowane głównie kanałami kościelnymi. Wcześniejsze (i późniejsze) kwesty na rzecz samego Kongresu dawały zwykle zastrzyk zaledwie kilku tysięcy dolarów na załatwienie najpilniejszych potrzeb. Można zaryzykować twierdzenie, że ożywienie KPA w latach osiemdziesiątych było możliwe dzięki lepszej niż kiedykolwiek koniunkturze dla spraw polskich wśród Amerykanów, ale także dzięki odsetkom od lokat bankowych Fundacji Charytatywnej KPA (całość kapitału – co wielokrotnie podkreślano – szła zgodnie z intencjami ofia-

rodawców na pomoc Polakom w kraju i Mazewski osobiście pilnował, by nie było od tej zasady żadnych wyjątków).

Po drugie, nawet funkcje czysto reprezentacyjne dawały Mazewskiemu dostęp do ważnych osobistości amerykańskiego życia politycznego. Zawierane wówczas znajomości okazywały się przydatne także w kontaktach roboczych. Mazewski wielokrotnie spotykał się z prezydentami, zwłaszcza z Reaganem. Miał stały dostęp do Departamentu Stanu i co najmniej kilka razy w roku odbywał robocze spotkania z jego urzędnikami, a w wielu sprawach interweniował także telefonicznie – rzecz niespotykana ani za prezesury Karola Rozmarka, ani potem – Edwarda Moskala.

Co wynikało z tych spotkań? Na przykład to, że w orędziu prezydenta Reagana z 23 grudnia 1981 roku w związku z wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego dostrzec można sformułowania z memorandum KPA w tej sprawie. Że wprowadzenie sankcji gospodarczych wobec PRL było konsultowane z delegacją KPA. Że waszyngtońskie biuro KPA obsługiwało granty National Endowment for Democracy na rzecz rozwoju kultury niezależnej w Polsce (z których korzystały m.in. wydawnictwa drugiego obiegu).

Sceptycy mogliby wprawdzie stwierdzić, że to sytuacja międzynarodowa, a zwłaszcza wydarzenia w Polsce, ułatwiła Mazewskiemu dostęp do Białego Domu, a zbieżność antykomunistycznych poglądów Reagana i przywódców polonijnych (o czym Karol Rozmarek za rządów Franklina Delano Roosevelta mógł tylko marzyć) wcale nie świadczyła o wpływie tych ostatnich na działania administracji. Ale przecież urzędnicy amerykańscy nie mają obowiązku konsultowania swojej polityki z grupami etnicznymi i przeważnie tego nie robią. A jednak dla KPA i Mazewskiego czynili wyjątek. Jak odnotował Jan Nowak-Jeziorański, który korespondował z Mazewskim jeszcze jako dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, a potem współpracował z nim po swoim przyjeździe do USA, prezes KPA miał umiejętność bardzo zwięzłego, rzeczowego i przekonującego przedstawiania spraw, co cenili sobie jego amerykańscy interlokutorzy. Nie bez znaczenia było zapewne i to, że angielski był jego pierwszym językiem. Komunikacja z Amerykanami była więc zupełnie naturalna, podobnie jak redagowanie dokumentów – podczas gdy w początkach KPA dokumenty programowe i pisma do ►

władz amerykańskich pisano po polsku, a dopiero potem tłumaczono. Tymczasem Mazewski musiał uczyć się polskiego. Pomagał mu w tym Jan Krawiec, nowo mianowany redaktor naczelny „Dziennika Związkowego”. Jak sam wspomina, początkowo, pisząc teksty wystąpień prezesa, musiał szukać słów krótkich i łatwych do wymówienia. Trafił jednak na zdolnego i pracowitego ucznia – na początku lat siedemdziesiątych emigracyjna prasa londyńska zauważyła, że Mazewski mówił „amerykańską polszczyzną, chropowatą, ale bezbłędną i dobitną”.

### Ugodowy, lecz konsekwentny

Warto odnotować jeszcze dwie cechy Alojzego Mazewskiego, które przyczyniały się do budowania jego autorytetu wśród Polonii i Amerykanów. Pierwszą było ogromne otwarcie na współpracę z innymi, popieranie wszelkich inicjatyw, które mogłyby się przysłużyć Polonii czy Polsce, bagatelizowanie konfliktów i niesnasek, tak niestety typowych dla życia polonijnego, i przekonanie o konieczności prowadzenia działalności mimo istniejących różnic i osobistych tarć. Krytycy żalili się, że Mazewski był zbyt uległy, że nie dość zdecydowanie bronił własnego zdania. Jak pisał wiceprezes KPA, Kazimierz Łukomski, w liście do Stanisława Gierata, prezesa Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w USA: „tu powszechnie się mówi, że u Mazewskiego ten ma rację, kto rozmawiał z nim ostatni”. W takim postępowaniu jednak chyba kryła się metoda. Prezes był bowiem dość ugodowy w sprawach taktycznych i przy pewnych konkretnych rozwiązaniach – w myśl zasady, by doceniać wszelką inicjatywę i nie zniechęcać Polonii do aktywności. To jemu wyrażają do dziś wdzięczność polonijni działacze oświatowi z różnych stron USA, którzy dzięki wsparciu KPA mogli w latach osiemdziesiątych zacząć organizować swoje zjazdy. To za jego czasów przycichły wcześniejsze waśnie między prezesami poszczególnych polonijnych organizacji bratniej pomocy, dotąd dość zaciekłe rywalizujących na polu ekonomicznym, ideologicznym i osobistym. To on – choć nie bez wahania – przystąpił do projektu utworzenia Rady Koordynacyj-

nej Polonii Wolnego Świata. Trudno dziś orzec, w jakim stopniu do tworzenia atmosfery porozumienia przyczyniały się cechy osobowości, ale i wyglądu Mazewskiego. Pisarz i publicysta Leopold Tyrmand odnotował: „Mazewski jest obfity, pokaźny i wygląda jak skrzyżowanie hetmana z cukiernikiem. Coś w nim jest marcepanowego – różowa cera, kilka podbródków, srebrniutki wąsik – ale też i podkomorskiego, nadawałby się do owiniętej w kontusz korpulencji i tubalności, a więc zarazem regimenterz i dobry ciastkarz Pączek”.

W kwestiach zasadniczych pozostawał jednak Mazewski niezłomny – i to druga cecha, o której warto pamiętać. O ile mogło nie mieć znaczenia, czy funkcje w danym wydziale stanowym będzie sprawował pan X czy pan Y, gdy rywalizacja wynikała z ich osobistych ambicji, o tyle nie było mowy o odstępstwie od zasady, że współpraca z reżimem komunistycznym dyskwalifikuje kandydatów na stanowiska w KPA. Ku zgrozie niektórych bezkompromisowych działaczy pokolenia emigracji politycznej z okresu II wojny światowej i pierwszych lat powojennych, udzielił wprawdzie Mazewski wywiadu „Życiu Warszawy”, nie powiedział w nim jednak niczego, co mogłoby w jakikolwiek sposób uwiarygodnić reżim. Zdecydowanie odmówił przyjęcia zaproszenia, otrzymanego od prezydenta Geralda Forda, na bankiet ku czci Edwarda Gierka podczas jego wizyty w USA w 1974 roku. Sam nie podróżował do Polski – jedynym wyjątkiem był tu wspomniany udział w pogrzebie kard. Wyszyńskiego, ale wówczas przybył do Warszawy nie jako reprezentant Polonii, lecz jako Amerykanin, członek oficjalnej amerykańskiej delegacji rządowej. Spotkał się m.in. z przedstawicielami Episkopatu Polski i Lechem Wałęsą, którym wyjaśniał motywy swojego postępowania (nie do końca chyba dla nich zrozumiałe).

Innym przejawem zdecydowania Mazewskiego w sprawach zasadniczych była jego postawa wobec antypolskich dowcipów prezentowanych przez amerykańskiego komika – pewnego razu Mazewski demonstracyjnie opuścił

przedstawienie, nie kryjąc oburzenia. Odnotowali to z wielkim uznaniem inni przedstawiciele Polonii obecni na sali, żałując, że sami nie uczynili podobnie.

### Nostalgia za złotym wiekiem

Śmierć Alojzego Mazewskiego 3 sierpnia 1988 roku odnotowały nie tylko organizacje polonijne. Kondolencje nadesłały takie osobistości jak papież Jan Paweł II, prezydent USA Ronald Reagan, laureaci nagrody Nobla – Elie Wiesel i Lech Wałęsa, przewodniczący amerykańskich organizacji grup etnicznych: niemieckiej, słoweńskiej, chorwackiej, ukraińskiej, białoruskiej oraz kilku stowarzyszeń żydowskich. Prezydent Reagan odznaczył pośmiertnie prezesa KPA amerykańskim Medalem Wolności, a prezydent RP na uchodźstwie, Kazimierz Sabbat – Orderem Odrodzenia Polski. Senator Barbara Mikulski jeszcze tego samego dnia złożyła stosowne oświadczenie na forum izby. Gubernator stanu Illinois wydał oświadczenie dla prasy. Wyrazy współczucia wyrazili przedstawiciele amerykańskiego Kongresu i Departamentu Stanu. Dom pogrzebowy w Chicago odwiedzili między innymi wiceprezydent (i kandydat na prezydenta) George Bush i Kitty Dukakis, żona demokratycznego kontrkandydata. Mszę pogrzebową celebrował bp Alfred Abramowicz w asyście bp. Tadeusza Jakubowskiego, kard. Edmunda Szoki i sześćdziesięciu innych kapłanów.

Nie było dotąd drugiego przywódcy Polonii amerykańskiej tego formatu. W rozmowach Amerykanie polskiego pochodzenia są pełni uznania dla Alojzego Mazewskiego. Nieliczne głosy krytyczne pochodziły z wczesnych lat urzędowania, dziś dominuje nostalgia za złotymi latami Polonii pod jego kierownictwem.

Czy ktoś w Polsce jeszcze pamięta tę postać? Gdy rozmawiałam o tym z moim ojcem, wspominał charakterystyczny głos Mazewskiego w Radiu Wolna Europa, donośny, z wyraźnym amerykańskim akcentem. Dziś można go posłuchać w internetowym archiwum Polskiego Radia. Sądzę, że warto. 🇺🇸

dr hab. Joanna Wojdon – historyk, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego

► Ekrany telewizyjne w trakcie emisji „zaatakowanej” przez toruńskich konspiratorów

## Hakerzy z Solidarności

Przemysław Wójtowicz

**Na nic cenzura i ścisła kontrola kadr w reżimowych mediach. W połowie lat osiemdziesiątych widzowie w Toruniu zobaczyli na ekranach telewizorów opozycyjne hasła.**

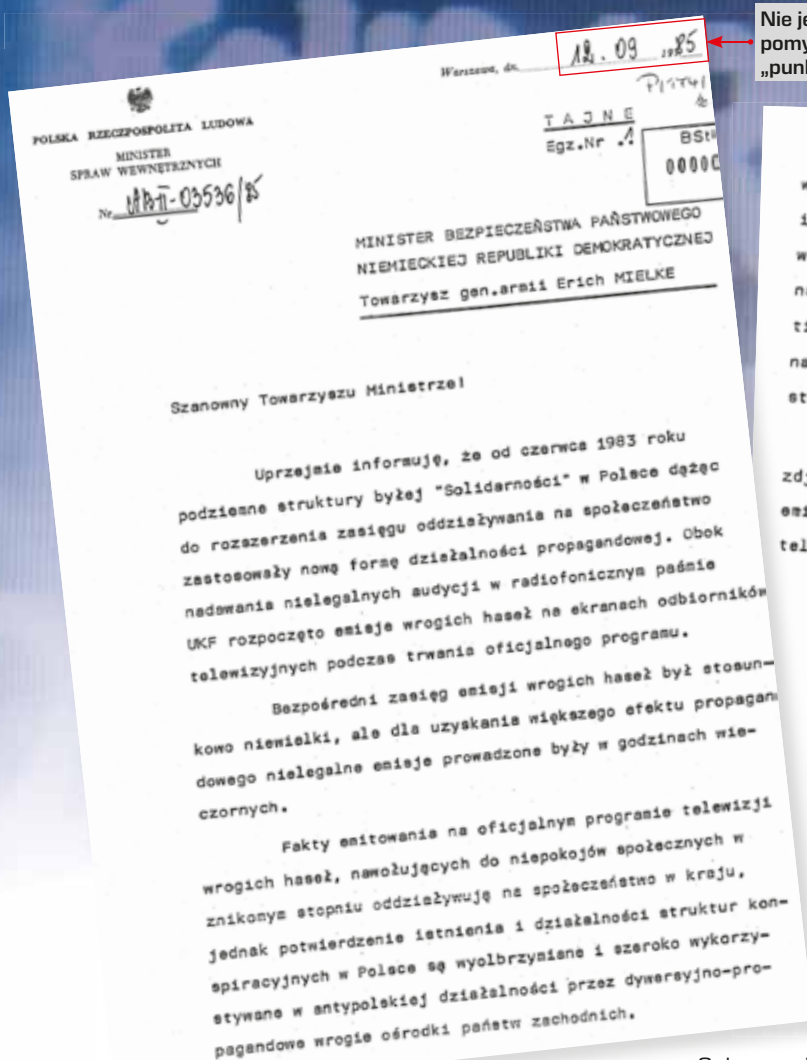
**W** sobotę 14 września 1985 roku major Milicji Obywatelskiej Józef Młodzik pełnił wieczorny dyżur w Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych w Toruniu. Monotonną pracę postanowił umilić sobie oglądaniem programu pierwszego Telewizji Polskiej. Nagle zauważył, że po ekranie telewizora płynnie przesuwają się słowa: „Solidarność Toruń. Dość podwyżek, kłamstw, represji!” oraz „Solidarność

Toruń. Bojkot wyborów naszym obowiązkiem”. W ten sposób mjr Młodzik stał się świadkiem najbardziej spektakularnej pirackiej emisji w historii PRL – niezwykle wyczynu, który jeszcze dziś imponuje pomysłowością i kunsztem technologicznym.

### Radio Solidarność w reżimowej telewizji

Zdolni konspiratorzy z lat osiemdziesiątych potrafili wejść na fonie telewizyjną z sygnałem radiowym,

podkładając go zamiast oryginalnego dźwięku. W tej technice nadawała chociażby ekipa czołowego toruńskiego opozycjonisty Stanisława Śmigła. Byli to głównie pracownicy Toruńskiej Przędzalni Czesankowej „Merinotex”, współtworzący podziemne Wydawnictwo „Kwadrat”. Po raz pierwszy dali o sobie znać 12 czerwca 1984 roku, podczas organizowanej przez opozycję kampanii bojkotu wyborów do rad narodowych. Audycje – emitowane z toruńskich więzowców – trwały od 3 do 3,5 min. Miejscowej Służbie Bezpieczeństwa udało się rozpracować grupę dzięki tajnemu współpracownikowi o pseudonimie „Jurek”, którym okazał się Roman Wesołowski ►



Nie jest jasne, czy w dacie znalazła się niezamierzona pomyłka, czy może gen. Kiszczak pochwalił się likwidacją „punktu nadawczego w Toruniu” przed faktem

Doceniając istniejące zagrożenie resort spraw wewnętrznych podjął intensywne działania operacyjne i radiokontrywywiadowcze, które doprowadziły do likwidacji trzech nielegalnych telewizyjnych punktów nadawczych w Toruniu, Warszawie i Katowicach. Zakwestionowane w tych punktach urządzenia wykonane zostały na różnym poziomie technicznym i w każdym z nich zastosowano inną metodę tworzenia napisów.

W załączeniu przesyłam 3 albumy z opisami i zdjęciami zakwestionowanych urządzeń służących do emisji wrogich napisów na tle oficjalnego programu telewizyjnego.

Z socjalistycznym pozdrowieniem

gen. broni Czesław KISZCZAK

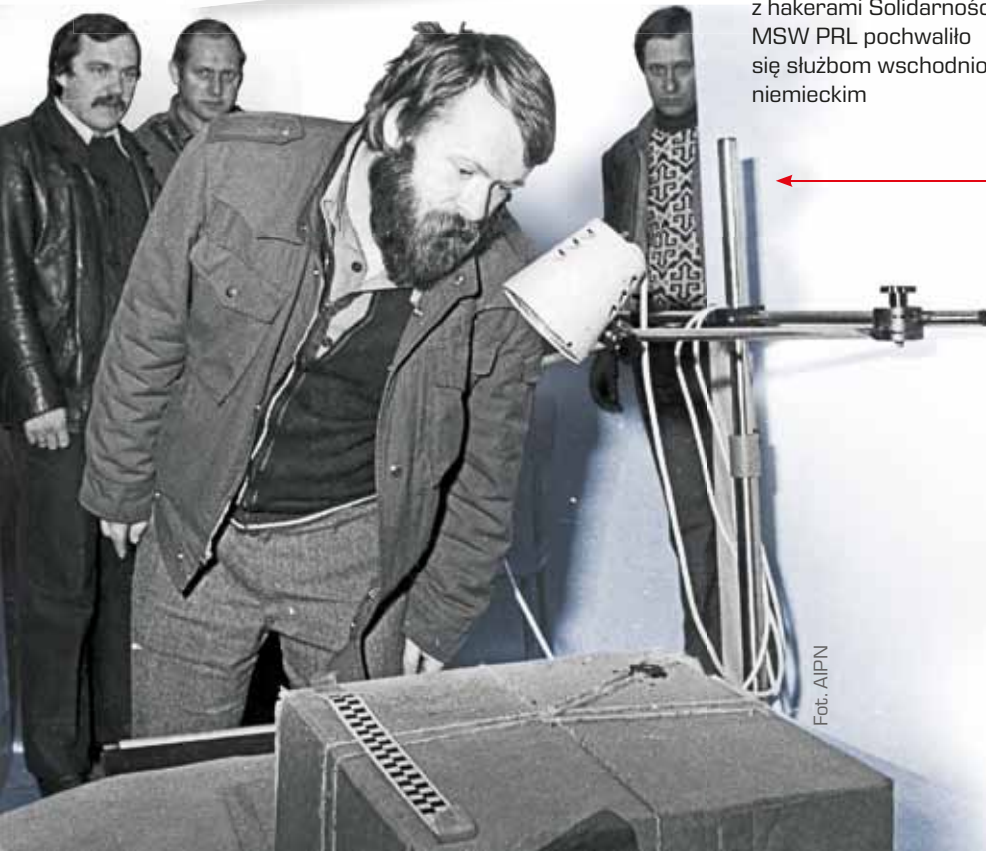
Fot. BStU

► Sukcesami SB w walce z hakerami Solidarności MSW PRL pochwaliło się służbom wschodnio-niemieckim

– elektronik z „Merintexu”. Człowiek ten pod pretekstem naprawy uszkodził urządzenie nadawcze. Ponadto regularnie donosił na Stanisława Śmigła, który 4 listopada 1984 roku został zatrzymany w trakcie przewożenia nadajnika. W grudniu 1984 roku sąd skazał Śmigła na 1,5 roku więzienia w zawieszeniu oraz karę grzywny. Wpadka nie zatarła jednak sukcesu: działacze opozycji przekonali się, że skuteczne dotarcie do społeczeństwa z niezależną informacją jest możliwe.

### Telewizja Solidarność

Wjeście na wizję reżimowej telewizji było zadaniem dużo bardziej skomplikowanym. Oprócz sprzętu – trudno wówczas dostępnego komputera Sinclair ZX Spectrum – niezbędna była fachowa wiedza techniczna. Jednym i drugim dysponowali opozycjoniści z Torunia.



Fot. AIPN



Fot. AIPN

Pomysłodawcą i inicjatorem przedsięwzięcia był Jan Hanasz – astronom zaangażowany w działalność podziemnej Solidarności. W latach 1982–1983 stworzył w Toruniu tzw. radio balonowe, nadające z urządzenia podwieszono do balonu. Pomysł wyświetlenia obrazów z hasłami antywyborczymi na tle programu telewizyjnego należał do radioastronomów Zygmunta Turły i Eugeniusza Pazderskiego, pracujących razem z Hanaszem w toruńskim Centrum Astronomicznym im. Mikołaja Kopernika (CAMK) Polskiej Akademii Nauk. To właśnie oni zajęli się przygotowaniem odpowiednich urządzeń: telewizora z anteną odbiorczą, komputera Sinclair ZX Spectrum z zasilaczem i magnetofonem kasetowym, cyfrowego urządzenia sterującego, nadajnika o mocy 7 W z zasilaczem oraz anteny nadawczej o długości ok. 3 m. Nie będziemy tu wchodzić w szczegóły techniczne, ale zasadę działania można krótko opisać tak: program z opozycyjnymi hasłami – nagrany na kasie magnetofonowej – komputer koordynował z obrazem telewizyjnym, a nadajnik transmitował go w eter. W sprzyjających warunkach sygnał obejmował zasięgiem obszar o promieniu kilku kilometrów. W ramach testów w okresie wakacyjnym 1985 roku przeprowadzono serię próbnych emisji niewielkich figur geometrycz-

nych, które były widoczne na ekranach telewizorów. Zaufane osoby oglądały telewizję w umówionym czasie i informowały Jana Hanasza, czy widziały określone znaki na ekranach.

### Bonus do Borewicza

Jesienią 1985 roku testy uznano za pomysłne i przeprowadzono dwie emisje właściwe. Pierwsza – wspomniana na wstępie – miała miejsce 14 września ok. 21.15. Sygnał nadano w centrum Torunia z wieżowca przy ul. Głowańskiego – z mieszkania na dziesiątym piętrze udostęp-

nionego przez Elżbietę Mossakowską, pracowniczkę Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Akcję przeprowadzili Jan Hanasz i Grzegorz Drozdowski, matematyk z UMK. Druga emisja tych samych napisów nastąpiła 26 września 1985 roku ok. 20.25. Tym razem nadawano z wieżowca przy ul. Łyskowskiego – z mieszkania na jedenastym piętrze udostępnionego przez Piotra Łukaszewskiego, elektronika z Toruńskich Zakładów Chemicznych „Elana”. Był on zaufanym człowiekiem, zaangażowanym w działania podziemnej Solidarności, który kilka lat wcześniej udostępniał już własne mieszkanie ekipie radiowej

Stanisława Śmigła. W akcji wzięły udział trzy osoby: Jan Hanasz,

Zygmunt Turło i Leszek Zaleski – również z wykształcenia astronom, wówczas rencista pracujący w Toruńskim Klubie Wysokogórskim. Tak się złożyło, że druga emisja odbyła się w trakcie wyświetlania serialu o przygodach milicjanta *07 zgłoś się*, a swoim zasięgiem objęła największe toruńskie osiedle mieszkaniowe – Rubinkowo – liczące wówczas ok. 30 tys. mieszkańców. Co najzabawniejsze, w raportach milicyjnych podkreślano, że zakłócenie popularnego serialu



Fot. AIPN



Fot. AIPN

wywołało rzekomo szczególne wzburzenie społeczne! Niestety, radość z sukcesu ekipy Jana Hanasza trwała zaledwie kilka minut.

### Koledzy Borewicza na tropie

Toruńska Służba Bezpieczeństwa rozpracowywała nadawców już od lata 1985 roku – w ramach sprawy operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Spektrum”. Prawdopodobnie funkcjonariusze pierwsze informacje uzyskały przy okazji inwigilacji środowiska podziemnych kolporterów. Pod koniec sierpnia 1985 roku wiedzano już, na czym planowana akcja ma polegać, oraz celnie typowano jej wykonawców wśród toruńskich radioastronomów zatrudnionych w PAN i UMK. Oprócz agencji wykorzystywano podsłuch wybranych pomieszczeń oraz rozmów telefonicznych. Po pierwszej emisji SB nasiliła działania operacyjne. Jan Hanasz został objęty ciągłą obserwacją. Esbecy dowiedzieli się, z którego wieczora zaplanowano drugą emisję, co pozwoliło na ulokowanie w jego pobliżu grupy interwencyjnej. Dzięki temu trzech astronomów zaangażowanych w przedsięwzięcie zostało aresztowanych na gorącym uczynku w mieszkaniu, wkrótce po zakończonej emisji, kiedy pakowali jeszcze sprzęt. Zatrzymano również właściciela mieszkania, który wrócił z żoną późnym wieczorem.

Po czterech miesiącach ruszył proces sądowy, w lokalnym środowisku

opozycyjnym nazwany procesem astronomów. Był na tyle spektakularny, że informacje o nim pojawiły się nie tylko w mediach reżimowych i podziemnej prasie solidarnościowej, lecz także za granicą, np. w amerykańskim magazynie „Time”. Proces nagłośniono także podczas warszawskiego Kongresu Intelktualistów. Wydaje się, że władze PRL były zainteresowane szybkim zakończeniem sprawy. W styczniu 1986 roku zapadły wyroki – dość łagodne w porównaniu z innymi procesami tego typu. Trzej oskarżeni zostali skazani na 1,5 roku więzienia w zawieszeniu, a Piotr Łukaszewski – na rok pozbawienia wolności w zawieszeniu.

### Najlepsi hakerzy świata

Toruńskim wyczynem zainteresowano się w Trójmieście – bastionie ówczesnej opozycji. W 1987 roku Jan Hanasz nawiązał kontakt z Janem Kwiekim – fizykiem z Uniwersytetu Gdańskiego. W rezultacie Eugeniusz Pazderski i Zygmunt Turło rozpoczęli pracę nad jeszcze bardziej zaawansowanymi nadajnikami, mogącymi nadawać na zmiennych częstotliwościach w różnych lokalizacjach w kraju. Planowano nawet przygotować produkcję kilkunastu urządzeń dla wybranych podziemnych grup emisyjnych. Niestety, esbekom udało się rozbić przedsięwzięcie na wczesnym etapie przygotowań.

Buck Bloombecker, amerykański prawnik i specjalista od przestępczości komputerowej, w wydanej w 1990 roku książce *Spectacular Computer Crimes* zaliczył akcję toruńskich astronomów do najbardziej spektakularnych aktów hakerskich świata. Historię tę w interesujący sposób opowiada również późniejszy o dwie dekady film dokumentalny *Hakerzy wolności* w reżyserii Marcina Gładycha. Na portalu Youtube można – po wpisaniu hasła „Solidarity tv 1985” – obejrzeć prezentację poświęconą temu wydarzeniu. ❀

dr Przemysław Wójtowicz – historyk,  
pracownik Delegatury IPN w Bydgoszcy



Fot. AIPN

**Kazimierz Świtoń** – związkowiec, radiotelemechanik, działacz opozycji, uczestnik głódówek m.in. w kościele św. Marcina w Warszawie w 1977 roku oraz w Bazylice Matki Boskiej Piekarskiej w Piekarach Śląskich w 1979 roku, założyciel w 1978 roku pierwszego w Polsce komitetu Wolnych Związków Zawodowych w Katowicach, więziony przez komunistyczne władze, uczestnik Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, działacz Solidarności, internowany w stanie wojennym, poseł na sejm w latach 1991–1993. W 1990 roku odznaczony przez prezydenta RP na uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Zmarł 4 grudnia 2014 roku w wieku 83 lat.

# Obrona Świtononia

Jarosław Neja

Skazanie Kazimierza Świtononia na rok więzienia i 12 tys. zł grzywny za pobicie i obrazę milicjantów ówczesna opozycja demokratyczna potraktowała jako kolejną represję polityczną. Jeszcze zanim rozpoczął się proces, podjęto szeroko zakrojoną akcję w obronie tego działacza Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, założyciela pierwszego w PRL Komitetu Pracowniczego Wolnych Związków Zawodowych.

**B**yło sobotnie popołudnie 14 października 1978 roku. Kazimierz Świtoń został zatrzymany nieopodal katowickiego kościoła Świętych Piotra i Pawła, po tym jak wyszedł z żoną ze spotkania z bp. Herbertem Bednorzem, ordynariuszem diecezji katowickiej. Zatrzymanie dokonano w związku z uzyskaną wcześniej przez Służbę Bezpieczeństwa informacją o przygotowywanej przez Świtononia na następny dzień akcji kolportażowej. 16 października kolegium

ds. wykroczeń w trybie przyspieszonym orzekło wobec lidera śląskich WZZ karę dwóch miesięcy aresztu (z postanowieniem natychmiastowej wykonalności) – za to, że nie okazał milicjantom dokumentu tożsamości oraz „głośnym krzykiem zakłócił spokój i porządek publiczny”. Świtoń nie przyznał się do postawionych mu zarzutów, a z jego wyjaśnień wynikało, że kiedy wychodził z żoną z terenu kościoła, czterech osobników w cywilu rzuciło się na niego, a następnie próbowało wepchnąć go do samochodu. Od

orzeczenia kolegium odwołał się więc do Sądu Rejonowego w Katowicach.

Sąd dał wiarę zeznaniom funkcjonariuszy. Kara orzeczona przez kolegium – dwa miesiące aresztu – została w ten sposób zatwierdzona 4 listopada. Zanim doszło do rozprawy odwoławczej, Prokuratura Rejonowa w Katowicach przedstawiła Świtonioniowi zarzut o czynną napaść na czterech milicjantów, znieważenie ich, uszkodzenie ich ciał oraz samochodu, którym 14 października transportowano go do komendy miejskiej Milicji



Obywatelskiej. Jednocześnie wydała postanowienie o trzymiesięcznym areszcie tymczasowym.

Aresztowanie i ewentualne skazanie Świtonia okresowo wyłączały go z prowadzonej dotychczas działalności opozycyjnej, co oczywiście było władzom na rękę. Uwięzienie działacza spowodowało jednak, że zarówno o nim samym, jak i założonym przez niego katowickim komitecie WZZ zrobiło się głośno w kraju i za granicą. Był to przede wszystkim rezultat wspomnianej akcji prowadzonej w jego obronie przez środowiska opozycyjne.

### Solidarność bez granic

Już od drugiej połowy października 1978 roku apele i oświadczenia w tej sprawie wydawały przede wszystkim środowiska ROPCiO, Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR” (sam komitet wydał osiem takich dokumentów), redakcje niezależnych pism. „Ruch Związkowy” np. informował na swoich łamach o kilkudziesięciogodzinnym proteście głodowym przeprowadzonym przez kilkanaście osób związanych z ROPCiO przeciwko uwięzieniu Świtonia oraz wcześniejszemu aresztowaniu jego współpracownika, także działacza śląskich WZZ, Romana Kściuczka. Mężem zaufania protestujący ustanowili jednego z liderów ROPCiO – Andrzeja Czumę. Do głodówki tej w celi katowickiego aresztu miał się

również przyłączyć Świton. Pismo do prokuratora generalnego PRL w wnioskiem o spowodowanie rewizji nadzwyczajnej w sprawie Świtonia oraz „o wzmoczenie nadzoru prokuratorskiego nad działalnością organów MO i SB na terenie województwa katowickiego” wystosowała Rada Zespołów Inicjatywy Obywatelskiej uczestników ROPCiO. List do przewodniczącego Rady Państwa, prof. Henryka Jabłońskiego, w sprawie prześladowania śląskich wolnozwiązkowców wysłało z kolei krakowskie środowisko ROPCiO związane z Leszkiem Moczulskim. Z pismem do prof. Jabłońskiego wystąpiło także 11 stycznia 1979 roku pięciu intelektualistów: Bohdan Cywiński, o. Aleksander Hauke-Ligowski OP, Edward Lipiński, Tadeusz Mazowiecki i Adam Szczypiorski. Żądano w nim uwolnienia twórcy śląskich WZZ. Pod listem i pod podobnymi dokumentami zebrano ok. 2,7 tys. podpisów. Ścisły związek z dokumentem wystosowanym przez intelektualistów miał list uczestnika ROPCiO, ks. Bohdana Pa-

piernika z Łodzi, do Przewodniczącego Rady Państwa z 1 lutego 1979 roku, zawierający stanowczą prośbę o ustosunkowanie się do listu pięciu. „Jest rzeczą oburzającą i ubliżającą – tak Panu Profesorowi, który reprezentuje Rząd PRL, jak i każdemu obywatelowi Polski – aby w cywilizowanym społeczeństwie zdarzały się tak karygodne wybryki ludzi reprezentujących instytucje mające czuwać nad bezpieczeństwem i ładem publicznym” – pisał ks. Papiernik. W styczniu 1979 roku rozpoczął się kolportaż opracowanej przez KSS „KOR” *Białej Księgi Kazimierza Świtonia*, będącej rodzajem kalendarium stosowanych wobec niego i jego rodziny prześladowań.

Zamierzony skutek przyniosły apele skierowane do różnorodnych środowisk i instytucji na Zachodzie. Odzew ze strony Amnesty International, central związkowych oraz innych podmiotów był znaczny. Generał Adam Krzysztoporski, dyrektor Departamentu III Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, stwierdził na jednej z partyjnych narad: „były protesty i różnych związków zawodowych, i grup intelektualistów, i dziennikarzy, ambasad, różnych, w każdym bądź razie tych petycji [i] nacisków było bardzo wiele [...] z zagranicy rzeczywistość w sprawie Świtonia występowało wiele tysięcy osób”. Oprócz Amnesty International u władz polskich interweniowały francuskie związki zawodowe, a inne centrale związkowe z zachodniej Europy zapowiedziały wszczęcie kampanii w razie dalszego więzienia Świtonia. Oświadczenie w jego sprawie wydał m.in. czeskosłowacki Komitet Obrony niesprawiedliwie prześladowanych przy Karcie 77 (*Výbor na obranu nespravedlivě stíhaných*). Do KSS „KOR” wpłynął także list od Międzynarodowego Centrum Szwedzkiego Ruchu Robotniczego, podpisany przez przewodniczącego Szwedzkiej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej, byłego (i przyszłego) premiera Szwecji Olofa Palmego. 19 lutego 1979 roku przed konsulatem generalnym PRL w Nowym Jorku odbyła się demonstracja zwołana przez nowojorski oddział Kongresu Polonii Amerykańskiej.

► Zdjęcie operacyjne SB: Kazimierz Świton i Roman Kściuczek



Fot. AIPN

## „Operacja Kazimierz Świtoń”

Szczególnie intensywne działania w ramach obrony Świtonia prowadzono w miejscowościach ówczesnego województwa katowickiego. Akcją tę, w charakterystyczny dla siebie sposób, tak tłumaczył po latach Jacek Kuroń, jeden z czołowych działaczy KSS „KOR”: „My wyobrażamy sobie, że należy wykonać »operację Kazimierz Świtoń«, zmierzającą do tego, żeby władze doszły do przekonania, iż trzymanie go w więzieniu im się nie opłaca: trzymali go w więzieniu, żeby mieć spokój na Śląsku, ale Świtoń izolowany też niewiele mógł im zrobić [...]. Szarpnęliśmy się ostro i rozpoczęła się taka operacja, że co niedziela jechała ekipa albo z Krakowa, albo z Wrocławia, albo z Warszawy (co trzecia niedziela na każdy ośrodek) plakatować i rozrzucać ulotki – pod kościołami czy po kłatkach. [...] Chcieliśmy, żeby władze dostały takiego gówna na głowie, żeby bardzo pożałowały, że się w coś takiego zechciały z nami bawić”. Podobnie podejmowane działania wspominał inny korowiec – Henryk Wujec: „Kiedy była akcja w obronie Kazimierza Świtonia, kolportaż odbywał się masowo na kłatkach schodowych na Śląsku. Chodziło o to, żeby »przestraszyć« śląską SB, żeby nie prześladowali Świtonia (on nie miał tam swojego zaplecza). Jeździły więc ekipy »desantowców« na Śląsk (część z nich była pobita) i rozkładały w domach ulotki [...] najważniejsze było informowanie o tym, że coś się dzieje, że nie można było nikogo zamknąć w areszcie bez pewnego rozgłosu. Świtonia próbowali na Śląsku zniszczyć, był pod bardzo silną presją, ale dzięki naszym działaniom udało się to nagłośnić. To była najlepsza forma obrony [...]. Represje w pewnym sensie były motorem, który przysparzał nam zwolenników, bo powodowały konieczność obrony, wzmocnienia wysiłków. W ten sposób docierało się do większego grona ludzi. Działanie polegało głównie na tym, żeby jak najszerzej informować”. Pierwszą ze wspomnianych przez Kuronia i Wujca akcji kolportażowych KSS „KOR” przeprowadzono już 5 listopada 1978 roku, czyli dzień po rozprawie odwoławczej.



► Zdjęcia sygnalityczne aresztowanego Kazimierza Świtonia

Wzięła w niej udział młodzież z Warszawy i Krakowa. Kolportaż zorganizowano wówczas w Katowicach, Gliwicach, Sosnowcu i Dąbrowie Górniczej – na terenie kościołów, dworców kolejowych oraz na kłatkach schodowych w centrum tych miast. Jego formy były zróżnicowane. Ulotki wręczano bezpośrednio osobom wychodzącym ze świątyn po nabożeństwach, wykładano na kościelnych ławkach, na parapetach kłatek schodowych budynków lub pod drzwiami mieszkań. Reakcja Służby Bezpieczeństwa i milicji była natychmiastowa. Według danych katowickiej Komendy Wojewódzkiej MO, 5 listopada w wymienionych ośrodkach przejęto łącznie 1034 egzemplarze ulotek, 257 egzemplarzy „Robotnika” oraz siedem sztuk „Komunikatów KSS KOR”. Zatrzymano trzech kolporterów z Krakowa, członków tamtejszego Studentckiego Komitetu Solidarności, oraz dwóch współpracowników KSS „KOR” z Warszawy. O skali „inauguracji” akcji kolportażowej w obronie Świtonia może świadczyć to, że tego samego dnia we Wrocławiu SB zatrzymała trzy osoby przenoszące 2 tys. ulotek z przeznaczeniem do rozkolportowania na terenie miejscowości województwa katowickiego, bezpieka krakowska zaś schwytała kolejnych dziewięć osób, które zamierzały wyjechać do Katowic. Znalaziono przy nich około 300 sztuk ulotek. Akcje kolportażowe w województwie katowickim były jednak kontynuowane w kolejnych miesiącach. Podczas jednej z nich w lutym 1979 roku w Katowicach przybyły z Warszawy Roland Kruk – działacz SKS i współpracownik KSS „KOR” – wyko-

nał, przy użyciu lakieru samochodowego w aerozolu, pięć napisów na murach budynków o treści „Uwolnić Świtonia – KSS »KOR«”. Za swój czyn musiał nie tylko zapłacić 1000 zł grzywny, lecz także przesiedzieć 48 godzin w areszcie katowickiej Komendy Miejskiej MO.

Na 2 marca 1979 roku wyznaczono rozprawę główną przed Sądem Rejonowym w Katowicach, podczas której miał zapaść długo oczekiwany wyrok. Władze zdawały sobie sprawę z tego, że środowiska, które przez kilka miesięcy działały na rzecz uwolnienia Świtonia, tym bardziej nie pozostawią go samemu sobie w tym dniu. Świadczyły o tym kolejne rozpowszechniane przez nie dokumenty, które utwierdzały komunistów w przekonaniu, że dla opozycji uwolnienie założyciela WZZ było kwestią prestiżową. Sprawa Świtonia stawała się próbą sił. Warto w tym miejscu wspomnieć, że Jacek Kuroń i Adam Michnik wraz z kilkoma innymi działaczami KSS „KOR” brali nawet pod uwagę podjęcie tygodniowej głodówki, gdyby Świtoń otrzymał wyrok więzienia bez zawieszenia.

## Kawa w miskach

SB spodziewała się demonstracji, a nawet zamieszek ulicznych. Planowano więc, że wybrani opozycjoniści przybywający z innych ośrodków, będą na czas trwania rozprawy kierowani do aresztu Komendy Miejskiej MO lub miejscowych komisariatów. 2 i 3 marca w katowickich hotelach miał obowiązywać zakaz meldowania gości z Warszawy, Łodzi, Krakowa, Wrocławia, Gdańska, Szczecina, Radomia i Lublina. Planowano także



wzmocnienie patroli milicyjnych wokół sądu, na dworcach oraz drogach prowadzących do miasta z kierunku Warszawy, Krakowa i Wrocławia. Przybywające stamtąd osoby miały być legitymowane, a ich auta i bagaż poddawane kontroli. W razie demonstracji ulicznej brano pod uwagę możliwość urządzenia blokady poszczególnych ulic prowadzących do „rejonów zagrożenia”, a także ewentualne użycie do rozpędzenia demonstracji Zmоторyzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej (ZOMO). Atmosferę panującą w Katowicach w dniu rozprawy doskonale oddawał tytuł artykułu zamieszczonego w marcowo-kwietniowej ropciowskiej „Opinii”: „*Stan wyjątkowy*” w Katowicach. „Spostrzegli to od razu wytrawni przestępcy – czytamy w tekście – których można było wtedy spotkać w areszcie komendy miejskiej MO w Katowicach. Zauważyli oni, że zwiększono ilość patroli milicyjnych na ulicach miasta, że z większą pieczołowitością przetrząsano dworce, bary i spelunki. Zwracano przy tym uwagę na osoby niezameldowane, niepracujące i bezdomne. Kolegia do spraw wykroczeń wyda[wa]ły non stop w trybie przyspieszonym orzeczenia skazujące na areszt, ewent[ualnie] z zamianą na grzywnę. To wszystko przy okazji, albowiem głównym celem MO i SB było niedopuszczenie do manifestacji poparcia społecznego dla uczestnika Ruchu Obrony i założyciela pierwszego komitetu Wolnych Związków Zawodowych – K. Świtonia”.

Mimo wzmoczonej czujności milicji i SB udało się rozplakatować na Uniwersytecie Śląskim egzemplarze jednego z apeli oraz rozdać studentom informacje o miejscu rozprawy. Podczas akcji kolportażowej na ulicach miasta, został jednak zatrzymany uczestnik ROPCiO Adam Wojciechowski. Na 48 godzin zatrzymano także część z kilkudziesięciu innych opozycjonistów, którzy przybyli na rozprawę z całego kraju. W KM MO przy ul. Kilińskiego pomieszczenia aresztu miały być tak przepelnione, że, jak informowała „Opinia”, w celach przetrzymywano 14–16 aresztantów, „brakowało kubków do kawy, tak że napój podawano w miskach”. Doprowadzeni na komendę

działacze niezależni na własne oczy mogli się przekonać, jakie środki zostały podjęte, by przeciwdziałać solidarnościowej akcji opozycji. „W dniu procesu, w komendzie miejskiej MO w Katowicach działał w permanencji sztab akcji prewencyjnej – donosiła »Opinia« – a na korytarzach komendy oczekiwali w pogotowiu uczniowie szkoły milicyjnej z Ligoty. Panowała atmosfera napięcia i zdenerwowania”.

Zatrzymania prewencyjne odbywały się też poza Katowicami. I tak, w Warszawie dotknęły one m.in. członków i współpracowników KSS „KOR”: Barbarę Sadowską, Jerzego Ficowskiego, Antoniego Macierewicza i Macieja Rayzachera. Zatrzymano także Andrzeja Czumę, w którego mieszkaniu, podobnie jak u Macierewicza, przeprowadzono wcześniej wielogodzinną rewizję.

Tych, którzy dotarli do Katowic, czekało jeszcze przedarcie się do gmachu sądu przez liczne patrole milicji, które legitymowały poszczególne osoby. Mimo to w rozprawie oprócz rodziny Świtonia oraz jego obrońców, mecenasów Władysława Siła-Nowickiego i Jana Olszewskiego, wzięli udział m.in. Cywiński i Mazowiecki – sygnatariusze listu pięciu do Rady Państwa, a także redaktorzy i współpracownicy „Robotnika”, „Pulsu”, „Spotkań”, „Sygnału” i „Opinii” oraz katowiccy i trójmiejscy działacze WZZ. Nie zabrakło też przedstawicieli krakowskich i wrocławskich Studenckich Komitetów Solidarności, warszawskich, wrocławskich i lubelskich uczestników ROPCiO, reprezentantów KSS „KOR”. Do sądu przybył też z Krakowa konsul USA Cornelius C. Walsh.

### Rok też wyrok

W trakcie rozprawy obrońcy Świtonia wniesli o jego uniewinnienie. Z wyjaśnień oskarżonego, zeznań jego żony i kilku innych świadków wynikało, że 14 października 1978 roku nikogo nie bił i nie znieważał, bronił się jedynie przed napastnikami. Z kolei wspomniani czterej funkcjonariusze (z których notabene trzech służyło w SB, ale stając przed sądem, podawali się za milicjantów) zeznali, że Świ-toni uderzał ich i kopał, był agresywny

zarówno na ulicy, jak w aucie wiozącym go do komendy. Co ciekawe, dwaj z nich na posiedzeniu kolegium ds. wykroczeń, a potem w czasie rozprawy odwoławczej przed sądem rejonowym 4 listopada 1978 roku, nie wspominali jednak o ich pobiciu przez Świtonia i zdemolowaniu przez niego służbowego samochodu. Jednak mimo takich sprzeczności, sąd uznał Świtonia za winnego czynnej napaści i znieważenia funkcjonariuszy MO i uszkodzenia służbowego samochodu. Wyrok brzmiał: rok więzienia z zaliczeniem okresu aresztu od 14 października 1978 roku, 12 tys. zł grzywny i 4 tys. zł kosztów sądowych. Po jego ogłoszeniu zebrana na sali sądowej publiczność odśpiewała hymn, a następnie skandowała „Niech żyje Kazik”.

Następnego dnia Świ-toni znalazł się jednak na wolności. Wyrok nie był prawomocny i na wniosek obrońców uchylono areszt tymczasowy. „Okazuje się – podsumowywała »Opinia« – że koszty polityczne i materialne więzienia i skazywania w procesach pokazowych ludzi odważnych i bezkompromisowych są tak wielkie, że represje przestają się władzom opłacać. Uwolnienie Świtonia wykazało dobitnie, że połączone działanie demokratycznej opozycji w Polsce stanowi poważną siłę, mogącą zagwarantować poparcie dla represjonowanych, zwłaszcza kiedy towarzyszy temu poparcie ośrodków polonijnych za granicą i wszystkich ludzi dobrej woli”. Świ-toni złożył podziękowania wszystkim osobom i środowiskom krajowym i zagranicznym zaangażowanym w jego obronę.

Sprawa ponownie trafiła na wokandę ponad dwa i pół roku później – już po strajkach sierpniowych i powstaniu NSZZ „Solidarność”. 2 grudnia 1981 roku Sąd Wojewódzki w Katowicach umorzył postępowanie przeciwko Świ-toniowi wobec bezpodstawności jego zatrzymania 14 października 1978 roku i „niewielkiego stopnia społecznego niebezpieczeństwa przypisanych mu czynów”. Ostatecznie dopiero 29 listopada 2000 roku Sąd Okręgowy w Katowicach uniewinnił założyciela WZZ. ❀

dr Jarosław Neja – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Katowicach

# Ocalić miasto

Jerzy Eisler

Są w tym filmie źli Niemcy i Armia Krajowa współdziałająca z komunistami. W warunkach, w których powstawał obraz, monopol na rację wciąż mieli komuniści. Nie była to już jednak racja bezdyskusyjna i bezrefleksyjna.

**S**iedemdziesiąt lat temu, w piątek 12 stycznia 1945 roku, nad Wisłą rozpoczęła się wielka zimowa ofensywa Armii Czerwonej. Dzisiaj mało kto pamięta, że początkowo operacja ta była nazywana berlińska, gdyż celem Sowietów była stolica Trzeciej Rzeszy. Jak wiadomo, z różnych powodów celu tego nie udało im się ▶



wówczas osiągnąć. Niemniej w trakcie tej ofensywy wyparli Niemców z pozostałej części Polski w przedwojennych granicach oraz zajęli część Niemiec, która potem w zdecydowanej większości znalazła się w granicach Polski Ludowej.

W czasie zimowej ofensywy 17 stycznia – wraz z jednostkami Wojska Polskiego – żołnierze Armii Czerwonej wkroczyli do zrujnowanej lewobrzeżnej Warszawy. Dwa dni później wojska dowodzonego przez marsz. Iwana Koniewa 1. Frontu Ukraińskiego zdobyły Kraków. Właśnie o tym wydarzeniu opowiada – utrzymany w paradokumentalnej konwencji – barwny film *Ocalić miasto* w reżyserii Jana Łomnickiego.

### Film przed filmem

Nie umiem odpowiedzieć na pytanie, czy przystępując do pracy nad nim, reżyser miał już w zaawansowanych planach swoje kolejne dzieło: *Akcję pod Arsenalem* i chciał obrazem *Ocalić miasto* na tyle umocnić swoją polityczną i artystyczną pozycję, aby móc potem bez problemów nakręcić jakże ważny i potrzebny, a w PRL niełatwy przecież do zrealizowania, film o bohaterskich patriotach z Szarych Szeregów. Co prawda, w „okresie gierkowskim” nikt już publicznie nie nazywał akowców „zapłutymi karłami reakcji” ani tym bardziej nie wtrącał ich do więzień, lecz była jeszcze dość długa droga do tego, aby publicznie afirmować ich dokonania. Pragnąc zaś zrealizować *Akcję pod Arsenalem*, Jan Łomnicki musiał zawczasu pozyskać przychyłność „czynników oficjalnych”. Temu celowi nic zaś nie mogło służyć lepiej niż właśnie nakręcenie filmu przypominającego polsko-radzieckie braterstwo broni z końcowych lat II wojny światowej.

Jeżeli istotnie takie właśnie było rozumowanie Jana Łomnickiego, to trzeba przyznać, że w pełni wykonał swój plan. Udało mu się bowiem zrealizować zarówno niezapomnianą *Akcję pod Arsenalem*, jak i wcześniej film *Ocalić miasto*, który miał premierę 11 października 1976 roku. O ile przy tym *Akcja...* była ważna przede wszystkim dla ludzi utożsamiających się z tradycją Armii Krajowej i Polskiego Państwa Podziemnego, o tyle *Ocalić miasto* miało szczególne znaczenie dla komunistycznych decydentów.

### „Tygrysy” z radzieckiej fabryki

Obraz ten został zresztą zrealizowany z dużym rozmachem inscenizacyjnym, we współpracy z Mosfilmem i Defą. Dlatego role czerwonooarmistów zagrali głównie aktorzy radzieccy, Niemców zaś enerdownscy, przy czym poszczególne kwestie wygłaszano odpowiednio w języku rosyjskim lub niemieckim i opatrywano polskimi napisami. Łomnicki, który był także autorem scenariusza opartego na opowiadaniu Andrzeja Szczypiorskiego, kompletując obsadę, zdecydował się głównie na aktorów mniej znanych, chociaż główną rolę kobiecą powierzył Teresie Budzisz-Krzyżanowskiej. Obok niej wystąpili m.in. Henryk Bista w roli kapitana „Szycha”

z AK oraz Jerzy Duszyński, który udanie wcielił się w postać generalnego gubernatora Hansa Franka. Poza tym jedną z głównych ról, postać kpt. Siemionowa, zagrał Aleksander Bielawski, aktor radziecki bodaj najczęściej obsadzany w dziełach polskich twórców.

Pomoc strony radzieckiej przy realizacji filmu *Ocalić miasto* nie ograniczyła się do obsady aktorskiej. Mosfilm udzielił Polakom wsparcia także przy kręceniu scen batalistycznych. Przede wszystkim Sowieci użyczyli sprzętu wojskowego z epoki. W zdjęciach uczestniczyły m.in. trzy radzieckie samoloty bojowe (wykorzystywane kilkakrotnie) oraz „oryginalny” niemiecki „Tygrys”. Słowo oryginalny świadomie napisałem w cudzysłowie, gdyż – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – był to jeden z kilkunastu czołgów wyprodukowanych co prawda na podstawie niemieckich planów z lat wojny, ale w końcu lat sześćdziesiątych w jednym z radzieckich zakładów zbrojeniowych – na potrzeby monumentalnego, pięcioczęściowego filmu Jurija Ozierowa *Wyzwolenie*.





### Niecodzienny sojusz

Równie starannie zadbano o oprawę scenograficzną, przy czym obficie korzystano z uroków pięknie filmowanego Krakowa, którego zabytki, zwłaszcza Wawel, gdzie swą siedzibę miał Hans Frank, odgrywały w tym obrazie niepoślednią rolę. Film *Ocalić miasto* opowiada bowiem o tym, jak to w styczniu marszałek Koniew zdecydował się na okrażenie Krakowa od zachodu i zdobycie go przy mocno ograniczonym użyciu lotnictwa bombowego i ciężkiej artylerii (najpewniej w rzeczywistości decyzję tę podjął osobiście Józef Stalin), aby w ten sposób ocalić przed zniszczeniem „narodową świątynię Polaków”. W tym zakresie radzieccy dowódcy mieli już zresztą za sobą doświadczenia z dwóch innych ocalonych od zniszczenia zabytkowych polskich miast: Zamościa i Sandomierza. Wiedzieli więc, że zdobycie właśnie w taki sposób tak dużego miasta jak Kraków stawało się jeszcze trudniejsze, ale w tym wypadku chodziło przede wszystkim o ocalenie bezcennych zabytków znajdujących się w samym centrum historycznej stolicy Polski.

Było to zresztą zadanie nader trudne, zważywszy na to, że Niemcy mieli kilka miesięcy na przygotowanie miasta do obrony przed Armią Czerwoną, której już od dłuższego czasu szczerze się obawiali. W trakcie przyjęcia noworocznego na Wawelu Hans Frank ostrzegął: *Barbari ante portas*. Jako swoisty plan awaryjny – aby uniemożliwić przechwycenie ich przez Sowieców – Niemcy rozpoczęły akcję zaminowywania najwspanialszych zabytków, a zarazem niejednokrotnie po prostu najważniejszych ze strategicznego punktu widzenia obiektów w Krakowie. Tak zostało to pokazane w filmie, choć zdaniem wielu badaczy zaminowanie Krakowa nie wyszło poza etap planu. Jednocześnie trwały przygotowania do ewakuacji władz okupacyjnych i wywozu do Rzeszy bezcennych dzieł sztuki, w tym portretu *Damy z gronostajem* pędzla Leonarda da Vinci. Akcja ta odbywała się naturalnie w jak największej tajemnicy, ale na szczęście nie udało się hitlerowcom utrzymać jej w sekrecie.

Film ukazuje, jak niezależnie od siebie stopniowo wiedzę o tych wszelkich niemieckich posunięciach pozyskują zarówno przedstawiciele podziemnych struktur AK, jak i współpracujący z Rosjanami komuniści z Polskiej Partii Robotniczej i Armii Ludowej. Obie strony – przy wszystkich dzielących je różnicach – w celu uratowania Krakowa decydują się połączyć wysiłki, żeby przeszkodzić Niemcom w realizacji ich zbrodniczych planów. W tej zupełnie niecodziennej sytuacji uznają, że tylko współpracując ze sobą, mogą ocalić miasto. Co więcej, w imię wyższego celu, AK decyduje się nawet na doraźne współdziałanie z Armią Czerwoną, jak gdyby akowcy nie pamiętali o tragicznym przebiegu akcji „Burza” na Kresach Wschodnich i losie swoich towarzyszy broni w Wilnie, Lwowie i innych miastach na tamtym terenie. W Krakowie żołnierze AK udzielają schronienia radzieckim telegrafistom, utrzymującym łączność z własnym dowództwem. ▶

Dochodzi w końcu także do rozmów polsko-polskich. Okazuje się, że akowcy zdobyli plany zaminowania Krakowa, ale nie mają dojść do miejskich kanalarzy, którzy mogliby im pomóc w dotarciu do ukrytych ładunków. Z kolei w stałym kontakcie z kanalarzami są alowcy, którzy realizację tej części zadania biorą na siebie. Celem głównym polskich konspiratorów jest bowiem niedopuszczenie do odpalenia niemieckich ładunków wybuchowych i w konsekwencji do wysadzenia znacznej części miasta. W odróżnieniu od wielu obrazów wojennych, utrzymanych w nieco westernowej poetyce, w filmie *Ocalić miasto* w kulminacyjnej scenie ginie kilku z najważniejszych bohaterów. Twórcy – w zgodzie z realiami historycznymi – chcieli nam bowiem powiedzieć, że zwycięstwo też ma swoją cenę.

### Przywrócony hejnał

Działaniom polskich konspiratorów towarzyszą odgłosy wystrzałów radzieckiej artylerii. Tymczasem rankiem 19 stycznia czołgi Armii Czerwonej docierają na ulice Krakowa. W następstwie ciężkich walk ulicznych zaśmiezione miasto

► Jerzy Duszyński  
w roli Hansa Franka

zostaje uwolnione od niemieckiej okupacji. Na ulice wylegają tłumy mieszkańców Krakowa. Niektórzy z nich witają Sowieców jak wyzwolicieli, ale część zachowuje wobec nich wyraźny dystans. Jan Łomnicki zasygnalizował to zjawisko, ale skoncentrował się na pokazywaniu gniewu ludu: zrywaniu z gmachów publicznych hitlerowskich flag i emblematów władz okupacyjnych. Do rangi symbolu, swoistej pointy filmu, urasta scena, w której pokazano, jak po raz pierwszy od kilku lat z wieży kościoła Mariackiego płyną dźwięki hejnału.

Należy dodać, że w porównaniu z dziełami z lat sześćdziesiątych, w których wzajemne relacje między AK i AL pokazywano na ogół w sposób jednostronny i schematyczny, w tym wypadku twórcy starali się raczej rozłożyć w sposób bardziej sprawiedliwy. Naturalnie, nie mogło być jeszcze już było ukazywać motywów ich działania oraz prezentować ich poglądów w sposób karykaturalny. Ciągłe jeszcze chyba monopol na rację musieli mieć komuniści, lecz nie była to już – jak we wcześniejszych latach – racja bezdyskusyjna i bezrefleksyjna. Wszystko to razem powodowało, że Polakom na pewno łatwiej było przyjąć taką wizję najnowszej historii. ❁

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL* (2008), *Siedmiu „wspaniałych”. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)

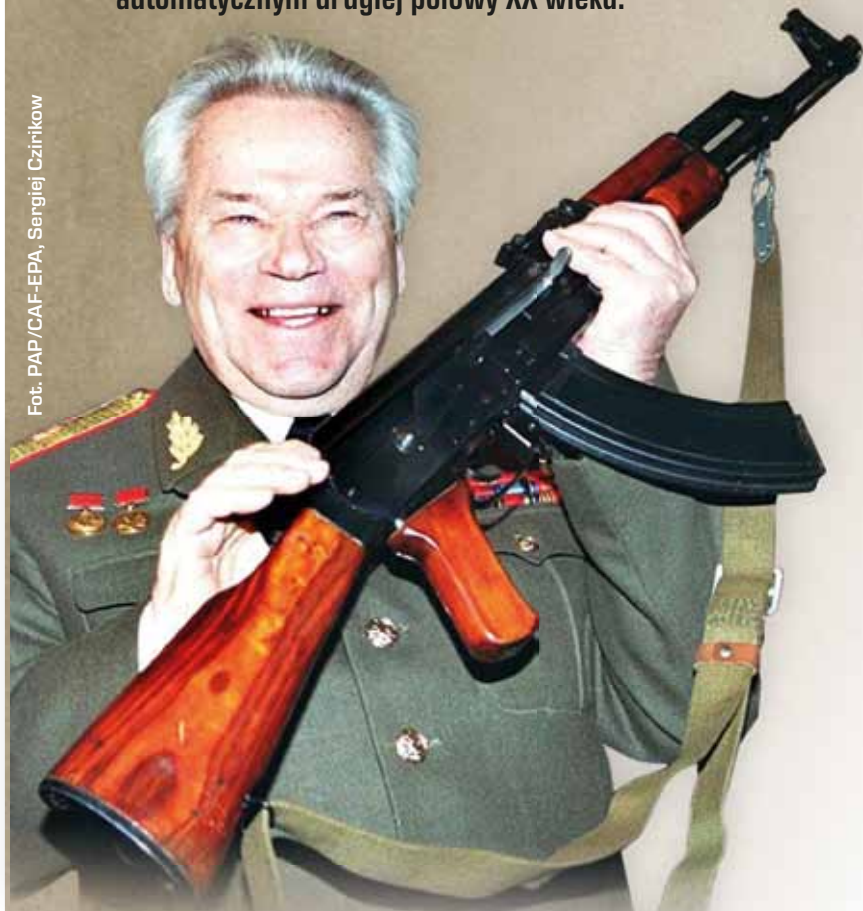


# Automat Kałasznikowa CZ. 1

Michał Mackiewicz

Każdy chyba słyszał o kałasznikowie – najslynniejszym karabinie automatycznym drugiej połowy XX wieku.

Fot. PAP/CAF-EPA, Sergiej Czirikow



► Generał Michaił Kałasznikow, projektant karabinu AK-47, prezentuje swoje dzieło podczas ceremonii zorganizowanej z okazji pięćdziesięciolecia rozpoczęcia jego produkcji i wprowadzenia karabinu do wyposażenia Armii Czerwonej; 1997 rok

**M**ichaił Timofiejewicz Kałasznikow urodził się w 1911 roku w wiosce Kuria w Altaju. Był samoukiem, który od najmłodszych lat interesował się techniką i bronią. Swoją pasję rozwinął w szeregach Armii Czerwonej – służąc w wojskach pancernych, dał się poznać jako zdolny wynalazca i racjonalizator. W 1941 roku – jako czołgista – trafił na front Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Jesienią tego roku w walkach pod Briańskiem został ciężko ranny. Pobyt w przyfrontowym szpitalu okazał się przełomowy w jego w karierze.

## Amerykańska inspiracja

Czas rekonwalescencji Kałasznikow poświęcił bronioznawczemu samokształceniu oraz pracy nad pistoletem ma-

szynowym własnego pomysłu. Projekt doskonalił potem w Kazachstanie i Uzbekistanie. Ostatecznie trafił, dzięki protekcji Anatolija Błagonrawowa z Akademii Artyleryjskiej, do Naukowo-Badawczego Poligonu Broni Strzeleckiej w podmoskiewskim Szurowie. Choć peem okazał się mało perspektywiczny, Kałasznikow po raz pierwszy mógł zapoznać się z różnymi konstrukcjami radzieckimi i zagranicznymi. Jego szczególne zainteresowanie wzbudził amerykański karabin samopowtarzalny skonstruowany przez Johna C. Garanda (U.S. Rifle, Caliber 30-06, M1), a zwłaszcza sposób ryglowania broni przez obrót zamka wokół własnej osi. Obrót wymuszało wycięcie w suwadle współpracujące z występem ryglowym zamka. Ta zasada działania, rzecz jasna twórczo rozwinięta, stała się znakiem firmowym wszystkich późniejszych konstrukcji Kałasznikowa.

Trwały tymczasem poszukiwania następcy karabinu powtarzalnego, który w chwili wynalezienia amunicji elaborowanej prochem bezdymnym (lata osiemdziesiąte XIX wieku) osiągnął szczyt możliwości. Okazało się, że zbudowanie lekkiego karabinu, który umożliwiałby żołnierzowi prowadzenie efektywnego ognia ciągłego i byłby dostosowany do standardowej amunicji, jest zadaniem nad wyraz trudnym. Silny nabój doskonale sprawdzał się w długich karabinach powtarzalnych oraz zespołowej broni maszynowej (o ciężkich lufach i stabilizowanej w trakcie strzelania dzięki podstawom), ale zupełnie nie nadawał ►

## Dane taktyczno-techniczne karabinu AK:

zasada działania	odprowadzanie gazów prochowych
nabój	7,62 x 39 mm
długość	870 mm
długość lufy	415 mm
masa bez magazynka	4,3 kg
prędkość początkowa pocisku	710 m/s
szybkostrzelność teoretyczna	650 strz./min
pojemność magazynka	30 nabojów

się do indywidualnej broni automatycznej, w której powodował nadmierny odrzut, podrzut, nieprawidłowe działanie mechanizmu, a nawet uszkodzenia części. Przełomem okazało się opracowanie w niemieckiej firmie Polte w latach 1938–1941 naboju pośredniego (o mocy mniejszej od karabinowego, ale większej niż w przypadku amunicji pistoletowej) 7,92 x 33 mm Kurz. Niemcy zastosowali go w prototypowych karabinkach maszynowych MKb 42 (Maschinenkarabiner), stanowiących pierwowzór późniejszego słynnego Sturmgewehra (StG 44).

Prototyp wpadł w ręce Rosjan w końcu 1942 roku na froncie wołchowskim. Cenne trofeum pozwoliło im przyspieszyć prace nad własnym nabojem pośrednim i – w wyniku intensywnych testów – w 1943 roku pojawił się nabój 7,62 x 41 mm. Teraz wysiłki zmierzające do opracowania nowego systemu broni strzeleckiej mogły ruszyć z kopyta.

### Pech Sudajewa

W 1943 roku członkowie Głównego Zarządu Artylerii (GAU) wraz z czołowymi konstruktorami broni strzeleckiej rozpoczęli konsultacje w sprawie opracowania nowej rodziny broni dostosowanej do naboju pośredniego i obejmującej ręczny karabin maszynowy oraz karabiny samopowtarzalny i automatyczny (ros. *awtomat*). Koncepcja użycia na polu walki tego ostatniego dopiero się tworzyła, podstawowym indywidualnym uzbrojeniem żołnierza miał być karabin samopowtarzalny, automaty stanowiłyby zaś broń wsparcia piechoty. Kiedy pod koniec 1943 roku ogłoszono pierwszy konkurs na nową broń automatyczną (Kałasznikow nie wziął w nim udziału), jej dopuszczalną masę



i długość określono na 5 kg i 1000 mm. W szranki stanęło wielu konstruktorów z rozmaitych biur projektowych, m.in. doświadczeni i zasłużeni rusznikarze: Diegtiariow, Tokariew, Simonow, Szpagin, Sudajew. Intensywne próby poligonowe prowadzono w 1944 roku w Szurowie. Zwycięzcy nie udało się wyłonić, choć uwagę wzbudził karabin Aleksieja Sudajewa – AS-44, działający na zasadzie odprowadzania gazów i ryglowany przez przekoszenie zamka w płaszczyźnie pionowej (jak w niemieckim StG 44).

Gdy w 1945 roku ogłoszono kolejny konkurs, założenia taktyczno-techniczne na karabin automatyczny uległy zmianie. Doświadczenia ostatniego etapu wojny oraz wnioski wysnute na podstawie analizy użycia

przez Niemców Sturmgewehra, jasno pokazały rosnące znaczenie tej kategorii broni na przyszłym polu walki. Automaty miały zastąpić dotychczas używane pistolety maszynowe i karabiny powtarzalne oraz zapewnić możliwość skutecznego rażenia celów na dystansach do 500 m. Faworytem pozostawał automat Sudajewa, przy czym w pracach nad jego doskonaleniem (obniżeniem masy i poprawą celności) brał udział także Michaił Kałasznikow. Ostatecznie nawet poprawiony wariant nie został zaakceptowany. Być może w końcu wysiłki Sudajewa zakończyłyby się sukce-





► Źródło inspiracji – amerykański karabin samopowtarzalny M1

sem, lecz przedwczesna śmierć chorego na białaczkę konstruktora sprawiła, że wszystko wróciło do punktu wyjścia, a GAU został zmuszony w 1946 roku do rozpisania kolejnego, trzeciego już konkursu na karabin automatyczny. Tym razem w szranki stanął także Michaił Kałasznikow.

### Lepszy od pepeszy

Należało przygotować dwa warianty karabinu – z kolbą stałą drewnianą oraz ze składaną metalową. Długość nie mogła przekroczyć 900 mm. Spośród szesnastu zgłoszonych projektów sześć zostało odrzuconych w fazie wstępnej. Ostatecznie, pod koniec 1946 roku, do dalszych testów zaklasyfikowano sześć prototypów, w tym broń opracowaną w Szurowie przez Michaiła Kałasznikowa wraz z zespołem i oznaczoną nazwą Michtim (powstała z połączenia imienia i odczeta konstruktora).

Nie miejsce tu na opisanie przebiegu zmagania i niezliczonych zmian wprowadzanych w egzemplarzach prototypowych. Dość powiedzieć, że w finalnej fazie prób, odbywającej się na przełomie 1947 i 1948 roku, wzięły udział karabiny: Bulkina, Diementiewa i Kałasznikowa. Wszystkie dostosowano do zmodernizowanego naboju 7,62 x 39 mm.

Automat Kałasznikowa okazał się bezapelacyjnym zwycięzcą. Ostatecz-

na wersja konkursowa, oznaczona AK-47, niemal w niczym nie przypominała modelu z 1946 roku. Otóż w Kowrowie, bo w tej właśnie słynnej wytwórni broni maszynowej zespół Kałasznikowa dopracowywał michtima, przekonstruowano zespół ruchomy: suwadło zostało połączone z tłoczyskiem (pierwotnie oba elementy były oddzielne, a tłoczysko o krótkim skoku miało własną sprężynę powrotną), zastosowano ponadto zakrytą komorę zamkową zamiast otwartej oraz przeniesiono rączkę napinania i bezpiecznik wraz z przełącznikiem rodzaju ognia z lewej strony na prawą. Zmian było znacznie więcej, także w systemie spustowo-uderzeniowym, a zwłaszcza w samej komorze zamkowej, którą – mimo problemów – zdecydowano się wytwarzać metodą tłoczenia.

Zanim na początku 1949 roku AK (bo tak oznaczono go w wojskowej nomenklaturze) przyjęto do uzbrojenia Armii Radzieckiej, przeszedł on jeszcze kosmetyczne modyfikacje (usunięto m.in. kompensator podrzutu) i dopiero wówczas skierowano go do produkcji seryjnej w Iżewskich Zakładach Samochodowych. Ale i to nie zakończyło procesu dopracowywania automatu. Trzeci i ostateczny zarazem model AK, produkowany w drugiej połowie lat pięćdziesiątych (w 1959 roku pojawił się zmodernizowany AK, czyli AKM), charakteryzował

się inaczej ukształtowanym chwytem (tzn. wyprofilowanym pod mniejszym kątem), frezowaną komorą zamkową i magazynkiem ze wzmacniającymi przetłoczniami.

Młody konstruktor właściwie nie wymyślił niczego nowego. Będąc niezwykle zdolnym rusznikarzem, metodą prób i błędów optymalnie skompilował w swej broni wiele wcześniejszych rozwiązań. Powstał karabin lekki, ergonomiczny, niezawodny, o dostatecznej sile rażenia na dystansie 500 m, produkowany w dwóch wersjach – z kolbą stałą drewnianą i metalową składaną (AKS). W latach pięćdziesiątych AK stał się podstawowym, choć niejedynym rodzajem długiej indywidualnej broni strzeleckiej Armii Radzieckiej. Wydatnie zwiększał siłę ognia drużyny piechoty, a więc spełniał oczekiwania, które przed tą kategorią broni postawiono jeszcze w roku 1943; precyzyjny ogień na dalszych dystansach miał być jednak prowadzony z samopowtarzalnych SKS-ów (chodzi o broń konstrukcji Siergieja Simonowa, wprowadzoną formalnie do uzbrojenia w 1944 roku). AK znakomicie wpisywał się w radziecką doktrynę militarną, był jakby udoskonaloną pepeszą. Łatwy do nauki, niezawodny i tani w produkcji, okazał się jednym z najlepszych karabinów automatycznych (w polskim nazewnictwie – karabinków) drugiej połowy XX wieku. 🇺🇸



► AK ze składaną kolbą (AKS)

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historycznowojskowej, współautor książki *Kircholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

# Orzeł Samuela Kretschmera

Artur Kawończyk, Tomasz Zawistowski

Sześć tysięcy akrów użyznionej i nawodnionej pustyni Negev na południu Izraela, z tego arealu połowa obsadzona batatami: to kibuc Ce'elim. W osiedlu, a w zasadzie pod nim, w schronie zbudowanym w roku 1947 mieści się muzeum, w którym Boaz Kretschmer zebrał i wyeksponował pamiątki po pracowni grawerskiej, założonej przez jego dziadka Samuela. Dzięki temu możemy dzisiaj ustalić dokładne pochodzenie wersji orła czapkowego, wyprodukowanych w Jerozolimie.

**W** latach 1904–1913 do Palestyny, pozostającej ówczesnie pod władzą turecką, przybyło blisko 40 tys. Żydów, którym idee syjonistyczne wskazały drogę do ziemi obiecanej. Był pośród nich młody, urodzony na Kowieńszczyźnie mieszkaniec Wiednia, Samuel Kretschmer. Przyjechawszy w 1911 roku do Jerozolimy, spędził w niej dwa lata, po czym wyjechał na krótko do Wiednia. Podróżował wielokrotnie między Austrią i Palestyną, lecz jego prawdziwym domem miała stać się Jerozolima. Tam ukończył słynną szkołę sztuk i rzemiosł Bezalel, założoną i prowadzoną przez Borysa Schatza, która ukształtowała jego styl i z której nazwą do dziś są kojarzone jego największe dzieła. Tam też założył swoją pracownię, z której miały wyjść tysiące wyrobów metaloplastycznych.

Kłopotliwy dla Kretschmera był moment przejścia władzy nad krajem przez Brytyjczyków. Obawiając się aresztowania ze względu na austriackie obywa-

▶ Orzeł wybity w firmie Samuela Kretschmera w Jerozolimie; wykonanie ekskluzywne z grubej blachy srebrnej



Fot. ze zbiorów Tomasza Zawistowskiego



Fot. z archiwum Boaza Kretschmera

telstwo, Kretschmer wrócił do Wiednia. Tymczasem w Austrii – jako przybysz z terenów Imperium Brytyjskiego – został osadzony w obozie, z którego udało mu się wydostać dopiero po osiemnastu miesiącach dzięki pomocy ówczesnego rabina Jaffy, Abrahama Izaaka Kooka.

Lata dwudzieste to okres nieustannych podróży Samuela Kretschmera między Jerozolimą a Wiedniem. W obu miastach równolegle działały dwie należące do niego pracownie grawerskie: przy

▶ Matryca do produkcji orłów czapkowych wykonana i używana w firmie Kretschmera

Fot. z archiwum Boaza Kretschmera



► Polskie wyroby firmy S. Kretschmer and Sons: Krzyż Zasługi, orzeł na patki oficerów dyplomowanych, krzyż harcerski oraz odznaka „kierowcy wzorowego” 2. KP; ta ostatnia w wersji próbnej

Ben Yehuda Street i przy Fischmarkt. W Wiedniu zostały wystawione dokumenty potwierdzające kwalifikacje zawodowe grawera: w roku 1923 świadectwo czeladnicze, a w 1926 – mistrzowskie.

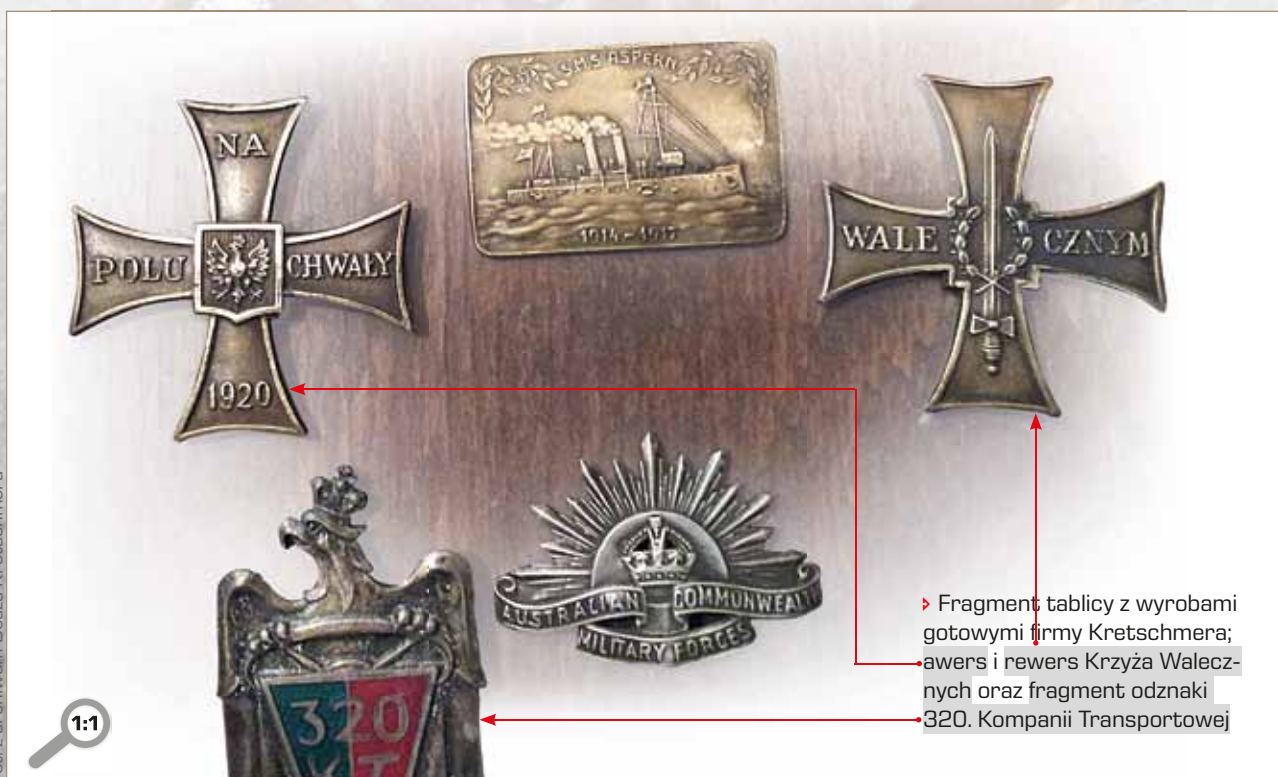
W początku lat trzydziestych Samuel Kretschmer podjął decyzję o definitywnym przeniesieniu swego życia do Palestyny. W 1933 roku przybyła tam poślubiona trzynaście lat wcześniej żona oraz ich dzieci: córka Sara oraz bliźnięcy Elijah i Avi’ezer. Synowie pracowali w firmie od chwili przybycia do Jerozolimy, a mieli wówczas po trzynaście lat.

15 maja 1943 roku ojciec oficjalnie zarejestrował spółkę z udziałem obu synów, zmieniając nazwę „Samuel Kretschmer” na „S. Kretschmer and Sons”. Gdy w roku 1972 Samuel zmarł, Elijah odziedziczył firmę i prowadził ją z powodzeniem aż do 2003 roku. Jak wspominał, spędził w pracy 70 lat życia z dwiema krótkimi przerwami na służbę wojskową: najpierw w brytyjskiej Western Desert Force podczas II wojny światowej, a później, w 1948 roku, kiedy walczył w Abu Tor w czasie wojny nazwanej potem wyzwolenczą.

### Dzieła sztuki i wojskowe odznaki

Firma Samuela Kretschmera działała na dwóch polach. Wykształcenie założyciela i znajomości ze szkoły Bezael były punktem wyjścia do wytwarzania wyrobów artystycznych, przede wszystkim medali, zarówno własnego autorstwa, jak i na zamówienie artystów. Powstawały wyroby grawerowane, odlewane i sztanconowane. W spuściznie firmy zachowało się wiele modeli, które były wykonywane ręcznie (w wymiarach kilkakrotnie większych od założonych dla wyrobu ►

Fot. z archiwum Boaza Kretschmera



► Fragment tablicy z wyrobami gotowymi firmy Kretschmera; awers i rewers Krzyża Walecznych oraz fragment odznaki 320. Kompanii Transportowej

gotowego) jako wzory matryc. Sprowadzony z Europy pantograf umożliwiał mechaniczne odwzorowanie zminiaturyzowanego rysunku modelu w miękkiej stali. Wykonana w ten sposób matryca służyła – po ulepszeniu cieplnym – do produkcji serii powtarzalnych wyrobów odkuwanych ze stopów miedzi, a niekiedy ze srebra.

Drugim polem działalności firmy była produkcja masowa oznak i odznak wojskowych, symboli religijnych oraz znaczków pamiątkowych. Początkowo naturalnym klientem były brytyjskie, a później także alianckie formacje mundurowe. Uzyskanie niepodległości przez państwo Izrael w roku 1948 oznaczało dla firmy utratę starych klientów, ale też rozpoczęcie niebywałej hossy – nowo powstałe wojsko i policja potrzebowały właśnie tego, co Samuel Kretschmer wraz z synami potrafili wytwarzać. Oprócz oznak mundurowych i pamiątkowych z jerozolimskiej firmy wyszły liczne monety okolicznościowe i także medale, a także godła państwowe. W miarę rozwoju turystyki równie istotnym odbiorcą stawał się rozkwitający przemysł pamiątkarski Ziemi Świętej, a firma najwyraźniej wyznawała pragmatyczną zasadę głoszącą, że w interesach nie ma miejsca na uprzedzenia religijne. Po śmierci Samuela zakres działalności przechylił się wyraźnie w stronę produkcji masowej.

W pierwszym okresie istnienia firmy Samuel Kretschmer sygnował swoje wyroby hebrajskimi inicjałami „SK”

► Matryca wraz z półproduktem Medalu Wojska, wykonana i używana w firmie Kretschmera



Fot. z archiwum Boaza Kretschmera



Fot. IPMS

► Ksiądz Jan Malinowski, kapelan Pułku Ułanów Karpackich, z orłem produkcji Kretschmera na berecie; zdjęcie wykonane we Włoszech

(ש ק). Po zmianie nazwy, od roku 1943, firma S. Kretschmer and Sons używała jako sygnatury pełnego nazwiska „KRETSCHMER”.

### Wielki remanent

Pod koniec XX wieku dobiegający osiemdziesiątki Elijah Kretschmer był zmuszony zakończyć działalność firmy. Poprosił swego syna, Boaza, o pomoc przy likwidacji ruchomości. Praca zaczęła się na początku roku 2003 i zajęła sześć miesięcy. Oprócz parku maszynowego w magazynach znaleziono ponad 13 tys. matryc służących do produkcji różnych wyrobów. Nie był to oczywiście cały dorobek firmy, lecz jedynie narzędzia do realizacji zamówień powtarzalnych. Matryce wyrobów artystycznych, niskonakładowych były po wykorzystaniu niszczone.

Mieszkańcy Izraela nie cenią sobie pamiątek z okresu dominacji brytyjskiej. Sam Elijah miał do nich dość niechętny stosunek; może i przez to Boaz ocalił jedynie około dwustu matryc.

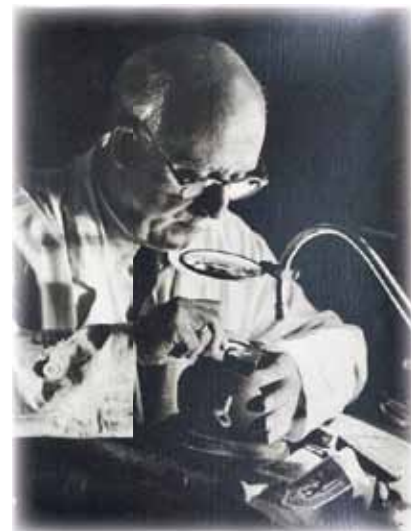
Oprócz nich zachowały się maszyny (wśród nich wspomniany pantograf), liczne modele medali – mające dziś wartość tak artystyczną, jak i histo-

ryczną – oraz drewniana tablica z przykładami wyrobów z okresu II wojny światowej. Ciężkie pudła ładowano na ciężarówkę i wywożono do kibucu Ce’elim, gdzie mieszkał Boaz i gdzie już było przygotowane miejsce dla jego ojca. 16 czerwca 2003 roku praca była skończona. Elijah Kretschmer zmarł następnego dnia, nie doczekawszy przenosin do kibucu.

Kolejne pół roku pracy zajęło Boazowi czyszczenie dwustu matryc, w pierwszym etapie z brudu i resztek smaru, w drugim z rdzy. W chwili obecnej oczyszczone matryce są eksponowane w kibucu wraz z licznymi modelami medali i plaket. Poczesne miejsce w ekspozycji zajmuje drewniana tablica z blisko czterdziestoma wyrobami gotowymi, na której, obok godeł armii Zjednoczonego Królestwa oraz kłamy straży przybocznej Abdullaha, króla Jordanii, są umieszczone pamiątki po żołnierzach Armii Polskiej na Wschodzie.

### Zamówienia z Armii Polskiej

Od dawna było wiadomo, że firma Kretschmera zaistniała w polskiej fałerystyce, znana bowiem była wyprodukowana przez nią odznaka pamiątkowa 320. Kompanii Transportowej. Ten interesujący emblemat, w którym obok polskiego orła występuje również godło Egiptu, był mocowany do mundurów za pomocą nakrętki z wypukłą nazwą firmy.



Fot. z archiwum Boaza Kretschmera

► Samuel Kretschmer przy pracy

Dopiero inwentaryzacja przeprowadzona przez Boaza Kretschmera pozwoliła stwierdzić, jak duża była liczba wyrobów firmy przeznaczonych dla polskich żołnierzy. Oprócz wspomnianej powyżej odznaki z firmy Kretschmera wyszły: Krzyż Walecznych, Krzyż Zasługi, Medal Wojska, odznaka „kierowcy wzorowego” 2. KP, orzeł na patkę kołnierkową oficerów dyplomowanych oraz krzyż harcerski. Na uwagę zasługuje jednak przede wszystkim orzeł przeznaczony do noszenia na czapkach.

Armia Polska na Wschodzie używała kilkudziesięciu odmian orłów czapkowych, spośród których ponad dwadzieścia było wybijanych matrycowo z blachy. Orzeł czapkowy produkcji Kretschmera, prezentowany na stronie 56, wyróżnia się w tej grupie przede wszystkim oryginalnością rysunku. Nawiązując do wyglądu godła wz. 39 przede wszystkim charakterystycznymi pętlicami na nogach, jest jednak od niego masywniejszy. Ten efekt wizualny powstał na skutek nieznacznego zmniejszenia wysokości orła przy jednoczesnym powiększeniu elementów dekoracyjnych, w tym gwoździ zdobiących dolny szlak tarczy amazonek. Ponadto relief matrycy jest dość głęboki, dzięki czemu godło jest bardzo plastyczne.

Orły Kretschmera były produkowane z blachy mosiężnej i srebrnej, przy czym te ostatnie niekiedy nosiły cechę promiłowalną „925”, identyczną jak na srebrnych



Fot. IPMVS

▶ Orzeł produkcji Samuela Kretschmera stanowił jeden z elementów tablicy z polskimi oznakami, którą przygotował dział muzealny Archiwum APW dla egipskiego muzeum wojska w Kairze; zdjęcie wykonane 9 maja 1944 roku

egzemplarzach odznak 320. Kompanii Transportowej. Zdjęcia archiwalne oraz liczba godła zachowanych w kolekcjach muzealnych i prywatnych świadczą o średniej popularności godła. Wydaje się, że żołnierze nabywali je prywatnie, natomiast intendentura nie złożyła w firmie Kretschmera zamówienia na orły.

W przeciwieństwie do orłów czapkowych dwa inne wyroby firmy były najwyraźniej zakontraktowane przez intendenturę. Są to po pierwsze Krzyże Walecznych, których duża liczba trafiła na piersi zasłużonych żołnierzy 2. Korpusu, a pewna część pozostała w powojennych zapasach. Wszystko wskazuje na to, że odmiana krzyża produkowana przez Kretschmera, a skatalogowana w monografii autorstwa Grzegorza Krogulca pod numerem 23,

została zamówiona przez służbę materiałową, elementem kontraktu zaś było przekazanie zleceniodawcy matrycy. W zasobie przechowywanym przez wnuka Samuela istotnie brakuje matrycy KW; znajduje się ona w zbiorach Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie.

Drugim odznaczeniem produkcji Kretschmera, zachowanym w dużej liczbie egzemplarzy, jest Krzyż Zasługi. Wygląda na to, że i na ten wyrób firma podpisała oficjalny kontrakt. Matrycy nie odnaleziono, być może ona również trafiła do rąk polskich zleceniodawców. Dla odmiany Medal Wojska, którego matryca znajduje się w zespole Boaza, nie jest powszechnie znany i można przypuszczać, że nie został wykonany w większym nakładzie. Podobnie odznaka „kierowcy wzorowego”, której masową produkcję podjęła włoska firma braci Lorioli, w zasobie Kretschmera zachowała się w unikatowym, nieznanym dotąd wykonaniu. Istnienie tych projektów świadczy o tym, że współpraca z polskimi zleceniodawcami trwała jeszcze po zakończeniu wojny, Medal Wojska bowiem zatwierdzono w lipcu 1945, a odznaką „kierowcy wzorowego” – w marcu 1946 roku.

Firma S. Kretschmer and Sons należała do największych w branży dostawców Armii Polskiej na Wschodzie i – tym samym – 2. Korpusu Polskiego, i to zarówno pod względem asortymentu, liczącego przynajmniej osiem wyrobów, jak i nakładu niektórych z nich.

Wśród późniejszych wyrobów firmy warto zauważyć medal upamiętniający dwudziestą rocznicę powstania w warszawskim getcie. Ponadto wyrobem Kretschmera były najwcześniejsze edycje medalu „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”, przyznanego ponad sześciu tysiącom Polaków. ■

**Artur Kawończyk** – miłośnik dziejów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oraz historii czynu politycznego i zbrojnego polskiego wychodźstwa w XX wieku

**Tomasz Zawistowski** – autor czterech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*

Autorzy składają serdeczne podziękowania dr Rachel Einav i Boazowi Kretschmerowi za współpracę i udostępnienie materiałów źródłowych.



▶ Dekoracja z okazji czwartej rocznicy wybuchu wojny w witrynie sklepu Szwarca, sąsiada Kretschmerów przy Ben Yehuda Street w Jerozolimie

# Talony

Jerzy Kochanowski

**Typowym dla socjalistycznej gospodarki niedoboru sposobem dystrybucji towarów, a jednocześnie nagradzania i wyróżniania, były talony. W odróżnieniu od oficjalnej reglamentacji ich rozdział nie miał ściśle określonych reguł, był uznaniowy.**

**T**alony upoważniały do zakupu po cenach urzędowych towarów trudno dostępnych (lub niedostępnych w ogóle) w oficjalnym handlu. Istotne były zarówno samo otrzymanie danego produktu, jak i aspekt materialny, gwarantowana cena oficjalna była bowiem dużo (nieraz wielokrotnie!) niższa od żądanej w obrocie nieoficjalnym. Talony, rozprowadzane przez ministerstwa, zakłady pracy, organizacje partyjne oraz związki zawodowe, były wygodną formą wyróżniania (i pozyskiwania) poszczególnych osób lub grup i budowania przez członków nomenklatury sieci klientów. Nie można jednocześnie zapominać o tym, że pomagały otrzymać nieosiągalne na rynku artykuły osobom lub grupom naprawdę potrzebującym czy wykluczonym – np. lekarzom i inwalidom.


Asortyment towarów wydawanych na talony i procedura ich przydziału zmieniały się wraz z przemianami konsumpcyjnymi i sytuacją gospodarczą. Bezpośrednio po wojnie były to artykuły codziennego użytku, odzież, rowery, zwierzęta domowe (dostarczane np. przez agendę ONZ – UNRRA). W latach pięćdziesiątych zaczęto przydzielać na talony motocykle i nawet (nieliczne) samochody. Na przykład w 1956 roku narciarz Franciszek Gąsienica-Groń otrzymał za brązowy medal olimpijski talon na motocykl. Wtedy też zaczęło się nagradzanie specjalnymi przydziałami całych grup zawodowych, np. górników (dla których przeznaczono w końcu lat pięćdziesiątych część z tysięcy sprowadzonych do Polski włoskich

skuterów Lambretta), naukowców czy artystów (choć ci preferowali raczej dwuszlady).

## Bezczelna wymiana

Mimo że talony były przydzielane konkretnej osobie i nie było wolno ich odstąpić, zawsze znajdowano jakieś – zazwyczaj niezbyt legalne – wyjście. Zjawisko to nasiliło się, kiedy w wyniku odwilży 1956 roku zaczęły się lepsze czasy dla prywatnej motoryzacji. Jak informował w listopadzie 1957 roku partyjny funkcjonariusz zajmujący się walką z nadużyciami, dochodziło „do takiego szczytu bezczelności, że facet ogłasza w gazecie [...] »zamienię talon [na samochód] na motocykl«. Podstawiamy mu człowieka, on się z nim spotyka i mówi, proszę bardzo, albo motocykl pan da za talon, albo 30 tysięcy złotych. Ten podpytuje, a pan to nie potrzebuje samochodu, ten mówi, panie, ja gdy będę chciał, to zawsze inny dostanę itd. I z rozmowy wynika, że ma bardzo szerokie kontakty, bo mówi, panie, jak pan będzie chciał fiata, to dostanie pan fiata, jak będziesz pan chciał to, to dostaniesz to...”. Różnica między ceną „państwową”, płaconą dzięki talonowi, a wolnorynkową była tak duża, że do końca istnienia PRL talony powszechnie stanowiły przedmiot nieoficjalnego obrotu.

Kiedy w dekadzie Gierka samochód stał się przedmiotem pożądania nie tylko elit, a podaż nie nadążała za popytem (co błyskawicznie spowodowało wzrost cen wolnorynkowych), talony – umożliwiające nabycie wymarzonego pojazdu szybko, bez długiego czekania i po cenie nominalnej – stały się wręcz istotnym narzędziem politycznym. Ponieważ system



ich przydzielania nie był czytelnie określony, dysponująca nimi nomenklatura rozdawała je arbitralnie: z jednej strony traktując je jako nagrodę i czynnik mobilizacyjny, z drugiej – budując własne, zależne od siebie sieci społeczne. „Jakichś ogólnopolskich przejrzystych zasad przydziału talonów nie było. [...] Jeżeli były, to jeden lub dwa talony na zakład, to brał dyrektor i jego zastępca lub szef, np. organizacji związkowej, z racji przynależności do nomenklatury. Jeżeli tych talonów było więcej, to szanse miał dostać pracownik szeregowy, o ile potrafił wykazać, że posiadanie samochodu znacząco ułatwi mu wykonywanie obowiązków służbowych lub jest wskazane np. ze względu na trudną sytuację rodzinną [...]. Jeżeli szef przedsiębiorstwa miał tych talonów kilka, mógł puścić w obieg np. poprzez Radę Zakładową czy organizację związkową. Jeżeli szef był świnią, talony ukrył i rozprowadził po swoich znajomych. [...] Faktem jednak jest, że osoby, które z racji wykonywanych obowiązków potrzebowały korzystania z samochodu, szanse spore na te talony miały. Poza tym im gorszy samochód, tym większe szanse, że trafi do szarego zjadacza chleba...” – tak swoje doświadczenia z rozdziałem talonów wspominał użytkownik forum portalu Historycy.org.

Talon był dobrem tak cennym, że kiedy nie udało się go dostać we własnym zakładzie pracy, pisano nawet do centralnego dystrybutora, którym był Urząd Rady Ministrów. Czasami skutecznie. Nic też dziwnego, że talon na samochód stał się w latach siedemdziesiątych nie tylko obiektem intensywnych starań, lecz także częstym tematem artykułów prasowych, pojawiając się również w filmach fabularnych.

W latach osiemdziesiątych próbowano zbiurokratyzować i uszczelnić system przydziału talonów, m.in. zachowując pewną liczbę pojazdów dla inwalidów, taksówkarzy czy lekarzy (na tzw. asygnaty specjalistyczne) oraz rezerwując 1 proc.

samochodów przeznaczanych na rynek „na inne nieprzewidziane i uzasadnione potrzeby”. Wysiłki spełzły na niczym, o ile jednak wcześniej talon był często nagrodą za kreatywność i zdolności, o tyle od tego momentu przydzielano go za lojalność polityczną (np. działaczom nowych związków zawodowych, powstałych po delegalizacji Solidarności).

Charakterystyczne, że funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa i wojskowego kontrwywiadu, którzy aresztowali, a następnie przesłuchiwali w 1985 roku Józefa Szaniawskiego, od 1973 roku współpracującego z Radiem Wolna Europa, nagrodzono (podobno) 32 talonami na samochody!

### Spekulanci z Katowic

Lata osiemdziesiąte, a zwłaszcza ich początek, stanowiły apogeum talonowej dystrybucji nie tylko samochodów, lecz także wszelkich dóbr nieobjętych reglamentacją – od węgla, przez telewizory, meble czy buty po papier toaletowy. Jak stwierdzono podczas II Krajowej Rady Antyspekulacyjnej w kwietniu 1982 roku, „kraj jest mozaiką partykularyzmów reglamentacyjnych, a i handlowych również, rozwija się bowiem sprzedaż na talony, na dowody osobiste, sprzedaż na kwity podatkowe, na zaświadczenia naczelnikowskie, tworzy się w handlu wewnętrznym bałagan, a wraz z tym rozwija się spekulacja”. Każde województwo (było ich wtedy 49!) wprowadzało bowiem własny system sprzedaży na talony, a orientowanie się w tej skomplikowanej geografii stanowiło ważny składnik czarnorynkowych strategii. Szczególną popularnością cieszyły się tzw. karty górnicze, dające pracownikom kopalni łatwiejszy (niż większości innych zawodów) dostęp do artykułów deficytowych. Część z nich była potem dystrybuowana w całym kraju, oczywiście po znacznie wyższej cenie. Na przykład na początku 1986 roku warszawscy milicjanci rozpracowali „sprawę spekulacyjnego handlu zlewozmywakami nierdzewnymi nabywanymi w Katowicach na karty górnicze i sprzedawanymi następnie z zyskiem na wolnym rynku przez pracowników Kopalni Węgla Ka-

miennego Katowice”. W tym samym czasie odkryto, że „ponad 60% talonów przeznaczonych dla indywidualnych inwalidów wojennych, a uprawniających do nabycia poza kolejnością deficytowych towarów, [jak] meble, pralki, lodówki, zamrażarki, zostały wydane niezgodnie z obowiązującymi przepisami”.

### Dywan za tonę papieru

Jednak to nie talony na samochody, pralki czy buty zachowały się w niektórych rodzinnych archiwach, lecz na... papier toaletowy. Był on artykułem deficytowym przez znaczną część dziejów PRL, na początku lat osiemdziesiątych wprowadzono więc system mający zwiększyć dostępność tego produktu. Najłatwiej było go nabyć po odstawieniu do punktu skupu odpowiedniej ilości makulatury, za którą otrzymywało się talon upoważniający do nabycia określonej liczby rolek (a czasami i innych artykułów). „Pościel za makulaturę, halki też. Co więc robimy? – pytał retorycznie lektor Polskiej Kroniki Filmowej z 1983 roku. Widz w tym czasie oglądał na ekranie kielecki punkt skupu makulatury. – To nie mennica, tu może-

Niniejszy talon uprawnia do zakupu 1 pary obuwia skózanego lub skóropodobnego całorocznego użytku lub zimowego lub tekstylnego jesienno-zimowego w okresie od 1 października 1982 do 31 marca 1983. Talon wraz z odcinkiem rezerwowym O-R prosimy zachować.



Fot. AIPN

my zamienić je [worki papieru] na talony. Rolka toaletowego – jeden kilogram makulatury, rajstopy – dziesięć kilogramów, żelazko – osiemdziesiąt, radio – 150, dywan – uff, tu chyba zbierała cała rodzina – pełna tona!”.

Okazało się, że gospodarka rynkowa także nie jest w stanie poradzić sobie bez talonów. Jeszcze niedawno olbrzymia część zatrudnionych otrzymywała z okazji świąt (Bożego Narodzenia, Wielkanocy) talon uprawniający do zakupów za określoną sumę. Prawdziwym talonowym skansenem jest jednak Góry Śląsk, gdzie górnik pracujący dostaje co roku talony na osiem ton, a emerytowany – na trzy tony węgla. I choć obrót nimi jest – jak w PRL – nielegalny, Internet pełen jest ogłoszeń o sprzedaży i kupnie... ❄️

prof. Jerzy Kochanowski – historyk, pracownik Zakładu Historii XX Wieku Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego

2000  
za  
makulaturę

# Szpilman: dwa lata w ukryciu

Katarzyna Dzierzbicka



**W sierpniu 1942 roku dzięki pomocy żydowskiego policjanta Władysławowi Szpilmanowi udało się uniknąć deportacji do obozu zagłady w Treblince, gdzie zginęła cała jego rodzina. Młodego pianistę czekały jednak tułaczka i walka o przeżycie, trwające do 17 stycznia 1945 roku.**

**P**o utracie bliskich Szpilman z grupą innych Żydów pracował przy rozbiórce muru warszawskiego getta, budowie koszar i mieszkań oficerów SS na Mokotowie oraz siedziby dowódcy SS, kata Warszawy – Franza Kutschery. W połowie lutego 1943 roku pianista dzięki pomocy aktora Andrzeja Boguckiego i jego żony, piosenkarki Janiny Godlewskiej, przedostał się na „aryjską” stronę miasta.

Pierwszym miejscem, w którym się ukrywał, była wybudowana w 1913 roku kamienica przy ul. Noakowskiego 10.

Pianista znalazł schronienie na piątym piętrze w atelier rzeźbiarza Franciszka Strynkiewicza, zajmowanym przez kompozytora Piotra Perkowskiego.

## Od atelier do jaskini lwa

„Atelier [...] było dość dużym pomieszczeniem – rodzajem sali z przeszklonym sufitem. Po obu stronach miała ona małe sypialnie bez okien, ogrodzone drzwiami. Boguccy przygotowali dla mnie łóżko polowe. Po koszarowych pryczach, na których do tej pory spałem, wydawało mi się ono niebywale wygodne” – pisał Władysław Szpilman

w autobiografii *Pianista. Warszawskie wspomnienia 1939–1945* (pierwotny tytuł książki wydanej w 1946 roku w opracowaniu Jerzego Waldorffa to *Śmierć miasta*). Szpilman nie mógł zbyt długo pozostać w lokalu ze względu na zapowiedziany przez Niemców spis ludności, a co za tym idzie – kontrole w mieszkaniach. „Prawie każdego dnia zjawiali się nowi kandydaci na lokatorów, aby obejrzeć pomieszczenie. Musiałem zniknąć wtedy w jednej z sypialń i drzwi zamknąć od środka” – wspominał.

Już 26 lutego pianista przeniósł się na jeden dzień do znajdującego się w oficynie

nie tej samej kamienicy mieszkania Marka Gębczyńskiego, inżyniera Polskiego Radia, a następnie zamieszkał w kawalerce dyrygenta Czesława Lewickiego na Górnym Mokotowie. Lokal znajdował się na ostatnim, piątym piętrze kamienicy Rębalskiego, zbudowanej w latach 1937–1938 przy ul. Puławskiej 83. „Mieszkanie okazało się komfortową, elegancko urządzonej garsonierą, nie za dużą, z wnęką, w której znajdowało się wejście do toalety. Po przeciwnej stronie wnęki mieściła się wielka szafa w ścianie, a obok niej kuchenka gazowa. W pokoju stała duża kanapa, szafa na ubrania, mała półka z książkami, stoliczek i wygodne krzesła. Mała biblioteczka bogata była w nuty i partytury; znalazłem w niej także kilka książek naukowych. Czuję się jak w raju” – czytamy w autobiografii Szpilmana. Dwa razy w tygodniu odwiedzali go na zmianę Czesław Lewicki i jego znajoma, doktorowa Malczewska, uzupełniając zapasy żywności. Lokator kawalerki musiał się zachowywać bardzo cicho. „Ściany były cienkie i każdy nieostrożny ruch mógł zdradzić moją obecność przed sąsiadami” – wspominał Szpilman. W filmie *Pianista* Romana Polańskiego mieszkanie przy Puławskiej sąsiaduje z murem getta, a bohater z okna kawalerki obserwuje wybuch powstania w dzielnicy żydowskiej 19 kwietnia 1943 roku. Jest to filmowa fikcja. Kamienica przy ulicy Puławskiej znajduje się bo-

wiem w zupełnie innej części miasta.

Na początku czerwca 1943 roku Czesław Lewicki nakazał Szpilmanowi natychmiastowe opuszczenie mieszkania. On sam był poszukiwany przez gestapo i nie chciał narażać życia kompozytora. Szpilman zdecydował się jednak na pozostanie w swojej kryjówce. Gdyby przyszli Niemcy, miał się powiesić. Tylko raz zaryzykował opuszczenie kawalerki, aby kupić chleb. Pewnego dnia w mieszkaniu pojawił się Marek Gębczyński wraz z innym inżynierem Polskiego Radia. Szałas, bo tak się nazywał przyproszony przez niego mężczy-



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

zna, okazał się oszustem. „Szałas [...] zbierał dla mnie pieniądze w całej Warszawie, a że nikt ich wówczas na ratowanie ludzi nie żałował, dostawał ich dużo. Zapewniał przy tym moich przyjaciół, że odwiedza mnie codziennie i że niczego mi nie brakuje”. Szpilman nigdy tej pomocy nie otrzymał i przymierał głodem.

12 sierpnia kryjówkę Władysława Szpilmana odkryli lokatorzy kamienicy. Jedna z kobiet zażądała, aby kompozytor się wylegitymował. Przy wtórze jej wrzasku Szpilman w pośpiechu opuścił mieszkanie. Przez dwie godziny błądził po Warszawie, by w końcu dotrzeć do domu państwa Bołdoków

Fot. Katarzyna Dzierzbicka



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

przy ul. Narbutta 17. Pan Bołdok był również inżynierem w Polskim Radiu. „Gdy mi otworzono, od razu zaznaczyłem, że przyszedłem tylko na chwilę, by skorzystać z telefonu i dowiedzieć się, gdzie mógłbym znaleźć nowe schronienie. Telefonowanie nie przyniosło jednak spodziewanych rezultatów. Jedni z moich przyjaciół nie mogli mnie przyjąć, inni zaś nie mogli wyjść z domu, gdyż tego właśnie dnia nasza partyzantka dokonała udanego zamachu na jeden z największych banków w Warszawie i całe Śródmieście obstawione było przez policję” – pisał Szpilman. Państwo

Bołdokowie postanowili ulokować go na jedną noc w znajdującym się piętro niżej mieszkaniu, do którego mieli klucze. Był to lokal zajmowany przez folksdojca, który na kilka dni wyjechał z Warszawy.

Następnego dnia Władysław Szpilman trafił do mieszkania inspektora audycji w Polskim Radiu, Zbigniewa Jaworskiego, i jego żony Zofii przy ulicy Fałata 2. „Znowu byłem więc uratowany. Przebywałem u miłych, życzliwych mi ludzi. Od razu wykapałem się, po czym zjedliśmy smaczną, zakrapianą wódką kolację, co niestety zaszkodziło mojej wątrobie”. Szpilman nie chciał nadużywać gościnności państwa Jaworskich i narażać ich życia. Za ukrywanie Żydów groziła przecież kara śmierci.

21 sierpnia niemal na rok przeniósł się do mieszkania Heleny Lewickiej,



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

bratowej Zofii Jaworskiej, znajdującego się na ostatnim piętrze kamienicy przy al. Niepodległości 227/233, zaprojektowanej przez architekta Romana Felińskiego, a wybudowanej w latach 1927–1929. Okna mieszkania wychodziły na niedokończony gmach 1. Szpitala Okręgowego im. marsz. Józefa Piłsudskiego, który w czasie wojny zajmowali Niemcy. „Obszerny pokój na czwartym piętrze miał wejście bezpośrednio z klatki schodowej. Był[y] tam gaz i prąd, nie było zaś wody. Trzeba było wychodzić po nią na korytarz, gdzie obok wspólnej toalety znajdował się kran [...] W sąsiednich domach mieszkali przeważnie Niemcy oraz mieścili się różne wojskowe urzędy [...] Tym razem przebywałem więc w sercu jednej z najbardziej niemieckich dzielnic Warszawy, w samej jaskini lwa” – czytamy w autobiografii pianisty. Władysław Szpilman był sąsiadem działacza podziemia. Małżeństwo było poszukiwane i rzadko nocowało w swoim mieszkaniu. Jedzenie Szpilmanowi codziennie przynosiła pani Helena lub sąsiadka z dołu.

### Warszawski robinson

W takich warunkach Szpilman doczekał lata 1944 roku: „1 sierpnia pani Helena przyszła około czwartej po południu, by sprowadzić mnie do piwnicy. Powstanie ma wybuchnąć za godzinę! Kierowany nieomylnym instynktem, który mnie wielokrotnie już ratował, zdecydowałem, że zostanę na górze”. Szybko jednak kończyły się zapasy żywności. Kamienica zo-

stała ograbiona przez Ukraińców, którzy szukali ukrytych w piwnicach zapasów, a 13 sierpnia Niemcy ostrzelali i częściowo spalili budynek. „Zszedłem na półpiętro i przez okno wychodzące na Sędziowską, zobaczyłem stojący tam czołg z lufą wycelowaną w nasz dom, na wysokość mojego piętra. Po chwili ujrzałem płomień, lufa cofnęła się i usłyszałem huk walącego się w bezpośrednim pobliżu muru”. Władysław Szpilman ukrył się na dachu budynku. Gdy Niemcy opuści-



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

li dom, pianista wrócił do zajmowanego wcześniej pokoju. Zdając sobie sprawę ze swojego beznadziejnego położenia – był otoczony przez oddziały SS, a dom, w którym się znajdował, płonął – zażył dużą ilość środków nasennych. Zapadł w głęboki sen, ale nie umarł.

Nazajutrz zdecydował się na przejście do budynku znajdującego się po drugiej stronie ulicy – do szpitala przy al. Niepodległości 218. Ukończony po wojnie gmach zajmuje obecnie Ministerstwo Obrony Narodowej. „Wpadłem do pierwszej z brzegu klatki schodowej i natychmiast zapadłem w głęboki sen”. Szpilman spędził kolejne dni w szpitalnej składnicy złomu. Cudem nie został odkryty przez oddział żołnierzy niemieckich, który przeszukiwał pomieszczenia szpitala. Pianista doskwierał głód: „W gmachu nie było wodociągu, ale stały przeciwpożarowe beczki, napełnione po brzegi wodą, pokrytą opalizującym kożuchem, pełną zdechłych much, komarów i pajaków. Mimo to zacząłem łączyć wie pieć. Musiałem jednak przestać, gdyż woda była cuchnąca i trudno było unikać polykania wraz z nią martwych owa-

dów. W warsztacie stolarskim udało mi się znaleźć skórki od chleba. Były spleśniałe, pokryte kurzem i mysimi odchodami, ale dla mnie stanowiły skarb [...] W którejś z separatek znalazłem trochę jęczmienia. Ugotowałem go w nocy, na ogniu rozpalonym w piecyku stojącym w warsztacie stolarskim, zdobywając w ten sposób pożywienie na następnych kilka dni”.

30 sierpnia Władysław Szpilman zdecydował się na przeniesienie się z powrotem do domu w al. Niepodległości 227/233:

„Początkowo chciałem ukryć się w piwnicy, ale tam tlił się węgiel, umyślnie podpalany przez Niemców. Zająłem więc gruzy mieszkania na trzecim piętrze. [...] Po tygodniu, tknięty złym przeczuć, zmieniłem jeszcze raz kryjówkę, przenosząc się na strych pod wypalonym dachem”. W kolejnych miesiącach kompozytor dzielił los robinsonów warszawskich – ludzi, którzy po upadku Powstania Warszawskiego nie opuścili Warszawy i mieszka-

li w ruinach domów. Ich liczba jest dziś niemożliwa do ustalenia. Nie wiadomo również, ilu ukrywających się ludzi przeżyło wojnę. 16 listopada kamienicę przy al. Niepodległości zajęli Niemcy. Kompozytorowi ponownie udało się uniknąć śmierci, tym razem dzięki niemieckiemu żołnierzowi „o tępej twarzy półinteligenta, w hełmie i z karabinem w rękę”. Szpilman obiecał mu pół litra spirytusu w zamian za milczenie. Niemiec się zgodził, a gdy opuścił pomieszczenie, Szpilman uciekł na dach, gdzie przeleżał kilka następnych dni. Gdy Niemcy stacjonujący w szpitalu wypatryli jego kryjówkę i otworzyli do niego ogień, kompozytor ukrył się w ruinach domków Kolonii Staszica, znajdujących się po drugiej stronie ulicy Sędziowskiej. Szukając jedzenia, trafił do wysokiego domu przy ulicy Sędziowskiej 2. „Po bliższych oględzinach okazało się, że środkowa część tego domu była całkowicie wypalona, jednak jego skrzydła pozostały nietknięte. W mieszkaniach stały meble, w wannach były zapasy wody porobione jeszcze w czasie powstania, zaś w spizarniach leżały gdzieniegdzie resztki



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

nierozkradzionej żywności. Starym zwyczajem ulokowałem się na strychu. [...] Na ostatnim półpiętrze domu było okienko z kolorowymi szybkami, przez które mogłem obserwować okolicę” – wspominał później. Gdy wyszedł z ukrycia w poszukiwaniu żywności, natknął się na niego niemiecki oficer. Kapitan Wehrmachtu Wilhelm (Wilm) Hosenfeld nie dość, że nie wydał Szpilmana, to pomógł mu w znalezieniu bezpieczniejszej kryjówki: „Starannie i fachowo przeprowadził inspekcję strychu. Odkrył coś, czego do tej pory nie zauważyłem. Była tam jeszcze jedna kondygnacja, rodzaj zbudowanego z desek półpiętra, ponad wejściem na strych, pod załamaniem dachu. Na pierwszy rzut oka była ona w panującym na poddaszu mroku trudna do zauważenia. Doradził mi, abym od teraz ukrywał się właśnie na tym półpiętrze, po czym pomógł mi znaleźć w jednym z mieszkań drabinę. Po wejściu do kryjówki miałem ją wciągać za sobą na górę”. Przez kolejne dni Hosenfeld dostarczał Szpilmanowi żywności i przynosił gazety, dzięki którym pianista orientował się w aktualnej sytuacji.

14 stycznia 1945 roku Niemcy ewakuowali się z kamienicy przy al. Niepodległości: „Podjeżdżały i odjeżdżały samochody, po schodach biegali wojskowi, słychać było podniesione, nerwowe głosy, z domu ciągle coś wnoszono, prawdopodobnie aby ładować to na ciężarówki”. 17 stycznia do Warszawy wkroczyła Armia Czerwona. Władysławem Szpilmanem zaopiekowali się żołnierze towarzyszącego Sowietom ludowego Wojska



Fot. Katarzyna Dzierzbicka



Polskiego i profesor medycyny Andrzej Piotr Biernacki, mąż Grażyny Bacewicz, koleżanki Szpilmana z Polskiego Radia. „Po upływie dwóch tygodni, odkarmiony przez wojsko, wymyty i wypoczęty, szedłem po raz pierwszy od sześciu lat bez obawy, jako wolny człowiek, środkiem ulic Warszawy” – tak zapamiętał Szpilman pierwsze dni po wyparciu Niemców ze stolicy.

### Sprawiedliwy Niemiec

Po wojnie Władysław Szpilman powrócił do Polskiego Radia, gdzie został kierownikiem Działu Muzyki Lekkiej. Nadal pracował jako muzyk i kompozytor, był także pomysłodawcą Międzynarodowego Festiwalu Piosenki w Sopocie. Zmarł 6 lipca 2000 roku w Warszawie. Został pochowany na Powązkach Wojskowych.

Wilhelm Hosenfeld zmarł 13 sierpnia 1952 roku w sowieckiej niewoli. Władysław Szpilman bezskutecznie zabiegał u Jakuba Bermana – członka Komisji Sekretariatu Biura Politycznego Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej nadzorującej Minister-

stwo Bezpieczeństwa Publicznego – o uwolnienie go z obozu pod Stalingradem. „[Berman] Był swinią – każdy to wiedział. Jakub Berman miał więcej do powiedzenia niż nasz minister spraw wewnętrznych. Postanowiłem zrobić wszystko, co możliwe, poszedłem więc do niego i opowiedziałem mu o wszystkim. [...] Berman był uprzejmy i obiecał, że zrobi, co się da. Po kilku dniach sam do mnie zadzwonił: Niestety! Nic się nie da zrobić. Dodał: Gdyby ten Niemiec był w Polsce, moglibyśmy go wyciągnąć, ale towarzysze radzieccy nie chcą go wypuścić. Mówią, że był członkiem jednostki zajmującej się szpiegostwem. Tu Polacy nie mogą nic zdziałać, jestem bezsilny – powiedział ten, który swą wszechmoc zawdzięczał łaskom Stalina”. W 2007 roku Wilhelm Hosenfeld został pośmiertnie uhonorowany przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, a 25 listopada 2008 roku medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata przez izraelski instytut Yad Vashem.

4 grudnia 2011 roku, w przeddzień setnej rocznicy urodzin kompozytora, na fasadzie kamienicy przy al. Niepodległości 223 (adres od drugiej strony to ul. Sędziowska) odsłonięto tablicę poświęconą pamięci pianisty i kapitana Wilhelma Hosenfelda. W uroczystości brali udział: żona Władysława Szpilmana – Halina, syn Andrzej oraz córka Wilma Hosenfelda – Jorinde Krejci. Jest to jedyne upamiętnione miejsce, w którym ukrywał się Władysław Szpilman, choć wszystkie opisywane przeze mnie budynki przetrwały wojnę.

**Katarzyna Dzierzbicka** – dziennikarka, licencjonowana przewodniczka po Warszawie



Fot. Katarzyna Dzierzbicka



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

# Światło Wolności i ZOMO w kinie

Karolina Wichowska, Małgorzata Żuławnik

Nocny maraton filmowy, koncert, przejażdżka zabytkowym autobusem i świece w oknach ku pamięci ofiar reżimu Jaruzelskiego – tak wyglądały obchody 33. rocznicy wprowadzenia stanu wojennego. W całej Polsce IPN otworzył ponad trzydzieści plenerowych wystaw, a nasi historycy poprowadzili kilkadziesiąt spotkań i warsztatów.

**12** grudnia wieczorem, chcąc umożliwić młodzieży zapoznanie się z realiami stanu wojennego, a starszym je przypomnieć, Instytut Pamięci Narodowej wspólnie z siecią Cinema City zaprosił na pokaz trzech filmów.

## Kieślowski: obraz palestry

Pierwszym z nich był zapomniany już nieco *Bez końca* Krzysztofa Kieślowskiego z 1984 roku. Do współpracy przy tworzeniu scenariusza reżyser zaprosił (po raz pierwszy, ale nie ostatni) Krzysztofa Piesiewicza – adwokata, a więc osobę doskonale zorientowaną w świecie palestry.

Narratorem jest zmarły kilka dni przed rozpoczęciem akcji filmu Antoni Zyro – prawnik, obrońca robotnika aresztowanego za zorganizowanie strajku. Opowiadając historię, przygląda się, jak żona, zagrana brawurowo przez Grażynę Szapołowską, boryka się z samotnością, wychowuje syna, pomaga pozwanemu obrońcy klientowi męża. Adwokat stara się wpłynąć na wybór swojego następcy. W filmie przeplatają się wątki sądowe i osobiste poszczególnych bohaterów. A ci prezentują najrozmaitsze postawy: jedni są ulegli wobec systemu, inni bezkompromisowi, jeszcze inni uciekają za granicę.

Stworzenie filmu opowiadającego o stanie wojennym niemal na gorąco wiązało się ze sporym ryzykiem. Obraz mógł podzielić los wielu innych, które po wyprodukowaniu trafiły na półkę zamiast do kin. Podczas kolaudacji pojawiło się – nie tylko ze strony partyjnych filmowców – wiele krytycznych głosów. Duża część z nich odnosiła się do fabuły – wypowia-



Fot. Piotr Życieński

dającym się szczególnie trudno było zaakceptować tragiczne zakończenie, zwłaszcza że początkowo tytuł brzmiał „Szczęśliwy koniec”. Podkreślano też niewiarygodność psychologiczną postaci granej przez Szapołowską. Na ekrany obraz trafił już pod zmienionym tytułem. Ostatecznie niektóre sceny różnią się nieco od scenopisu dostępnego w Archiwum Filмотeki Narodowej. Prawdopodobnie wpływ na modyfikacje miały zarówno krytyczne głosy, które padły podczas kolaudacji, jak i ingerencje cenzury. Zniknęły m.in. rozmowy o kartkach na benzynę i o osadzeniu opozycjonistów we wspólnej celi z kryminalistami. Ale ostateczna wersja filmu zawiera także sceny, których nie było w scenopisie. Na przykład, odwiedzając grób ojca na warszawskich Powązkach, syn adwokata kieruje się w stronę grobu gen. Edwarda Śmigłego-Rydza, pochowanego pod nazwiskiem Adam Zawisza. Widać tam wielu rodaków pograżonych w zadumie oraz znak Polski Walczącej ułożony ze zniczy.

## Wieczyński: wokół kapelana

Scenariusze kolejnych dwóch filmów, zrealizowanych wspólnie (w 2009 i 2011 roku), powstały na podstawie faktów. *Popieluszko. Wolność jest w nas* Rafała Wieczyńskiego przypomina ostatni okres życia kapelana Solidarności, bł. ks. Jerzego Popiełuszki. Poszczególne elementy biografii zostały odtworzone dość wiernie. Walorem filmu jest pokazanie środowiska opozycyjnego skupionego wokół księdza Jerzego, fenomenu mszy św. za ojczyznę oraz poruszenia społecznego wywołanego zamordowaniem kapłana. Istotnym wątkiem scenariusza jest też sprawa śmiertelnego pobicia Grzegorza Przemyska przez milicjantów w maju 1983 roku. Choć film opowiada w dużej części o zdarzeniach, które miały miejsce po oficjalnym zniesieniu stanu wojennego 22 lipca 1983 roku, należy pamiętać, że część przepisów wprowadzonych na przełomie 1981 i 1982



Fot. Piotr Życieński

Fot. Piotr Życieński



roku obowiązywała do końca lat osiemdziesiątych. Ciekawostką jest, że w rolę Prymasa Polski wcielił się sam... Józef Glemp.

### Krzystek: brawurowa akcja

Akcja *80 milionów* Waldemara Krzystka toczy się we Wrocławiu w czasie tzw. karnawału Solidarności. Jesienią 1981 roku młodzi działacze wrocławskiej Solidarności otrzymują informację o przygotowywanej przez władze konfrontacji siłowej. Postanawiają – jak się później okazało, w ostatniej chwili przed zablokowaniem kont opozycji – podjąć z banku pieniądze pochodzące ze składek członkowskich oraz pomocy zagranicznej dla związku. Niełatwo było znaleźć miejsce do ukrycia niebagatelnej kwoty 80 mln. zł. Ostatecznie postanowiono zdeponować ją w kurii u abp. Henryka Gulbinowicza. Scenariusz tego sensacyjnego filmu został napisany na motywach prawdziwych wydarzeń, w których brali udział działacze dolnośląskiej Solidarności: Józef Pinior, Władysław Frasyniuk, Tomasz Surowiec i Stanisław Huskowski.

### ZOMO w ikarusie

Widzów, którzy odwiedzili kino w warszawskim centrum handlowym „Arkadia” w Warszawie, czekała niezwykła niespodzianka. Około północy do kina wtargnęło... ZOMO. Na szczęście nie byli to autentyczni funkcjonariusze Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej, lecz członkowie grupy rekonstrukcyjnej. Następnego dnia mogli ich spotkać pasażerowie zabytkowego ikarusa, który – tradycyjnie już, dzięki współpracy Klubu Miłośników Komunikacji Miejskiej w Warszawie – jeździł 13 grudnia ulicami stolicy. Podczas

kolejnych kursów historycy z IPN opowiadali o tym, co się działo 33 lata wcześniej w miejscach mijanych za szybami: o rewizji w siedzibie NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze, o wymuszonych na pracownikach Biblioteki Narodowej podpisach pod tzw. lojalkami, o internowaniu działaczy Solidarności w Areszcie Śledczym przy Rakowieckiej, o akcji pomocy dla rodzin internowanych organizowanej w kościele św. Marcina. Oprócz zasięgnięcia sporej garści informacji pasażerowie mogli wraz z muzykiem Piotrem Kajetanem Matczukiem pośpiewać utwory z epoki.

### Świeczka dla represjonowanych

Wieczorem była okazja wysłuchania koncertu tego artysty, który zagrał wspólnie z Antonim Murackim i Michałem Konstratem. Występ rozpoczął się o 19.30. Punktualnie o tej porze w „Przystanku Historia”, gdzie się odbywał, a także w setkach mieszkań w całej Polsce, zapłonęły świece w oknach – Światło Wolności, hołd złożony ofiarom stanu wojennego: poległym w starciach z milicją, pobitym na komisariatach, internowanym, tym, którzy zostali zmuszeni do emigracji.

Światło Wolności rozbłysło też w przestrzeni miejskiej. Na fasadzie kościoła pw. św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu, słynącego z mszy św. za ojczyznę odprawianych przez ks. Jerzego Popiełuszkę, obok symbolicznej świecy pojawiły się twarze tych, którzy stracili życie w tamtym czasie. Patronat honorowy nad akcją „Zapał Światło Wolności” objął prezydent RP Bronisław Komorowski. 🇵🇱

Karolina Wichowska – politolog, redaktor „Pamięć.pl”

Małgorzata Żuławnik – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN

Fot. Piotr Życieński





# Rywalizacja alianatów

**First to fight** – gra planszowa o zmaganiach Polaków na frontach II wojny światowej, przedstawiająca słynnych i nieco zapomnianych żołnierzy tułaczy i bohaterów polskiego podziemia, ucząca przy okazji chronologii wydarzeń z II wojny światowej. Klejnot? Niestety, raczej kamień półszlachetny...

**F**irst to fight została wydana przez Fabrykę Gier Historycznych i Fundację Niepodległości. Jakiś czas temu na łamach „Pamięci.pl” recenzowaliśmy *Bohaterów Wyklętych* tej samej spółki. Najnowsza produkcja prezentuje się o wiele okazalej od swojego poprzednika: otrzymujemy ją w dużym pudle o kwadratowym froncie, przyozdobionym efektowną grafiką. Zawartość prezentuje się równie dobrze: wewnątrz znajdziemy ponad sto unikatowych kart do gry, dużą kolorową planszę, karty pomocy dla graczy, kilkanaście drewnianych znaczników i mnóstwo solidnie wykonanych żetonów. Pierwsze wrażenie jest bardzo pozytywne, a estetyczne wykonanie zachęca do rozgrywki.

Instrukcja *First to fight*, w porównaniu z tą dołączoną do *Bohaterów Wyklętych*, jest dużo lepiej napisana, jednak jej zrozumienie będzie nastęczało nieco trudności osobom bez doświadczenia z grami planszowymi. Pomijając wstęp i podziękowania, zasady zajmują tylko pięć stron. Kłopotliwy jest brak pewnych opisów (np. wyglądu znaczników wydarzeń) czy spisu komponentów. Niektóre elementy rozgrywki nie są opisane dostatecznie klarownie. Symbole wykorzystywane w grze przedstawiono na wielu ilustracjach, a jednak wydaje się, że obrazków mogłoby być więcej – zwłaszcza w przykładach, które są ich całkowicie pozbawione. Samo tłumaczenie zasad zajmuje około kwadransa. Osoby bardziej doświadczone rozpoczną pierwszą grę nieco

szybciej, ale początkujący będą musieli poświęcić więcej czasu na rozszyfrowanie reguł. Być może wynika to z tego, że wykonując pierwsze ruchy, trudno przewidzieć, co się będzie działo i jakie wyciągniemy korzyści z naszych akcji. Zależności między tym, co możemy, a tym, co i w jakiej kolejności powinniśmy robić, wyczuwamy dopiero po paru chaotycznych posunięciach. Wtedy okaże się, że mamy do czynienia z grą dosyć prostą.

Zadaniem graczy jest wykonywanie losowo przydzielonych im misji. Te, przedstawione na kartach, symbolizują rzeczywiste wydarzenia z czasów wojny – takie, jak np. utworzenie Armii Krajowej, Bitwa o Anglię czy bitwa pod Arnhem. Każda misja ma przypisany obszar geograficzny, rodzaj wojsk, które powinny podjąć się realizacji zadania, oraz poziom trudności wyrażony liczbą od 7 do 10. Tę liczbę należy wziąć pod uwagę, gromadząc na danym obszarze żołnierzy. Oni – także umieszczeni na kartach, z których każda przedstawia jedną postać historyczną – mają cechy określające ich siłę i jeden z symboli formacji wojsk występujących na kartach misji. Gracze starają się zgromadzić tylu żołnierzy, aby ich łączne siły wyrównały lub przewyższyły poziom trudności misji. Będzie to łatwiejsze, gdy właściwie dobierzemy rodzaj wojsk do charakteru misji.

Widzimy tu mechanizm wysyłania żołnierzy na misję, znany ze wspomnianych już *Bohaterów Wyklętych*. Za wykonane zadania otrzymujemy punkty, które zdecydują o naszym zwycięstwie. Co ciekawe, misje są podejmowane chronologicznie i nie mamy pewności, kiedy uda się nam je ukończyć (czy zdążymy zebrać dość sił w danym regionie) i jak szybko będą miały wirtualne miesiące na kalendarzu widocznym na planszy.

Zrozumienie tego wymaga dalszych objaśnień. Za akcje rozpoczynane przez graczy, takie jak rekrutowanie żołnierzy, ruch, szkolenie, manewry czy akcje dywersyjne, odpowiada zestaw kart rozkazów. Gracze po kolei wybierają rozkazy, po czym tura się kończy i następuje faza porządkowa: czas płynie, rozstrzygają się losy obstawianych przez nas misji, zmienia się sytuacja na froncie na skutek działań państw Osi itp. Ponieważ jeden z rozkazów pozwala zamknąć turę, zanim zostanie wyczerpana pula dostępnych rozkazów, czas w grze może płynąć szybciej, z drugiej strony, jeśli gracze starają się maksymalnie wykorzystać dostępne możliwości, oczekiwanie na zmianę daty się wydłuża. Dodatkowo, z tury na turę upływa losowo wybrana liczba miesięcy. Oznacza to, że za jednym razem rozegra nie roku może zająć tylko trzy tury, za innym zaś – sześć tur.

W czasie rozgrywki gracze rekrutują żołnierzy w różnych częściach Europy i przesuwać ich w inne miejsca, aby z większą skutecznością przeprowadzać swoje misje. Mechanizm spraw-

IV 1940	V 1940
I 1941	II 1941
X 1941	XI 1941
VII 1942	VIII 1942
IV 1943	V 1943
I 1944	II 1944
X 1944	XI 1944

dzony w *Bohaterach Wykłych*, wzbogacony tutaj o plan-  
szę, działa dobrze, ale wybór takiej mechaniki prowadzi do  
zgrzytów tematycznych. Drogą do zwycięstwa jest wyko-  
nanie swoich misji i jednocześnie uniemożliwianie przeciwnikom  
doprowadzenia do końca ich misji. Z tego wynika  
paradoks: chociaż uczestnicy zabawy – teoretycznie – grają  
w jednej drużynie sprzymierzonych, to niekiedy ktoś ko-  
muś zabiera jednego lub więcej żołnierzy i przemieszcza  
ich, kierując się partykularnym interesem, a nie dobrem ogó-  
łu. Na przykład, gracz zabiera pilota Witolda Urbanowicza  
z Wielkiej Brytanii i przesuwa do Afryki, aby nie powiodła  
się Bitwa o Anglię, ponieważ wnioskując, że do tej misji  
przygotowuje się inny gracz. Pozbawiając go punktów za  
ukończenie Bitwy o Anglię, nie pozwala mu się wyprzedzić  
w rywalizacji. W rezultacie gra zmusza do zachowań  
sprzecznych z ideałami, które przyświecały polskim żołnie-  
rzom. Gracze przestają walczyć z głównym przeciwnikiem,  
czyli z państwami Osi, a zaczynają realizować własne cele.

Bezpośrednia rywalizacja między graczami nie razi  
w grach o tematyce związanej z PRL i absurdami życia codziennego  
w krajach realnego socjalizmu, lecz w tych o tematyce wojennej  
nie sprawdza się zbyt dobrze, a w tym przypadku wcale. Edukacyjny  
wymiar gry sporo traci. Cennym elementem są natomiast 54 postaci  
prawdziwych polskich żołnierzy pięknie przedstawionych na  
kartach; mamy galerię historycznych wydarzeń, których możemy się  
bezboleśnie nauczyć przy okazji rozgrywki i które zostały dodatkowo  
opisane w instrukcji, ale w grze zupełnie nie występuje  
duch wspólnej walki sprzymierzonych przeciwko III Rzeszy.  
W związku z tym *First to fight* można polecić tylko bardziej  
doświadczonym osobom, które mają już podstawową wiedzę  
o II wojnie światowej i mogą do gry podejść z należyty  
dystansem. Na taką grupę docelową wskazuje też czas rozgrywki,  
który przy pierwszych partiach dochodzi do dwóch godzin.  
Nie jest to zatem gra, której można by użyć w szkole.  
Do rozgrywki z dziećmi przydałby się wariant kooperacyjny,  
którego tutaj zabrakło. ❄

Karol Madaj – pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, współautor  
gier edukacyjnych IPN, w 2013 roku  
odznaczony przez Prezydenta RP  
Złotym Krzyżem Zasługi

Łukasz Pogoda – grafik, pracownik  
Biura Edukacji Publicznej IPN

## OKIEM HISTORYKA

Niemiecka, a następnie sowiecka agresja na Polskę, które doprowadziły do utraty niepodległości przez II RP, dla większości Polaków oznaczały nie koniec wojny, lecz przeciwnie: konieczność, by stanąć – jak ojcowie i dziadkowie – do walki o odzyskanie wolności.

W tych właśnie zmaganiach możemy wziąć udział dzięki grze *First to fight*. Przybliży ona losy polskich żołnierzy na frontach II wojny światowej: w walkach na Atlantyku, w Powstaniu Warszawskim, Bitwie o Anglię i pod Tobrukiem. Szkoda tylko, że ani na kartach, ani w instrukcji do gry nie pokuszono się nawet o kilkudzaniowe opisanie tych walk. Podniosłoby to znakomicie walory edukacyjne gry, a nie wymagałoby dużo pracy. Tymczasem gracz dostaje tylko suchy komunikat o misji do wykonania, np. zrealizować akcję „Wieniec” w październiku 1942 roku. Na czym ona polegała? Tego niestety możemy się tylko domyślać na podstawie (ładnego skądinąd) rysunku.

Front wschodni (na którym zresztą od jesieni 1943 roku również walczyli polscy żołnierze) został potraktowany marginalnie. Biorąc pod uwagę główny temat gry, trudno się dziwić takiemu ujęciu tego wątku. Jednak to, że jego wpływ na grę zamyka się w dwóch kartach (które w dodatku wcale nie muszą być zagrane), jest co najmniej zaskakujące i ma się oczywiście nijak do rzeczywistego wpływu frontu wschodniego nie tylko na rezultat wojny, lecz także na sytuację na poszczególnych frontach, tak naprawdę względem niego pomocniczych. To przecież wybuch wojny niemiecko-sowieckiej przesądził o tym, że Niemcy do szuflady schowali plan operacji „Lew Morski”, której celem miała być inwazja na Wielką Brytanię. Na mapie gry próżno jednak szukać frontu wschodniego, kończy się ona na Bugu, a na wschód od niego przecież – i to już od lata 1941 roku – działał polski wywiad. W tym kontekście za prawdziwe kuriozum należy uznać to, że w jednej z misji celem gracza jest utworzenie organizacji „Wachlarz”, która prowadziła działalność na zapleczu nieistniejącego w grze frontu wschodniego... Na mapie próżno także szukać granic poszczególnych państw zachodniej Europy. Zamiast nich jest ona podzielona na enigmatyczne – jak wypada rozumieć – regiony, który to podział należy uznać za historycznie dosyć swobodny.

Największą zaletą gry są karty reprezentujące rzeczywistych polskich żołnierzy wraz z ukazującą ich ładną grafiką. Co warte podkreślenia, oprócz znanych postaci, takich jak Jan Koziński (Jan Karski), Stanisław Skalski czy Elżbieta Zawacka, nie brakuje wśród nich osób mniej znanych, a przecież zasługujących na zapamiętanie, jak choćby Hieronim Dekutowski „Zapora” (cichociemny, żołnierz Kedywu, a następnie dowódca zgrupowania partyzanckiego drugiej konspiracji), Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz” (twórca koncepcji cichociemnych poległy w sierpniu 1944 roku w walce z batalionem NKWD pod Surkontami) albo Wanda Gertz (służąca w męskim przebraniu w Legionach Polskich w czasie I wojny światowej, a w czasie kolejnej wojny dowodząca żeńskim oddziałem sabotażowo-dywerysyjnym). Niestety, tutaj również nie uniknięto błędów. Za najważniejszy należy uznać to, że wszystkie postaci zostały przedstawione ze stopniem oficerskim nadanym im już zazwyczaj na emeryturze, a nierzadko po śmierci. Nie może także nie zaskakiwać przydzielenie gen. Stefana Roweckiego „Grota” do korpusu oficerów broni pancernej, skoro do historii przeszedł przede wszystkim jako dowódca Armii Krajowej.

Pomimo tych kilku uwag pozostaje mieć nadzieję, że samo wskazanie przez grę *First to fight* kilkudziesięciu wyjątkowych postaci oraz wydarzeń zainspiruje graczy do zainteresowania się historią walk żołnierzy polskich w czasie ostatniej wojny.

Maciej Żuczowski



# Na froncie walki z prymasem

„**J**est zagorzałym, nieprzejednanym przeciwnikiem Polski Ludowej” – uczulał w swym donosie funkcjonariusza bezpieki jeden z jej długoletnich konfidentów, na co dzień... kapłan diecezji lubelskiej. Pisał tak o swoim ordynariuszu, Stefanie Wyszyńskim, w czerwcu 1948 roku.

Już kilka miesięcy później bp Wyszyński, wówczas najmłodszy spośród polskich hierarchów, został – jak miało się okazać, na ponad trzydzieści lat – prymasem Polski oraz arcybiskupem warszawsko-gnieźnieńskim i przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski. Został również – podobnie jak jego poprzednik, kard. August Hlond – legatem papieskim wyposażonym przez Stolicę Apostolską w *facultates specialissimae* (nadzwyczajne uprawnienia duszpasterskie oraz szczególne pełnomocnictwa dotyczący spraw związanych z normalizacją stosunków między państwem i Kościołem w Polsce). Pełnił tym samym obowiązki nuncjusza papieskiego, ponieważ na polecenie Moskwy polscy komuniści zerwali konkordat ze Stolicą Apostolską.

Podczas lektury dokumentów komunistycznej bezpieki, wybranych i opracowanych przez historyków z krakowskiego oddziału IPN w książce *W służbie Boga i Polski. Komunistyczna bezpieka wobec kardynała Stefana Wyszyńskiego*, pojawia się pytanie, w jakim stopniu ostrzeżenie złożone przez wspomnianego zdrajcę w sutannie było decydujące dla funkcjonariuszy policji politycznej i ich mocodawców z partii komunistycznej. Z akt można wyczytać, do jakich metod uciekali się oni – jak to sami określali – „na froncie walki” z hierarchą, który przeszedł do historii jako Prymas Tysiąclecia, skądinąd zawsze szukający u swoich nieprzejednanych wrogów chociażby odrobiny dobrej woli i ludzkich odruchów. Zawsze też był gotowy im przebaczać, mimo że w 1949 roku komuniści zorganizowali na niego nieudany zamach. Dziwne, że w książce nie ma nawet najmniejszej wzmianki o tej próbie zabójstwa prymasa.

Redaktorzy tomu, czwartego z serii wydawniczej *Niezlomni* (poprzednie były poświęcone m.in. kard. Henrykowi Gulbinowiczowi, abp. Ignacemu Tokarczukowi, kard. Adamowi Sapieżę i kard. Karolowi Wojtyłę) zebrali 165 dokumentów źródłowych. Pierwszy pochodzi z 1946 roku, ostatni – z 1981. Można więc powiedzieć, że komuniści ani na chwilę nie odpuścili swojemu głównemu adwersarzowi, który zresztą okazał się zwycięzcą w zmaganiach z czerwonym Goliatem o wolność Kościoła i duchową suwerenność narodu. Dokumenty te to wybrana korespondencja między biskupami i różnymi przedstawicielami władz, w mniejszym lub większym stopniu związana z kard. Stefanem Wyszyńskim, donosy tajnych współpracowników UB/SB, protokoły przesłuchań ludzi związanych z prymasem, raporty, analizy, plany i sprawozdania operacyjne oraz notatki lub informacje sytuacyjne esbeków i wiele innych.

Szczególnie interesujące jest opracowanie przygotowane przez anonimowych funkcjonariuszy MSW z początku lat siedemdziesiątych, a więc z epoki „tolerancyjnego” Gierka, zatytułowane „Kierunki działań dezintegracyjnych [...] w stosunku do kard. Wyszyńskiego i osób z nim związanych”. Pokazuje ono bowiem, jak bardzo zróżnicowane były wcześniejsze działania

*W służbie Boga i Polski. Komunistyczna bezpieka wobec kardynała Stefana Wyszyńskiego*, red. ks. J. Marecki, F. Musiał; oprac. ks. J. Marecki, ks. P. Nitecki, R. Szczypta-Szczęch, IPN, WAM, Kraków 2014, 780 s.



komunistycznego aparatu represji wobec Prymasa Tysiąclecia i że miały być wciąż prowadzone. To zresztą jeszcze jeden dowód potwierdzający opinię, że w PRL, mimo różnych przełomów politycznych, jedno się nie zmieniało – komuniści różnej maści (ci twardogłowi i ci tzw. reformatorzy) nie potrafili i nie chcieli zrezygnować z walki z Kościołem katolickim, na którego czele stał właśnie kard. Wyszyński – właściwie zawsze samotny wobec kolejnych ekip rządzących, otaczających go przez dziesięciolecia siatkami podsłuchów i konfidentów.

Bezpieka, zarówno w czasach stalinowskich, jak i gomułkowskich czy gierkowskich, dążyła do skompromitowania prymasa w Watykanie wszelkimi możliwymi metodami. Posługując się tzw. postępowymi katolikami i różnymi dokumentami, starała się rozpowszechniać opinię wśród watykańskich kurialistów, zwłaszcza z Sekretariatu Stanu, że kard. Wyszyński szkodzi Kościołowi i utrudnia nawiązywanie dobrych stosunków między PRL a Stolicą Apostolską. Usiłowano zdyskredytować wizję duszpasterską i nauczanie społeczne kardynała, by w ten sposób poderwać jego autorytet wśród Polaków, którzy zawsze uznawali go za swego duchowego przywódcę. Rozpowszechniano w kraju i za granicą plotki o jego nietolerancyjności, despotyzmie i obcesowości wobec biskupów i innych księży, nieszczerości wobec krewnych i współpracowników oraz dwuznacznych powiązaniach z członkiniami Instytutu Świeckiego Pomocnic Maryi Jasnogórskiej Matki Kościoła, a zwłaszcza z założycielką Instytutu – Marią Okońską. Wzniesano konflikty w najbliższym otoczeniu kard. Wyszyńskiego oraz między nim a katolickimi działaczami świeckimi. Lista tych metod mogłaby być oczywiście dłuższa.

Wymowa dokumentów inspirowanych czy opracowywanych przez funkcjonariuszy komunistycznej policji politycznej, które nigdy nie miały zostać ujawnione, jest jednoznaczna: kard. Wyszyński to największy wróg państwa socjalistycznego, którego należy zwalczać bezwzględnie i na wszelkie możliwe sposoby. A przecież – już z pewnością wbrew zamiarom wytwórców – dokumenty owe stały się swoistym świadectwem niezłomności Prymasa Tysiąclecia, biskupa oddanego Kościołowi i narodowi, jednego z największych mężów stanu w dziejach Polski. ■

# Toruńscy wipowcy

W ostatnich latach wyraźnie wzrosło zainteresowanie historyków niezależnymi inicjatywami młodzieżowymi schyłkowego okresu PRL, plasującymi się na marginesie głównego nurtu solidarnościowej opozycji lub poza nim. Wśród najnowszych publikacji warto wspomnieć monumentalną monografię ks. Jarosława Wąsowicza o niezależnym ruchu młodzieżowym w Gdańsku, pracę Janusza Waluszki o protestach przeciwko budowie elektrowni atomowej w Żarnowcu czy zbiór reprintów „Homka” – pisma Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego – opracowany przez Grzegorza Berendta, Krzysztofa Brzechczyña, Zbigniewa Stybla i Janusza Waluszkę. Coraz więcej książek powstaje na temat Ruchu „Wolność i Pokój” – bodaj najważniejszej inicjatywy opozycyjnej młodego pokolenia drugiej połowy lat osiemdziesiątych. Anna Smółka-Gnauck napisała o WiP-ie w wymiarze ogólnopolskim, szczecińskim wipowcom swoją pracę poświęcił Maciej Wiśniewski. Niedawno ukazała się także książka Wojciecha Polaka, poświęcona WiP-owi w Toruniu.

W pierwszym rozdziale autor nakreślił tło ogólnopolskie, na 33 stronach streszczając historię WiP-u w skali kraju, począwszy od odmowy złożenia przysięgi wojskowej przez Marka Adamkiewicza w 1984 roku aż po stopniowy rozpad i zanik ruchu na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych oraz losy niektórych jego uczestników już w okresie III Rzeczypospolitej. Przechodząc na grunt toruński, prof. Polak opisał działalność opozycyjną Piotra Niedlicha i Artura Wiśniewskiego w latach 1983–1987. Pierwszy z wymienionych został w marcu 1987 roku wezwany do wojska. Postanowił jednak odesłać kartę powołania do ministra obrony narodowej i, wskazując na motywy światopoglądowe, zażądał skierowania do służby zastępczej. Nie został po tym – co prawda – aresztowany, jednak w kolejnych miesiącach instytucje komunistycznego państwa nękały go kolejnymi wezwaniami, odmawiając uczynienia zadość wspomnianemu żądaniu. Do Wojskowej Komendy Uzupełnień w Toruniu wezwano go także po to, aby tłumaczył się za syna, Ryszarda Niedlicha. Choć sprawa powołania młodego opozycjonisty do wojska została odroczone, wydarzenia z nią związane zyskały rozgłos i doprowadziły do powstania toruńskiego ośrodka Ruchu „Wolność i Pokój”.

W kolejnych rozdziałach książki Polak kreśli sylwetki i opisuje początki aktywności opozycyjnej ludzi, którzy stali się następnie głównymi uczestnikami WiP-u w Toruniu. Poza wspomnianymi Niedlichem i Wiśniewskim byli to: Maciej Bernaciak, Elżbieta Gryczyk, Piotr Biegalski, Maciej Romaniuk, Paweł Gużyński i Jacek Kalas. Wgląd w życiorysy ma, jak się wydaje, szczególną wartość poznawczą – pozwala na uchwycenie indywidualnych motywów sprzeciwu wobec reżimu komunistycznego i prześledzenie procesu kształtowania postaw

opozycyjnych młodego pokolenia Polaków w latach osiemdziesiątych.

Opisując działalność toruńskich wipowców w rozdziale dziesiątym, autor ukazuje specyfikę torunian, odróżniając ich od kolegów z innych miast. „W niektórych [ośrodkach WiP-u] (np. w Gdańsku) – stwierdza – wyraźne były wśród części uczestników ruchu tendencje anarchistyczne, a czasem niechęć do Kościoła. Tymczasem w Toruniu WiP nie miał w ogóle skłonności anarchistycznych i był przyjaźnie nastawiony do Kościoła (podobnie było np. w Gorzowie Wielkopolskim). Działacze ruchu w Toruniu rzadko pojawiali się na ogólnopolskich zjazdach. W czasie niektórych takich imprez bywali bowiem nieco zdęgotowani nadmiernie luzacką atmosferą panującą wśród działaczy z innych regionów”. Wiele na temat postaw ideowych toruńskich wipowców mówi również sam tytuł jednego z wydawanych przez nich drugoobiegowych periodyków – „Pismo Młodych Katolików »Nawa«”. W jednej z ulotek pisali natomiast sami o sobie: „Są wśród nas różne osoby: anarchiści, oazowcy, są politycy i moralści, są hipisi i punki. Nie mamy jednej ideologii, jednego wzoru mundurka czy jednakowych fryzur. Łączą nas problemy, które chcemy rozwiązać, łączy sprzeciw wobec wszechobecnej przemocy”.

WiP w skali kraju w istocie stanowił konglomerat zróżnicowanych ideowo środowisk, od anarchistów, przez pacyfistów, ekologów, po konserwatystów i katolików (jak w przypadku Torunia), które łączył wspólny mianownik – negatywna ocena realiów społeczno-politycznych Polski pod rządami PZPR. Po upadku komunistycznej dyktatury nad Wisłą, kiedy zabrakło wspólnego wroga, oraz w obliczu spełnienia jego czołowych postulatów (w 1988 roku zmieniono rotę przysięgi wojskowej i wprowadzono możliwość odbywania służby zastępczej), ruch wygasł w sposób właściwie naturalny – część jego uczestników poświęciła się działalności pod innymi szyldami, inni wycofali się z życia społeczno-politycznego.

Ostatni rozdział książki poświęcony jest działalności peerelowskiego aparatu represji – Służby Bezpieczeństwa i Wojskowej Służby Wewnętrznej – wobec działaczy WiP-u w Toruniu. Podobnie jak w innych miastach podlegali oni stałej obserwacji i represjom ze strony funkcjonariuszy komunistycznej dyktatury.

Praca powstała na podstawie licznych źródeł – dokumentów przechowywanych w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej, kolekcji prywatnych, prasy bezdebitowej. W wielu miejscach odwołuje się także do wspomnień uczestników wydarzeń. Lekturę urozmaica ponadto bardzo bogaty wybór fotografii, z którymi przeplata się tekst. Książka wzbogaca wiedzę na temat Ruchu „Wolność i Pokój” w kolejnym ośrodku regionalnym. Można ją polecić zarówno profesjonalnym historykom, jak i pasjonatom historii. 📖



Wojciech Polak, *Wielbiciele panny „S”*. *Ruch Wolność i Pokój w Toruniu*, Instytut Pomorski, Toruń 2013, 126 s.

# Pod maską przyjaźni

Czym była dla PRL Niemiecka Republika Demokratyczna? Oficjalnie – bratnim krajem socjalistycznym, sojusznikiem w Układzie Warszawskim i partnerem w Radzie Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. W rzeczywistości stosunki polsko-wschodniemieckie były skrajnie złe. W aparacie władzy PRL dominowało przekonanie, że NRD jest tworem przejściowym. Berlin Wschodni postrzegał zaś Warszawę jako konkurenta w zabiegach o względy Moskwy i – zwłaszcza po sierpniu 1980 roku – wylęgarnię „kontrrewolucji”.

To wszystko rzutowało na wzajemne relacje resortów bezpieczeństwa obu państw. Relacje, które do niedawna były problemem słabo zbadanym. Dziś wiemy o nich więcej, a w dużym stopniu przyczyniła się do tego monografia Tytusa Jaskułowskiego *Przyjaźń, której nie było. Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego NRD wobec MSW 1974–1990* – nowatorskie spojrzenie na współpracę i rywalizację tajnych służb w bloku wschodnim. Publikacja ukazała się na początku roku 2014, kilka miesięcy później zwyciężyła zaś w konkursie Książka Historyczna Roku.

Jaskułowski, pracownik naukowy w Instytucie Badań nad Totalitaryzmem na Uniwersytecie Technicznym w Dreźnie, już wcześniej dał się poznać jako znawca dziejów NRD i najnowszej historii relacji polsko-niemieckich. Teraz wyraźnie umacnia swoją markę.

Przyjęte przez autora ramy chronologiczne nie są przypadkowe. Rok 1990 to ostateczny upadek NRD i zjednoczenie Niemiec. W maju 1974 roku została zaś zawarta jedyna całościowa umowa o współpracy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL i Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego (MfS) NRD, znanego także jako Stasi. Jaskułowski cofa się zresztą do pierwszych lat powojennych. I słusznie, bo bez tego nie sposób zrozumieć późniejszej wzajemnej nieufności w kontaktach między MSW PRL a MfS.

Przyczyna tarć i rywalizacji była jednak – zdaniem autora – bardziej uniwersalna. Przyjaźń między tajnymi służbami generalnie nie istnieje – dowodzi Jaskułowski. Tak jest dziś nawet w NATO i tak samo – wbrew propagandzie – było w bloku wschodnim: „Służby specjalne PRL i NRD więcej dzieliło, niż łączyło”. MSW i Stasi niechętnie wymieniali się informacjami i tylko sporadycznie podejmowały wspólne operacje. Co więcej, te dwa resorty często działały przeciwko sobie. Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego NRD bez skrupułów werboowało obywateli PRL – i odwrotnie. Na początku lat osiemdziesiątych MfS próbowało nawet podsłuchiwać polskie instytucje rządowe.

Jaskułowski podważa przy tym tezę – wciąż popularną, zwłaszcza w publikacjach prasowych – o potęgze Stasi i słabości Służby Bezpieczeństwa. Owszem, MSW PRL było resortem mniej licznym kadrowo. Było też jednak mniej zbiurokratyzowane, elastyczniejsze i lepiej wykorzystywało zdobywane informacje. Opracowania analityczne powstające w MSW – choćby w Departamencie I – przewyższały przydługie, przesiąknięte ideologią raporty Centralnej Grupy ds. Analiz i Informacji

MfS. I wreszcie: sieć agenturalna Stasi w Polsce nie była wcale tak gęsta, jak przyjęło się uważać. Kursujące w mediach informacje o kilkuset agentach należy traktować z przymrużeniem oka – chyba że za takowych uznamy każdego, kto po powrocie z wakacji w PRL złożył raport o tym, co widział.

Jaskułowski wykonał mrówczą pracę dokumentacyjną. Sięgnął po polsko- i niemieckojęzyczną literaturę fachową oraz liczne publikacje prasowe. Rozmawiał ze świadkami opisywanych wydarzeń, w tym z oficerami i tajnymi współpracownikami MSW, a także osobami inwigilowanymi. Głównym atutem *Przyjaźni, której nie było* jest jednak wyczerpująca analiza porównawcza materiałów MSW i MfS – owoc przeszło pięcioletniej kwerendy archiwalnej, prowadzonej zarówno w Instytucie Pamięci Narodowej, jak i w niemieckim urzędzie Federalnego Pełnomocnika ds. Akt Służby Bezpieczeństwa byłej NRD (BStU).

Poszukiwacze sensacji będą jednak rozczarowani. W książce nie znajdziemy nazwisk tajnych współpracowników MSW czy Stasi ani osób inwigilowanych. Autor powołuje się na „sankcje karne za ujawnienie danych osobowych”. Trzeba w tym miejscu wyjaśnić, że niemieckie przepisy są bardziej restrykcyjne. Naukowiec korzystający z czytelni akt w BStU otrzymuje do wglądu oryginalne materiały. Gdy jednak zamawia kserokopie, pewne informacje, zwłaszcza nazwiska, są zacerniane i – zgodnie z podpisanym uprzednio zobowiązaniem – nie wolno ich ujawnić. Dotyczy to choćby danych osób inwigilowanych, zwłaszcza jeśli nie były osobami publicznymi. Zacerniane nie są jednak nazwiska tajnych współpracowników. Jaskułowski nie podaje ich zaś nawet wówczas, gdy były już publikowane. Można się zastanawiać, czy nie jest to przesadna ostrożność. Ale trzeba też pamiętać, że autor pracuje na niemieckiej uczelni, a *Przyjaźń, której nie było* ma się ukazać również na tamtejszym rynku wydawniczym. Nie powinno więc dziwić, że Jaskułowski przyjął zwyczaj panujące w niemieckich kręgach naukowych.

Czy książka traci na tej powściągliwości? Jeśli tak, to niewiele. Zainteresowani nazwiskami mogą przecież sięgnąć do źródeł wskazanych w przypisach. Jaskułowski i tak bardzo skrótowo opisuje konkretne przypadki. Bardziej niż ludzie interesują go mechanizmy; bardziej niż jednostkowe wydarzenia – pytania o przyczyny i skutki. W tej publikacji podsumowanie nie ogranicza się do końcowego rozdziału. Właściwie od pierwszej do ostatniej strony mamy do czynienia z syntezą. To zresztą cecha dobrych prac naukowych. *Przyjaźń, której nie było* – rezultat przygotowywanej przez Jaskułowskiego habilitacji – zdecydowanie zasługuje na takie miano.

Język typowy dla prac naukowych, liczne przypisy, brak ilustracji – to wszystko zawęża jednak krąg potencjalnych czytelników. Miejmy nadzieję, że doczekamy się także publikacji, które spopularyzują problematykę trudnych relacji między tajnymi służbami PRL i NRD. Temat zdecydowanie jest tego wart. 📖

Filip Gańczak



Tytus Jaskułowski, *Przyjaźń, której nie było. Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego NRD wobec MSW 1974–1990*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2014, 488 s.



■ *Aparat represji wobec księdza Jerzego Popiełuszki 1982–1984, t. 2: Śledztwo w sprawie uprowadzenia i zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki, wstęp, oprac. J. Gołębiewski, IPN, Warszawa 2014, 670 s.*



■ Tomasz Balbus, „Rom”. Ostatnie miesiące życia Władysława Macieja Ciska (1921–1948), szefa wywiadu i kontrwywiadu Zarządu Okręgu Dolnośląskiego WiN, studenta i asystenta Politechniki Wrocławskiej, IPN, Wrocław 2014, 125 s.



■ Przemysław Benken, *Wypadki gryfickie 1951*, IPN, Szczecin 2014, 220 s. + 16 s. wkł. zdj.



■ Janusz Borowiec, *Polityka karna wobec przestępstw i wykroczeń funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa w województwie rzeszowskim (1944–1956)*, IPN, Rzeszów 2014, 364 s. + 16 s. wkł. zdj.



■ *Dokumenty do dziejów Zgrupowań Partyzanckich AK „Ponury”, wstęp, wybór, oprac. M. Jedynek, Wydawnictwo BARBARA, IPN, Kielce – Kraków 2014, 427 s.*



■ *Giedroyc a Ukraina. Ukraińska perspektywa Jerzego Giedroycia i środowiska paryskiej Kultury, studia pod red. M. Semczyszyn, M. Zajączkowskiego, IPN, Warszawa – Lublin – Szczecin 2014, 335 s.*



■ Dawid Golik, *Partyzanci „Lamparta”. Historia IV batalionu 1. pułku strzelców podhalańskich AK*, IPN, Kraków 2014, 602 s.



■ Wojciech Hausner, Marcin Kapusta, Maria Konieczna (współpraca), *Epizody harcerskiej konspiracji niepodległościowej na ziemi krakowskiej 1944–1953*, IPN, Kraków 2014, 357 s.



■ ks. Tadeusz Krahel, *Archidiecezja wileńska w latach II wojny światowej. Studia i szkice*, IPN, Białystok 2014, 320 s. + wkł. zdj., 5 map.



■ *Naród w niewoli*, red. F. Musiał, IPN, Kraków 2014, 180 s.



■ *Represje wobec osób duchownych i zakonnych na terenie woj. krakowskiego 1944–1975, Leksykon biograficzny, t. 1*, red. ks. J. Marecki, IPN, Kraków 2014, 416 s.



■ *Regionalny wymiar „Solidarności” 1980–1981. Szczecin na tle kraju*, red. A. Kubaj, M. Siedziako, IPN, Szczecin 2014, 348 s.



■ *Relacje deportowanych z Kresów Wschodnich w 1940 roku, wstęp, oprac. T. Domański, IPN, Kielce – Kraków 2014, 188 s.*



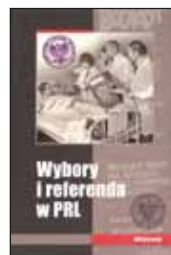
■ Bogusław Tracz, *Hippiści, kudłacze, chwasty. Hipisi w Polsce w latach 1967–1975*, IPN, Wydawnictwo LIBRON, Katowice – Kraków 2014, 564 s.



■ Mirosław Węcki, *Fritz Bracht (1899–1945). Nazistowski zarządca Górnego Śląska w latach II wojny światowej*, IPN, Katowice 2014, 534 s.



■ *Wojna się nie skończyła*, red. F. Musiał, IPN, Kraków 2014, 178 s.



■ *Wybory i referenda w PRL*, red. S. Ligariski, M. Siedziako, IPN, Szczecin 2014, 821 s.



■ Katarzyna Zawadka, *Komitet Wojewódzki PZPR w Lublinie 1948–1956. Struktura – ludzie – mechanizm funkcjonowania*, IPN, Lublin 2014, 384 s.

Institut Pamięci Narodowej  
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu  
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:  
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki  
PRZYSTANEK HISTORIA ul. Marszałkowska 21/25, 00-628 Warszawa  
poniedziałek, środa w godz. 10:00–17:00,  
wtorek, czwartek, piątek w godz. 8:00–18:00,  
sobota w godz. 9:00–14:00, tel. 22 576 30 05

#### Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie [www.pamiec.pl](http://www.pamiec.pl) przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej.

#### Sprzedż wysyłkowa publikacji

zamówienia można składać telefonicznie:  
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79;  
22 581 86 96; faks 22 581 89 40  
pocztą zwykłą na adres Instytutu  
pocztą elektroniczną: [joanna.pamula@ipn.gov.pl](mailto:joanna.pamula@ipn.gov.pl);  
[joanna.pszczola@ipn.gov.pl](mailto:joanna.pszczola@ipn.gov.pl); [danuta.wierzman@ipn.gov.pl](mailto:danuta.wierzman@ipn.gov.pl)  
lub w księgarni internetowej: [www.ipn.pocztytaj.pl](http://www.ipn.pocztytaj.pl)

# PRZYSTANEK HISTORIA



Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki

ul. Marszałkowska 21/25  
00-628 Warszawa

faks (22) 576 30 02

[www.ipn.gov.pl](http://www.ipn.gov.pl)

[przystanek.historia@ipn.gov.pl](mailto:przystanek.historia@ipn.gov.pl)  
[facebook.com/przystanek.historia](https://facebook.com/przystanek.historia)

[przystanekhistoria.ipn.gov.pl](http://przystanekhistoria.ipn.gov.pl)

## ● 8–31 stycznia

„Pozostał po nich ślad” to wystawa przygotowana przez Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau. Ukazuje losy więźniów Bloku 11, tzw. Bloku Śmierci, którzy na jego ścianach, drzwiach, belkach stropowych, parapetach okiennych pozostawili rysunki i napisy.

● **12 stycznia** (poniedziałek), godz. 17:00  
Spotkanie filmowe Klubu Historycznego im. gen. Stefana Roweckiego „Grotą”: pokaz spektaklu Teatru Telewizji *O prawo głosu* w reżyserii Janusza Petelskiego. Jest to opowieść o okolicznościach ucieczki Stanisława Mikołajczyka, zagrożonego aresztowaniem przez władze komunistyczne po sfałszowanych wyborach do Sejmu Ustawodawczego z 19 stycznia 1947 roku.

● **14 stycznia** (środa), godz. 17:30  
Spotkanie z cyklu **Oblicza PRL**: o genezie, przebiegu i skutkach „polskich miesięcy” opowie prof. Jerzy Eisler, dyrektor warszawskiego oddziału IPN.

● **15 stycznia** (czwartek), godz. 17:30  
W cyklu **Świat totalitarny w literaturze i sztuce** seminarium na temat terroru i zła absolutnego jako pospolitego doświadczenia poprowadzi dr Łukasz Michalski z Biura Edukacji Publicznej IPN. Obowiązują zapisy: [wieslawa.mlynarczyk@ipn.gov.pl](mailto:wieslawa.mlynarczyk@ipn.gov.pl).

● **19 stycznia – 1 lutego**, godz. 10:00–13:15  
**Ferie zimowe z historią najnowszą w tle**, czyli bezpłatny kurs z historii Polski XX wieku dla maturzystów. Na cykl składają się wykłady prowadzone przez naukowców IPN oraz warsztaty z nauczycielami i edukatorami. Wstęp na wykłady jest wolny i nieograniczony. Grupa biorąca udział w warsztatach może liczyć maksymalnie 30 osób. Zajęcia będą się odbywać od poniedziałku do piątku (wykład: godz. 10:00–11:30; warsztaty: godz. 11:45–13:15). Obowiązują zapisy: [joanna.smieszek@ipn.gov.pl](mailto:joanna.smieszek@ipn.gov.pl).

● **19–30 stycznia**, godz. 10:00–11:30  
„Historia oczami dzieci” – bezpłatne zajęcia dla grup zorganizowanych w ramach akcji **Zima w mieście**. Łącząc edukację i zabawę, chcemy opowiedzieć,

jak żyło się w Polsce w latach 1939–1989. Zajęcia trwają 90 min. Informacje i zapisy: Magdalena Bogdan [magdalena.bogdan@ipn.gov.pl](mailto:magdalena.bogdan@ipn.gov.pl), 22 576 30 08, Barbara Pamrów, [barbara.pamrow@ipn.gov.pl](mailto:barbara.pamrow@ipn.gov.pl), 22 576 30 09.

● **26 stycznia** (poniedziałek), godz. 18:00  
W cyklu **Pod sierpem i młotem – państwa komunistyczne na świecie** wykład poświęcony Kambodży (Kampuczy) wygłosi prof. Adam Jelonek z Instytutu Bliskiego i Dalekiego Wschodu Uniwersytetu Jagiellońskiego.

● **15 stycznia** (czwartek), godz. 13:00  
Spotkanie Klubu Historycznego im. gen. Stefana Roweckiego „Grotą”: wykład „Służby wywiadowcze Polski Ludowej w latach 40.” wygłosi dr Witold Bagieński z Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN.

● **15 stycznia** (czwartek), godz. 17:00  
Promocja książki Bartosza Kaliskiego *Kurierzy wolnego słowa (Paryż – Praga – Warszawa, 1968–1970)* wydanej przez Instytut Historii PAN. W dyskusji udział wezmą: prof. Andrzej Friszke (Instytut Studiów Politycznych PAN), prof. Rafał Habielski (Instytut Dziennikarstwa UW), dr Bartosz Kaliski (Instytut Historii PAN). Prowadzenie: Jan Olaszek (IPN).

● **28 stycznia** (środa), godz. 17:30  
**Krakowska Łoża Historii Współczesnej w Warszawie**: dyskusja będzie poświęcona książce Dawida Golika *Partyzanci Lamparta* – monografii oddziału Armii Krajowej, walczącego na Podhalu. Gośćmi spotkania będą: dr Dawid Golik (IPN Kraków), dr hab. Zdzisław Zblewski (Instytut Historii UJ) i Jerzy Wójcik. Prowadzenie: Roman Graczyk (IPN Kraków).

● **31 stycznia** (sobota), godz. 11:30  
Spotkanie z cyklu **Rodzinną sobota. Historia oczami dzieci**. Zajęcia będą poświęcone okresowi rządów Władysława Gomułki, czyli tzw. małej stabilizacji. Obowiązują zapisy: [magdalena.bogdan@ipn.gov.pl](mailto:magdalena.bogdan@ipn.gov.pl).

STYCZEŃ

45